

PROLOG

Urodziła się owej pamiętnej nocy, kiedy Drzewo Czarownicy runęło na ziemię. Od pierwszego oddechu czuła smak swojej władzy - upojny i zarazem gorzki. Jej życie miało stać się kolejnym ogniwem łańcucha równie długiego jak historia ludzkości; łańcucha mieniącego się blaskiem legend, podań ludowych i baśni, ale dopiero pod cienką warstwą pożyty kryła się jego prawdziwa, odwieczna moc.

Nie tylko w Monterey, ale w wielu odległych zakątkach świata świętowano hucznie to wydarzenie. Wszędzie tam, gdzie nadal kwitła magia - pośród zielonych wzgórz Irlandii, na wrzosowiskach Kornwalii, kamienistych wybrzeżach Brytanii czy też w jaskiniach Walii - pierwszy płacz niemowlęcia powitano z radością.

Kiedy jej matka wydała ostatni krzyk bólu, stare drzewo umarło. Spełniła się ofiara, dzięki której nowa czarownica przyszła na świat.

W przyszłości wybór miał należeć do niej samej - w końcu każdy dar można odrzucić, przyjąć z wdzięcznością albo zmarnować. Na razie jednak była małym dzieckiem. Wymachiwała zaciśniętymi piąstkami, zanosząc się rozpaczliwym płaczem, kiedy uśmiechnięty ojciec po raz pierwszy pocałował ją w czoło.

Matka łkała ze szczęścia i z żalu. Wiedziała już, że tuli do piersi ich jedyną córkę. Jedyny owoc ich miłości.

Umiała patrzeć i rozumiała.

Kołysząc dziecko w ramionach, nuciła starą melodię i rozmyślała o tych wszystkich rzeczach, których będzie musiała się nauczyć. O błędach, które popełni. Zdawała sobie sprawę, że pewnego dnia - za kilkanaście lat, które miną niepostrzeżenie - jej córka także zapragnie miłości.

Miała nadzieję, że z całej swojej wiedzy i doświadczenia, spośród wszystkich mądrości, jakie jej przekaże, Morgana zapamięta tę jedną najważniejszą.

Że źródłem naczystszej magii jest serce.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miejsce, w którym rośnie Drzewo Czarownicy, upamiętniała kamienna płyta. Turyści czytali wyryte na niej słowa, podziwiali krajobraz, inni przychodzili odpocząć, popatrzeć na skaliste wybrzeże i wygrzewające się w słońcu foki.

Starzy mieszkańcy Monterey pamiętali niezwykle drzewo i przypominali młodszemu, że w noc jego upadku urodziła się Morgana Donovan.

Niektórzy przekonywali, że to był palec boży, inni - wzruszając ramionami - twierdzili, że to czysty przypadek. Wszyscy zgadzali się co do jednego: trudno o lepszą reklamę „kolorytu lokalnego” niż samozwańcza czarownica, która przyszła na świat w sąsiedztwie czarodziejskiego drzewa, w noc, kiedy...

Nash Kirkland uznał tę opowieść za inspirującą i zabawną. A nie ulega wątpliwości, że do spraw nadprzyrodzonych miał wyjątkowego nosa. Wampiry, duchy i wilkołaki były jego chlebem powszednim: w sensie jak najbardziej dosłownym, bowiem robiąc o nich filmy, zarabiał na więcej niż dostatnie życie. I nie zamieniłby tej pracy na żadną inną.

Czy wierzył w istnienie upiórów i czarownic? Nonsens. Wiedział, że ludzie nawet przy księżycu nie stają się wilkołakami, umarli nie wychodzą z grobów, a miotły nie służą do latania. Takie rzeczy zdarzają się wyłącznie w baśniach i w filmach.

I całe szczęście. Jak to dobrze, że w książkach i w kinie wszystko jest możliwe.

Nash, człowiek trzeźwo patrzący na życie, jak mało kto zdawał sobie sprawę, że ludzie poza pracą potrzebują rozrywki. Tęsknią za czystą, oderwaną od rzeczywistości, iluzją. Lubią marzyć, śnić na jawie, bać się potworów.

On sam, stąpając mocno po ziemi, uwielbiał przecież fantazjować. Z okruczeństw ludowych przesądów i legend wyczarowywał scenariusze, którymi od siedmiu lat straszył i zachwycał publiczność.

A świadomość, że straszy skutecznie, sprawiała Nashowi ogromną, niemal fizyczną przyjemność. Od czasu do czasu pozwalał sobie na wyjątkową frajdę: z torbą prażonej kukurydzy wpadał do pierwszego lepszego kina na własny film, sadowił się wygodnie w ostatnim rzędzie i wzdychał uszczęśliwiony, kiedy ludzie kulili się z przerażenia, wydawali stłumione jęki albo zamykali oczy... Warto było się trudzić, myślał w błogim zadowoleniu.

Przed każdym kolejnym scenariuszem zamieniał się w tytana pracy. Studiował źródła z pedantyczną dokładnością, nie lekceważąc żadnego szczegółu. Pisząc na przykład „Krew o północy”, spędził w Rumunii cały tydzień na rozmowach z człowiekiem, który przysięgał, że jest potomkiem w prostej linii Vlada IV - Wołoskiego Diabła, Księcia Drakuli. Nash nie pożałował wysiłku. Chociaż książęcemu potomkowi nie wyrosły kły ani nie zamienił się w nietoperza, jego wiedza o wampirach okazała się warta zachodu.

Tak właśnie powstawały scenariusze Kirklanda. Zaczynało się od przypadkowego pomysłu: legendy, którą usłyszał od jakiegoś nawiedzonego „potomka rodu” albo zwykłego gawędziarza. Potem mówcza

praca, podróże, grzebanie w źródłach, ślęczenie nad książkami.

I pomyśleć, że tylu ludzi uważa go za dziwaka... Nash uśmiechnął się pod nosem, wjeżdżając na Seventeen Mile Drive, drogę okrążającą pętlą półwysep Monterey. On sam wiedział, że jest zwykłym, trzeźwo myślącym facetem. Jak na Kalifornijczyka... Pisaniem horrorów zarabiał na życie. Wciągając ludzi w świat iluzji, świat przesądów i fobii, straszył ich na własne życzenie. I robił to najlepiej, jak potrafił.

Nash Kirkland umiał wyczarować na ekranie każde straszdyło, powołać do życia dowolną ilość upiórów. Szlachetnego doktora Jekylla przeobrazić w odrażającego Mr. Hyde'a, albo uśmiercić bohatera klątwą faraona... Potrzebował do tego wyłącznie kartki papieru. Magia słów. Nic więcej. Może dlatego był cynikiem. Oczywiście bawiły go dreszczowce, opowieści o czarnej magii, ale nigdy nie traktował ich poważnie. Wiedział, czym są. Tworami fantazji. Bujdami, którymi potrafił sypać jak z rękawa.

Żywił cichą nadzieję, że Morgana Donovan, ulubiona czarownica Monterey, pomoże mu napisać kolejny scenariusz. Od kilku tygodni, mimo że zajmował się przeprowadzką i urządzaniem nowego domu, błędziła mu po głowie jedna uporczywa myśl: współczesna powiastka o czarnej magii.

Pogwizdując pod nosem zastanawiał się, jak też wygląda młoda czarownica. W turbanie na głowie, owinięta w czarną krepe? A może jest po prostu fanatyczką New Age?

Co za różnica. Tylko prawdziwi odmieńcy nadają światu barwę i smak.

Nash postanowił iść na to spotkanie bez żadnego przygotowania. Żadnej literatury fachowej na temat

czarnoksięstwa. Wolał zabrać się do pracy z otwartym umysłem i czystą wyobraźnią. Wiedział tylko, że Morgana Donovan urodziła się w Monterey jakieś dwadzieścia osiem lat temu i że prowadzi sklep, w którym zaopatrują się amatorzy ziół, kryształów, magicznych kamieni.

Zamierzał jej pogratulować, że nigdy nie opuściła swojego rodzinnego miasta. Sam mieszkał w Monterey zaledwie od miesiąca i nie mógł wprost zrozumieć, w jaki sposób znosił wszystkie poprzednie miejsca. Bóg wie, ile ich było... Co jedno, to gorsze. Na samą myśl o zatłoczonych ulicach, smogu wiszącym nad Los Angeles, skrzywił się z niesmakiem.

I znów pomyślał, że jest dzieckiem szczęścia. Gdyby opatrność odmówiła mu tej odrobiny talentu i wyobraźni, dzięki którym potrafił pisać scenariusze, nigdy nie wyniósłby się z miasta, którego nie cierpiał, i nigdy nie kupiłby domu w bajecznie pięknym zakątku północnej Kalifornii.

Zauważył sklep. Tak jak mu tłumaczyli: na samym rogu, pomiędzy butikiem a restauracją. Widać było, że interesy w mieście kwitną, bo miejsce do parkowania znalazł dopiero za następną przecznicą. Bardzo dobrze, krótki spacer dobrze mu zrobi. Minął grupę turystów, którzy kłócili się, gdzie zjeść lunch, potem chudą kobietę w purpurowej jedwabnej sukni, z parą afgańskich chartów. I biznesmena, który idąc chodnikiem rozmawiał przez telefon.

Nash uwielbiał Kalifornię.

Zatrzymał się przed sklepem. Szybę witryny ozdabiał jeden prosty szyld: WICCA. Pokiwał z uśmiechem głową. Staroangielskie słowo znaczące, ni mniej, ni więcej, tylko... czarownica. Trudno o lepszą nazwę. Oczyma wyobraźni zobaczył stare, zgar-

bione kobiety wędrujące od wsi do wsi, potrafiące odczyniać uroki i usuwać kurzajki.

Scena w wiejskim plenerze, dzień. Niebo zachmurzone, wiatr pędzi zagonami i wyje. W małej, nędznej wiosce, w której wszystkie płoty są dziurawe, a domy zamknięte na cztery spusty, stara kobieta o pomarszczonej twarzy spieszy zakurzoną drogą. Niesie ciężki, zakryty koszyk. Wielki czarny kruk kracze nad jej głową. Trzepocząc skrzydłami przysiada na zardzewiałej furtce. Ptak i kobieta mierzą się wzrokiem. Nie wiadomo skąd, z oddali, dobiega długi, rozpaczliwy skowyt.

Film urwał się nagle, kiedy jakiś człowiek wyszedł ze sklepu z odwróconą głową, wpadając prosto na Nasha. Przeprosił zmieszany, ale Nash uśmiechnął się i omal mu nie podziękował. Nie powinien folgować wyobraźni, póki nie porozmawia z ekspertką. Spokojnie, pomyślał. Najpierw obejrzymy wystawę.

Stanął przed witryną oniemiały z wrażenia. Wstęga ciemnobłękitnego aksamitu, udrapowana na stelazach różnych kształtów i wysokości, przypominała rwącą, górską rzekę - z przełomami i wodospadem. Unosiły się nad nią różnokolorowe, błyszczące w słońcu kryształki - o fantastycznych kształtach i barwach tak nasyconych, że Nash nie wierzył własnym oczom. Wpatrywał się w dekorację niczym zahipnotyzowany, wymieniając w myśli kolory: królewska purpura, atramentowa czerń, bursztyn...

Zacisnął usta. A więc to tak... Magia barw, kształtów i światła. Czysta iluzja, dzięki której człowiek zaczyna wierzyć w nadprzyrodzoną moc kamieni. Cóż z tego, że pięknych...

Nagle, chyba z wrodzonej przekory, pomyślał o kotłach. Ciekawe, czy czarownica Morgana trzyma

je na zapleczu. Zachichotał pod nosem i, zerknąwszy po raz ostatni na wystawę, wszedł do środka. Miał szczerą ochotę kupić jakiś ładny drobiazg: przycisk do papieru albo lusterko - nawet jeśli firma WICCA nie oferuje wilczych kłów ani łusek smoka.

W sklepie było pełno ludzi. Powinien wybrać zwykły dzień, a nie sobotę, pomyślał rozczarowany, ale z drugiej strony, nie ma tego złego... Przynajmniej rozejrzy się dyskretnie i zorientuje, jak sobie radzi w interesach współczesna czarownica.

Dekoracja wnętrza okazała się godna witryny. Olbrzymie kamienie, niektóre rozłupane na pół, obnażające setki ostrych, kryształowych zębów. Zgrabne buteleczki wypełnione - ku rozczarowaniu Nasha - „olejkiem do kąpieli z wyciągu rozmarynu o działaniu kojącym”. Żeby choć napój miłośny...

I mnóstwo ziół - do rozmaitych celów, w różnych opakowaniach. Piękne pastelowe świece, kryształy o bajecznych kolorach, we wszelkich możliwych kształtach i rozmiarach. Trochę niebanalnej biżuterii, rękodzieła, obrazy, rzeźby - tak doskonale eksponowane, iż do tego dziwnego sklepu znacznie bardziej pasowałaby nazwa „galeria”.

Nagle, szukając odruchowo rzeczy niezwykłych, Nash zauważył lampę z brązu w kształcie skrzydlatego smoka - bestii z płonącymi, czerwonymi oczami. Wtedy spostrzegł dziewczynę. Rozmawiała z klientkami, które oglądały kryształy. Niesłychane... Właśnie tak sobie wyobrażał współczesną czarownicę. Blondynka o lekko naburmuszonej minie, ubrana w czarny lśniący kombinezon, który podkreślał każdy szczegół jej doskonałej figury. Złote kolczyki do ramion, pierścionek na każdym palcu i przerażająco długie, czerwone paznokcie.

- Niezła, co?

- Słucham? - Odwrócił się jak oparzony, natychmiast zapominając o blondynce. Uśmiechała się do niego wysoka brunetka o kobaltowoniebieskich oczach. - Przepraszam, ale nie dosłyszałem...

- Lampa. - Pogłaskała smoka po głowie. - Zastanawiałam się właśnie, czy nie zabrać go ze sobą do domu. Lubi pan smoki?

- Uwielbiam - odparł bez zastanowienia. - A pani... często pani wpada do tego sklepu?

- Tak. - Przezcesała palcami włosy. Kruczoczarne, miękkimi falami spływające na plecy. Zanim zrewanżowała się pytaniem, poczekała, aż nieznajomy ochłonie z wrażenia. - Jest pan tu po raz pierwszy?

- Tak. Cudownie tu.

- Interesuje się pan kamieniami?

- Kiedyś miałem do tego zacięcie - Nash sięgnął po leżący obok lampy ametyst - ale oblałem przed maturą nauki przyrodnicze.

- Obawiam się, że nie nadrobi pan w sklepie zaległości szkolnych. Ale jeśli chce się pan przebudzić i poznać prawdę o samym sobie, to proszę przełożyć kamień do lewej ręki.

- Ach, tak...? - Żeby podtrzymać konwersację, zrobił, jak radziła, ale nie doznał mistycznego objawienia. Czuł jedynie, że bliskość tej dziwnej kobiety sprawia mu coraz większą przyjemność. - Skoro często tu pani bywa, czy nie zechciałaby pani mnie przedstawić szefowej... czarownicy? - Zerknął na blondynkę, która żegnała się z klientkami.

- Potrzebna panu czarownica?

- Tak. To znaczy... w pewnym sensie.

- Nie wygląda pan na kogoś, kto uciekałby się do zakłęb miłosnych.

- Dzięki. Rzeczywiście, jakoś dawałem sobie radę.
- Uśmiechnął się wesoło. - Robię filmy. Chcę napisać scenariusz o czarnej magii w latach dziewięćdziesiątych - no i zbieram materiały. Rozumie pani... sabaty czarownic, seks, rytualne ofiary.

- Aha. - Pochyliła głowę, zamigotały kryształowe kolczyki w kształcie łożki. - Młode, nagie kobiety tańczą przy świetle księżyca w obłąkanym transie, potem warzą w kotłach czarodziejskie mikstury. Wystarczy jedna kropla takiego „lekarstwa”, żeby zwabić nieszczęśnika na rozpustną orgię... Dobrze mówię?

- Mniej więcej. Czy ta Morgana naprawdę wierzy, że jest czarownicą?

- Ona wie, kim jest, panie...

- Kirkland. Nash Kirkland.

- Oczywiście! - Spojrzała na niego uważniej i roześmiała się niskim, dźwięcznym głosem. - Bardzo mi się podobała „Krew o północy”. Pana Drakula jest inteligentny i zmysłowy, a jednocześnie nie burzy wszystkich tradycyjnych pojęć o wampirach. Duża sztuka.

- Duchy cmentarne nie muszą się kojarzyć wyłącznie z trumnami.

- Jasne. Tak jak czarownica nie musi się kojarzyć wyłącznie z kotłem albo miotłą.

- Właśnie. Dlatego chciałbym z nią porozmawiać. Podejrzewam, że jest błyskotliwą osobą i poradzi sobie bez problemu.

- Poradzi sobie? - powtórzyła jak echo, a potem schyliła się, żeby wziąć na ręce wielkiego białego kota, który ocierał się o jej nogę.

- Z plotkami na jej temat. W Los Angeles ludzie opowiadali mi niesamowite historie.

- Wyobrażam sobie. - Głaskała kota po głowie.

patrzając Nashowi prosto w oczy. - Ale pan chyba nie wierzy w czary.

- Wierzę, że potrafię zrobić o nich film. I to bez pudła. - Rozchylił usta w najbardziej czarującym ze swoich uśmiechów. - A więc? Zechce pani wstawić się za mną u czarownicy?

Milczała przez chwilę, nie odwracając wzroku. Cy-nik, pomyślała. Zbyt pewny siebie. Życie ściele mu się różami. Może najwyższa pora, żeby Nash Kirkland poczuł, jak kłują ciernie.

- To nie będzie konieczne. - Podała mu dłoń, długą i wąską, ozdobioną jedynie srebrnym pierścieniem. Nash wdrygnął się, jak gdyby jego rękę przeszył prąd. - Ja jestem twoją czarownicą - powiedziała z łagodnym uśmiechem.

Normalne zjawisko, tłumaczył sobie po chwili. Nie potrzeba do tego czarownicy. Morgana podeszła do klientki, która zapytała ją o ziele świętego Jana. Nie wypuściła jednak kota i nadal głąskała jego białą sierść... No właśnie. Stąd takie wyładowanie!

Zacisnął mimowolnie palce.

Twoja czarownica. Nie był pewny, czy podoba mu się ta dziwna poufałość. Mogła komplikować sprawy. Owszem, Morgana jako piękna kobieta zrobiła na nim wrażenie i w każdej innej sytuacji... Ale sposób, w jaki się uśmiechnęła, kiedy zadrzała mu ręką, zdenerwował go. Właściwie dlaczego?

Spojrzał na Morganę, która sięgała na półkę po suszone zioła. Siła. Och, żadna nadprzyrodzona moc. Po prostu dar, z jakim niektóre piękne kobiety przychodzą na świat. Wrodzona zmysłowość i pewność siebie.

Na szczęście jego zainteresowanie Morganą było

czysto zawodowe... No, może niezupełnie. Trzeba by nie mieć oczu, żeby patrząc na nią, myśleć tylko o pracy. Nash ufał jednak swojemu rozsądkowi.

Począł, aż Morgana obsłuży klientkę, przybrał skruszoną minę i podszedł do lady.

- Powiedz, czy nie znasz jakiegoś skutecznego zaklęcia, które odoczyłoby mnie klepania trzy po trzy?

- Uważam, że sam sobie z tym poradzisz.

Powinna zbyć tego natręta... ale przecież nie bez powodu go zaczepiła. Morgana nie wierzyła w przypadki. Swoją drogą, pomyślała, facet o takich łagodnych, brązowych oczach nie może być kompletnym durniem.

- Niestety, Nash, musimy przerwać tę pogawędkę. Mamy tu dzisiaj wyjątkowy ruch.

- Ale o szóstej zamykacie. Co byś powiedziała na drinka albo kolację?

Zanim zdążyła odmówić, biała kotka wskoczyła na ladę - miękim, bezszelestnym ruchem, tak jak tylko koty potrafią. Kiedy Nash wyciągnął bezwiednie rękę, żeby podrapać ją po głowie, Morgana zanie mówiła. Kotka, zamiast cofnąć się obrażona albo fuknąć wściekle na intruza, wygięła grzbiet mrużąc z zadowolenia.

- Zdaje się, że Luna ci sprzyja. W takim razie do szóstej. Zastanowię się jeszcze, co z tobą zrobić.

- W porządku. - Nash pogłaskał kotkę na pożegnanie i wyszedł ze sklepu.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz... - burknęła Morgana do kotki, patrząc jej prosto w oczy.

Morgana należała do kobiet, które prowadzą nieustanną wojnę ze swoją impulsywną naturą, dlatego wolałyby usiąść w fotelu i zastanowić się spokojnie,

co dalej. Niestety, aż do wyjścia ostatniego klienta o odpoczynku nie było mowy. Od czasu do czasu przekonywała więc samą siebie, że jakoś sobie poradzi z przemądrzałym gawędziarzem o szczenięcych oczach.

- Uff! - Mindy, fantastycznie zbudowana blondynka, w której Nash doszukał się modelowych cech współczesnej czarownicy, po raz pierwszy tego dnia usiadła na krześle. - Takiego tłumu nie miałyśmy od świąt.

- I podobnie będzie we wszystkie soboty do końca miesiąca - odparła Morgana.

- Wymyśliłaś zaklęcie na robienie forsy?

- Wystarczy, że gwiazdy sprzyjają interesom - uśmiechnęła się pogodnie. - No i ta nowa wystawa. Jest cudowna! Możesz iść do domu, Mindy. Sama zrobię porządek i wszystko pozamykam.

- Pomogę ci. - Już miała zsunąć się ze stołka, gdy nagle znieruchomiała. - O rany, popatrz. Wysoki, opalony i pociągający.

Morgana zerknęła przez okno i zachichotała. Nash, który tym razem zaparkował przed samym sklepem, zamykał samochód.

- Spokojnie, Mindy, nie rozmarzaj się. Tacy mężczyźni łamią serca z premedytacją. Na zimno i w białych rękawiczkach.

- W porządku. Już dawno nie miałam złamanego serca. Przyjrzyjmy się dokładnie... Metr osiemdziesiąt, chudy, właściwie pospolity typ. Może nawet infantylny. Pewnie lubi się wylegiwać na słońcu, ale nie przesadza z tym. Dobre kości policzkowe - będzie przystojniak z wiekiem. I te usta...

Kiedy Nash dotknął klamki, Mindy natychmiast zmieniła pozycję na bardziej filmową.

- Witaj, piękny królewiczu. Czy chciałbyś kupić coś naprawdę czarodziejskiego?

- A co firma poleca? - Nash błysnął zębami w uśmiechu.

- A więc...

- Mindy, pan Kirkland nie jest zwykłym klientem - przerwała jej Morgana rozbawionym głosem. - Umówiliśmy się na spotkanie.

- Może innym razem - szepnął Nash.

- Może... - Mindy pożegnała Nasha powłóczytym spojrzeniem i zniknęła za drzwiami.

- Założę się, że ta dziewczyna podnosi ci obroty nie uciekając się do czarów.

- Podnosi też ciśnienie wszystkim mężczyznom. Jak tam twoje?

- Masz tu jakąś butlę z tlenem?

- Niestety. Ale możesz zaczerpnąć powietrza na zewnątrz. - Poklepała go żartobliwie po ramieniu. - Usiądź, proszę. Mam jeszcze kilka rzeczy do... Cholera.

- Słucham?

- Nie zdążyłam zamknąć drzwi i odwrócić tabliczki - mruknęła pod nosem, uśmiechając się promiennie do niepożądanego klientki. - Witam, pani Littleton.

- Morgana... - westchnęła kobieta z ulgą i niekłamano radością.

Nazwisko jak ulał... Nash omal nie parsknął śmiechem. Pani Małatona była kobietą ogromnej postury. Miała sześćdziesiątkę z okładem, zwiewną kolorową suknię, na głowie szopę ognistorudych loków, które okalały twarz pełną jak księżyc. Karminowe usta kontrastowały z silnym makijażem oczu w tonacji zielonej.

- Wybacz - chwyciła dłonie Morgany - że wpa-

dam do ciebie jak burza w ostatniej chwili, ale, nie uwierzysz, musiałam zbesztać policjanta, który próbował wlepić mi mandat. Wyobrażasz sobie? Chłopak ledwie odrósł od ziemi, mleko pod nosem, i mnie będzie uczył przepisów! Ale nic, szkoda gadać. Znajdziesz dla mnie kilka minut?

- Oczywiście. - Morgana nie miała wyjścia. Zbyt lubiła tę kobietę, żeby zrobić jej przykrość.

- Jesteś boska. Czyż nie mam racji? - Pani Littleton po raz pierwszy zauważyła Nasha.

- Całkowitą.

Zrobiła krok w jego kierunku, pobrzękując bransoletami i łańcuszkami.

- Strzelec, prawda?

- Zaraz... - Postanowił odmłodzić się o kilka miesięcy, żeby nie zawieść starszej pani. - Rzeczywiście. Niesamowite.

- Ma się to oko... - powiedziała z dumą, odwracając twarz do Morgany. - Przeszkadzam ci w randce, ale naprawdę, kochanie, tylko na chwilę.

- Nie mam żadnej randki - odpowiedziała spokojnie Morgana. - W czym mogę pani pomóc?

- Nie mnie... - zrobiła minę skruszonego dziecka - tylko mojej ciotecznej wnuczce. Chodzi o zabawę szkolną i... tego miłego chłopca, z którym chodzi na zajęcia z geometrii.

Morgana jęknęła cicho i zamknęła oczy. Nic z tego. Tym razem będzie jak skala. Ujęła panią Littleton pod ramię i odciągnęła na bok.

- Tłumaczyłam już pani, że nie pracuję w ten sposób.

- Wiem. Wiem, że zwykle tego nie robisz, ale... sprawa jest warta świeczki, naprawdę...

- Jak wszystkie podobne sprawy. - Morgana

kątem oka zerknęła na Nasha, który wyraźnie podsłuchiwał. Odeszły dalej. - Sama wiem, że pani wnuczka jest wspaniałą dziewczyną. I że zasługuje na szczęście. Ale organizować jej randkę? To lekkomyślność. Proszę zrozumieć, że skutki takiej ingerencji mogą być opłakane. Nie - zakończyła stanowczo.

- Chodzi o jeden wieczór. Tylko jeden.

- Jeden wieczór może zmienić stulecia. Nikomu nie wolno igrać z losem.

- Tylko że... widzisz, ona jest taka nieśmiała...

- Pani Littleton zrobiła minę żebraczki, której odmówiono kromki chleba. - Uważa, że jest brzydka, że nikomu się nie podoba. Bzdura! Popatrz...

Morgana nie chciała na nic patrzeć, ale zanim zdążyła zaprotestować, trzymała w ręku zdjęcie nastolatki o przeraźliwie smutnych oczach. Niech to diabli! Na darmo strzepiła sobie język. Kiedy w grę wchodziła szczenięca miłość, Morgana miękła jak wosk.

- Mogę spróbować, lecz nie gwarantuję skutku.

- Dziękuję, kochanie. - Odczekawszy chwilę, pani Littleton wyjęła z torebki drugie zdjęcie. - A to Matthew. Ładne imię, nie sądzisz? Matthew Brody i Jessie Littleton. Nie zapomnisz o nich, prawda? Zabawa odbędzie się w pierwszą sobotę maja.

- Słowo się rzekło. - Morgana schowała zdjęcia do kieszeni.

- Niech cię Bóg błogosławi, aniołku. Nie zatrzymuję was dłużej, wpadnę tu w poniedziałek.

- Życzę miłego weekendu. - Rozdygotana wewnętrznie Morgana odprowadziła ją do drzwi.

- Czy nie powinna była zostawić srebrnej monety? - zapytał Nash.

- Nie wszystko jest na sprzedaż - odparowała mierząc go chłodnym wzrokiem.

- W porządku. - Wzruszył ramionami. - Pozwolę sobie jednak zauważyć, że ta kobieta owinęła cię dookoła palca. Jak gdyby to ona miała nad tobą władzę, a nie...

- Wiem - ucięła lodowato. Bardziej niż własnych słabości, nienawidziła publicznego ich obnażania. Dotknęła dłonią rozpalonego policzka.

- Myślałem, że czarownice są twarde i nieustępliwe.

- Stereotypy. Ja akurat mam wyjątkową słabość do ekscentryczek o gołęmbim sercu. A ty nie urodziłeś się pod znakiem Strzelca.

- Nie? To pod jakim?

- Bliźniąt.

- Brawo. Zgadłaś. - Nash uniósł brwi i włożył ręce do kieszeni.

- Rzadko zgaduję. - Morgana uśmiechnęła się pojednawczo. - Skoro byłeś taki miły i nie zraniłeś jej uczuć, ja, z wdzięczności, nie wyładuję na tobie swojej złości. Chodźmy na zaplecze, zaparzę ci herbaty. - Roześmiała się głośno, widząc rozczarowanie w jego oczach. - W porządku, napijemy się wina.

- To brzmi lepiej.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia, które służyło za magazyn, biuro oraz kuchenkę. Mimo ogromnej ciasnoty, panował w nim zaskakujący ład i harmonia. W powietrzu unosił się zapach świeżych ziół. Nash próbował odgadnąć: szałwia, może oregano, odrobina lawendy? Cokolwiek to było, poczuł się cudownie odprężony.

Morgana zdjęła z półki dwa kryształowe kielichy.

- Siadaj. Nie mogę poświęcić ci zbyt wiele czasu, ale zadbajmy o nastrój... - Roześmiała się cicho.
- Z tą herbatą oczywiście żartowałam.

Wyjęła z lodówki zielonkawą, wysmukłą butelkę, a potem napełniła kieliszki jasnozłotym napojem.

- Wino w butelce bez nalepki?

- Mojej własnej produkcji i według własnego przepisu. - Z uśmiechem na twarzy, spróbowała pierwsza. - Nie bój się, nie dodałam do tego ani jednego oka ropuchy.

Powinien odciąć się żartem, roześmiać... ale sposób, w jaki Morgana mierzyła go wzrokiem, wprawiał Nasha w dziwne zakłopotanie. Czułby się jednak sto razy gorzej, gdyby nie przyjął wyzwania. Wypił pierwszy łyk wina. Było idealnie schłodzone, lekko słodkie, o jedwabistym smaku.

- Nieźle.

- Dziękuję. - Usiadła na sąsiednim krześle. - Nie zdecydowałam jeszcze, czy ci pomogę, czy nie. Ale... ciekawi mnie magia, którą uprawiasz.

- Lubisz kino? - zapytał z ożywieniem, zadowolony, że rozmowa nareszcie zaczyna się kleić.

- Kino też. Lubię każdą sztukę, która czerpie z wyobraźni i do wyobraźni przemawia.

- Świetnie. W takim razie...

- Szkopuł w tym - przerwała mu chłodno - że wcale nie jestem pewna, czy chciałabym sprzedać moje osobiste doświadczenia jakiejś hollywoodzkiej „produkcji”.

- O wszystkim możemy porozmawiać. - Uśmiechał się zadowolony, z sekundy na sekundę odzyskując pewność siebie. Luna, która do tej pory leżała przy jego nodze i domagała się pieśzcot, wskoczyła na stół. Nash dopiero teraz zauważył zdobioną kryształami obrozę na jej szyi. - Posłuchaj, Morgano. Ani w tym, ani w żadnym innym filmie, nie mam zamiaru niczego udowodniać ani występować

w „słusznej sprawie”. Nie będę obalać cudzych poglądów, protestować ani naprawiać świata. Ja chcę po prostu robić kino.

- Dlaczego akurat horrory? Skąd to zainteresowanie czarną magią?

- Dlaczego? - Wzruszył ramionami. Zawsze czuł się nieswojo, kiedy zadawano mu to pytanie. - Nie wiem. Może dlatego, że właśnie na horrorach ludzie, gryząc ze strachu paznokcie, zapominają o bezna-dziejnym dniu spędzonym w biurze. A może i dlatego, że dawno temu, na jakimś wspaniałym dreszczowcu, po raz pierwszy w życiu nie dostałem po łapach od dziewczyny...

Morgana sączyła w milczeniu wino. Może... Może pod maską zarozumialca i twardziela kryje się wrażliwa dusza... W każdym razie na pewno nie brakuje mu talentu ani uroku. Niedobrze... Opanowało ją dziwne uczucie, że nie panuje nad sytuacją.

Oczywiście, nie jest aż tak źle - potrafi mu odmówić i robi to, jeśli tylko zechce, ale z drugiej strony... może warto spróbować. Powinna przynajmniej wiedzieć, o co chodzi.

- Opowiedz mi coś bliższego o historii, którą będziesz wymyślał.

- Właściwie nie ma jeszcze o czym mówić. Zaczynam od ciebie. Najczęściej, zanim napiszę pierwsze zdanie, mam pełną głowę szczegółów, informacji, fachowych lektur. - Rozłożył ręce. - Tym razem - mimo że przeczytałem co nieco - uważam, że to wszystko na nic. Muszę złapać nastrój. Zacząć od czegoś konkretnego: autentycznej bohaterki, jej doświadczeń, osobowości... Rozumiesz? Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób związałaś się z okultyzmem,

czy bierzesz udział w ceremoniach, spędach, jak się przebierasz...

- Obawiam się, niestety, że wpadłeś w jakąś pułapkę i zaczynasz od własnych błędnych wyobrażeń. Z tego, co zrozumiałam, wydaje ci się, że należę do jakiegoś klubu, a ty chciałbyś poznać obyczaje jego członków.

- Klub czy sabat...

- Nie należę do żadnego sabatu. Lubię pracować na własny rachunek.

- Ale dlaczego?

- Istnieją stowarzyszenia uczciwe i nieuczciwe. Również takie, o których zainteresowaniach lepiej nie mówić.

- Czarna magia.

- Mniejsza o nazwy.

- Więc ty jesteś raczej dobrą wróżką.

- Uwielbiasz etykiety, prawda? Świat nie nazwany wydaje ci się niezrozumiały.

Morgana pokręciła bezradnie głową i sięgnęła po kieliszek. W przeciwieństwie do Nasha, bez cienia skrępowania mogła rozmawiać o swoim powołaniu, o tym, jak je wykorzystuje... Z jednym zastrzeżeniem. Jeśli godzi się na poważną rozmowę, wymaga poważnego traktowania tego, co mówi.

- Wszyscy przychodzimy na świat z jakimiś wrodzonymi talentami, Nash. Obdarzeni szczególną mocą, darem - nazwij to, jak chcesz. Ty potrafisz wymyślać ciekawe historie. I oczarowywać kobiety. Jestem pewna, że cenisz swoje zdolności i chętnie je wykorzystujesz. Ja też.

- A na czym polega twój szczególny dar?

Odstawiła kieliszek bardzo powoli, jakby chcąc zyskać na czasie, a potem uniosła głowę i spojrzała

mu prosto w oczy. Nash zdrętwiał i natychmiast pożałował głupiego pytania. Właśnie na tym... Na sile woli, pewności siebie, spojrzeniu, które powala na kolana każdego faceta. Poczul, że ma kompletnie sucho w gardle. Z bólem przełknął łyk wina, które smakowało jak woda albo piasek...

- A czego się spodziewasz? Przedstawienia? - W jej głosie zabrzmiała pierwsza niecierpliwa nuta.

Nash zaczął oddychać głęboko, niemal rozpaczliwie, z trudem budząc się z transu... Raczej dziwnego odrętwienia, bo przecież nie wierzył w coś takiego jak trans.

- Dlaczego nie? Jeśli w nim wystąpisz... - Wiedział, że igra z ogniem, a jednak nie mógł sobie odmówić tej przyjemności. Szedł na całość.

Morgana zmrużyła oczy. Ogarnęło ją nagłe, mimowolne podniecenie. A potem zażenowanie.

- Na co miałbyś ochotę? Żeby strzeliła z palców piorunami czy ściągnęła na ziemię księżyc? A może sprowadzić wicher?

- Wybór należy do artystki.

Cóż za tupet, pomyślała z podziwem i zarazem złością. Kubek zimnej wody dobrze by mu zrobił...

- Cześć, Morgano.

Zdrętwiała na chwilę, a potem z wymuszonym uśmiechem odwróciła głowę.

- Ana...

Nash czuł przez skórę, że wizyta tej kobiety uratowała go przed prawdziwym kataklizmem. Z drugiej strony, gra z Morgana pochłaniała go do tego stopnia, że nie zauważyłby ani wichury, ani trzęsienia ziemi. Stał teraz osłupiały, błędnym wzrokiem wpatrując się w blondynkę o imieniu Ana. Była piękna. O całą głowę niższa od Morgany, ale jej

szare, łagodne oczy promieniowały identyczną siłą. Z pudła, które niosła przed sobą, wysypało się kilka kwiatów.

- Nie przekreśliłaś tabliczki, więc weszłam.

- Ano, to jest Nash Kirkland - powiedziała Morgana - a to moja kuzynka Anastazja.

- Przepraszam, że wam przeszkodziłam. - Głos Any był niski i ciepły, równie kojący jak jej wzrok.

- Nie przeszkodziłaś. - Morgana odwróciła się do Nasha, który natychmiast poderwał się z miejsca. - Właśnie skończyliśmy.

- Dopiero zaczęliśmy - sprostował. - Ale możemy przełożyć rozmowę na kiedy indziej. Miło mi cię poznać - zwrócił się do Anastazji, a Morganę obdarzył czarującym spojrzeniem. - Do następnego spotkania - szepnął poufale, a potem dotknął jej policzka i odgarnął za ucho włosy.

- Nash. - Morgana wyjęła z pudełka Anastazji kilka kwiatów. - To prezent dla ciebie. - Odwzajemniła się promiennym uśmiechem. - Pachnący groszek. Symbolizuje rozstanie.

Nie mógł się temu oprzeć. Przytrzymał rękę z kwiatami i pocałował Morganę w usta.

- Nic z tego, czarodziejko. Do szybkiego zobaczenia. - Odwrócił się, pomachał dłonią na pożegnanie i wyszedł ze sklepu.

Morgana wybuchnęła zduszonym chichotem.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - Z głośnym westchnieniem ulgi Anastazja opadła na krzesło.

- Chyba nie ma o czym. Drobnny kłopot... ale czarujący, prawda? Pisarz o dość konwencjonalnych poglądach na czarownice.

- Ach! Ten Nash Kirkland! - Anastazja wyciągnęła rękę po kieliszek Morgany i z niekłamaną rozkoszą

umoczyła w nim usta. - Pamiętam, że ty i Sebastian zaciągnęliście mnie kiedyś na krwawy horror. Autorem scenariusza był właśnie Nash Kirkland...

- Świetny film. Błyskotliwy, dobrze zrobiony.

- Rzeczywiście. Krew lała się strumieniami, a trup ścielił równo. Ale ty to lubisz, prawda?

- W kinie. Oglądając zło, można się upewnić, co jest dobre. A przy okazji nieźle ubawić. - Zmarszczyła czoło. - A on wie, co robi. I robi to genialnie.

- Powiedzmy. Ale ja wolę oglądać braci Marx. - Anastazja podeszła do roślin na parapecie i zaczęła sprawdzać listek po listku. - Zauważyłam, co się między wami działo, Morgano. Byłaś napięta jak struna i wyglądałaś, jakbyś chciała przerobić tego biednego faceta na ropuchę.

- Ależ mnie korciło! Ta jego poza mądrali, ta wiecznie zadowolona z siebie mina... Nie powiem, wyprowadził mnie z równowagi.

- Zbyt łatwo dajesz się wyprowadzać z równowagi, kochanie. Tyle razy obiecywałaś, że spróbujesz nad sobą panować.

- Słuchaj, Ano, czy ten facet wyszedł stąd na dwóch nogach, czy mi się tylko wydawało? - Z miną nadąsanego dziecka Morgana zaczęła saczyć wino z kieliszka Nasha. I natychmiast tego pożałowała. Zbyt wiele z siebie zostawił w tej odrobinie płynu...

Jest bardzo silny, pomyślała odstawiając kieliszek. Niebypałe... Beztroski uśmiech, luz, maska cynika - a w środku niezłomny charakter.

Dlaczego nie zaczarowała tych kwiatów... Nie, żadnych sztuczek. Coś ich ku sobie popycha, ale zapanuje nad tym. Zapanuje nad własnym niepokojem i nad Nashem Kirklandem. Bez magii.

ROZDZIAŁ DRUGI

Morgana uwielbiała niedziele. Długie spokojne popołudnia, kiedy z rozkoszą - i czystym sumieniem - oddawała się lenistwu. Folgowała sobie we wszystkim, robiła to, co chciała, albo nie robiła niczego. Żadnej tęsknoty za poniedziałkiem, żadnego niepokoju - czas darowany...

Trudno byłoby jej zarzucić, że nie lubi pracować. Włożyła mnóstwo czasu i wysiłku w urządzenie sklepu, sprawiła, że miał coraz więcej stałych klientów i przynosił coraz większe dochody. Nie wykorzystwała przy tym ani razu swoich szczególnych zdolności... Sukces zawdzięczała wyłącznie pracy - wierząc jednak niezmiennie, iż właściwą nagrodą za codzienną harówkę jest godny wypoczynek.

W przeciwieństwie do wielu typowych właścicieli sklepów, nie ślęczała nad rachunkami ani nie urządzała zbyt częstych remanentów. Robiła to, co do niej należało - najlepiej jak potrafiła. Ale kiedy wychodziła na ulicę - choćby tylko na godzinę - zapominała o interesach.

Nie rozumiała ludzi, którzy cały boży dzień spędzają za ladą, a wieczorami liczą straty i zyski. Ona zatrudniała księgową.

W domu nie zdecydowała się na służącą, ponieważ nie umiała sobie wyobrazić, żeby ktoś obcy porządkował jej osobiste rzeczy. A jeśli sama uprawiała

ogród, to nie z nadmiernej pracowitości, ale dlatego, że obcowanie z roślinami sprawiało jej ogromną przyjemność. Dawno jednak pogodziła się z myślą, że jedynie Anastazja rozumie mowę kwiatów, ziemi i słońca, i że ona nigdy jej w tej sztuce nie dorówna.

Kłęczała teraz nad roślinami w ogródku skalnym, ciesząc się upalnym dniem, zapachem hiacyntów i rozmarynu - oraz irlandzką muzyką, która dobiegała z otwartego okna.

Luna pławiła się w lenistwie. Wyciągnięta jak długa na gorącym piasku, ze zmrużonymi oczami, ożywiła się odruchowo na widok przelatujących ptaków. Na próżno - pani nie znosiła polowań.

Kiedy z cienia pod krzakiem wyczołgał się pies i położył łeb na kolanach Morgany, kotka, mruknąwszy coś z niesmakiem, zasnęła. Psy nie mają godności.

Morgana usiadła na piętach i odwróciła twarz do słońca. Uśmiechnęła się. Czy potrafiłaby tak siedzieć beczynn timer i uśmiechać do słońca w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi? Wiele podróżowała, oglądała cudowne krajobrazy, a jednak nie chciałaby mieszkać nigdzie indziej. Była częścią Monterey. Tutaj się urodziła i tylko tutaj umiała być szczęśliwa.

Wiedziała o tym od dzieciństwa. Nigdy nie wątpiła, że znajdzie tu kiedyś miłość, urodzi dzieci. Westchnęła bezgłośnie i zamknęła oczy. Z tym przyjdzie jej poczekać. Była zadowolona ze swojego życia, nie miała żadnych pretensji do losu, nie pędziła na oślep. Na wszystko musi przyjść pora.

Kiedy pies niespodziewanie zawarczał, Morgana nie odwróciła nawet głowy. Wiedziała, że przyjdzie. Nie potrzebowała szklanej kuli, żeby to przewidzieć. Zresztą nie uważała się za jasnowidza - to poletko

należało do kuzyna Sebastiana. Kobietom wystarcza intuicja. Siedziała uśmiechnięta, nie zmieniając pozycji, podczas gdy pies ujadał coraz głośniej. Zobaczymy, pomyślała, czy Nash Kirkland lubi wszystkie zwierzęta...

Nash tłumaczył sobie w duchu, że to niemożliwe, żeby prawdziwy wilk... Ale w końcu co za różnica, czy bestia, która ma w oczach mord, jest prawdziwym wilkiem, czy tylko na wilka wygląda...

Poczuł, że coś miękkiego ociera się o jego nogę. Luna. Dobrze i to...

- Masz miłego pieska - powiedział niepewnie. - Miły, duży piesek.

- Wybrałaś się na niedzielną przejażdżkę? - Morgana ledwie raczyła odwrócić głowę.

- Coś w tym rodzaju.

Pies warczał coraz ciszej i groźniej. Kiedy ruszył do przodu, Nash poczuł, że kropelki potu spływają mu po plecach.

- Ja...

Łeb z wyszczerzonymi zębami zawisł nad butami Nasha. Pies zaczął je obwąchiwać, potem wyprostował szyję i swoimi niebieskimi ślepiami zajrzał w twarz intruzowi.

- Dobre psisko, piękny jesteś, wiesz? - Z odwagą hazardzisty Nash wyciągnął rękę. Pies obwąchał ją dokładnie... i polizał na zgodę.

Morgana przyglądała się całej scenie z zasznurowanymi ustami. Jej Pan nie był na tyle groźny, żeby robić użytek z zębów - ale też nigdy dotąd nie zaprzyjaźnił się tak szybko z obcym człowiekiem.

- Masz podejście do zwierząt.

Nash klęczał na trawie, przemawiając do psa i drapiąc go gdzie popadło. Zdał sobie nagle sprawę.

że przez całe dzieciństwo marzył o takim właśnie psie i to pragnienie nadal w nim tkwiło.

- Czują, że w głębi duszy jestem dzieckiem. Jaka to rasa?

- Pytasz o rasę Pana? - Uśmiechnęła się tajemniczo. - Umówmy się, że należy do klanu Donovanów. Słucham, Nash. Co mogę dla ciebie zrobić?

Przyglądał się Morganie w milczeniu. Wielki słomiany kapelusz z szerokim rondem, spod którego wystawały tylko pojedyncze kosmyki włosów, zmienił ją prawie nie do poznania. Gdyby nie te błyszczące, kobaltowe oczy... Miała na sobie za ciasne džinsy i workowatą, bawełnianą koszulkę. Dłonie bez rękawiczek, oblepione czarną, tłustą ziemią. Bose stopy. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że widok bosych stóp może być tak piękny.

- Ależ na mnie patrzysz - powiedziała rozbawionym głosem.

- Przepraszam. Zamyśliłem się.

- Nie ma za co. Może zaczniesz od tego, jak mnie znalazłeś.

- Szczerze mówiąc, bardzo łatwo. Ludzie cię znają. Poszedłem na kolację do restauracji - tej koło twojego sklepu - i uciałem sobie pogawędkę z kelnerką.

- To brzmi więcej niż wiarygodnie.

Wyciągnął rękę i dotknął amuletu na jej szyi. Ładny, pomyślał, jakby półksiężyc, z wrytym napisem. Po grecku? Arabsku? Nie znał się na tym.

- Otóż ta młoda osoba, żarliwa i nawiedzona, okazała się kopalnią wiedzy... która mnie szczególnie interesuje. Czy na wielu ludzi masz taki wpływ?

- Oczywiście. Całe armie panienek przerabiam na żarliwe i nawiedzone. - Początek rozmowy wprowadził

Morganę w doskonały humor. - Czy opowiadała ci, że w czasie każdej pełni księżyca latam nad zatoką na miotle?

- Ciepło - odparł zamyślony i puścił amulet. - Mówiąc poważnie, ciekawi mnie, w jaki sposób normalni, średnio inteligentni ludzie dają się wciągać w te wszystkie nadprzyrodzone dyrdymały.

- Czy nie z tego właśnie żyjesz?

Postanowił sprowadzić rozmowę na właściwe tory, zaczynając tym razem od kuchni.

- Znasz się na roślinach? Kwiatach, ziołach, i tak dalej?

- Co nieco. - Odwróciła się, żeby wsadzić do ziemi ostatnią sadzonkę melisy.

- Może mi doradzisz, co powinienem zrobić ze swoim zapuszczonym ogrodem? Nawet nie wiem, co w nim rośnie.

- Zatrudnić ogrodnika - odrzekła bez zastanowienia, ale natychmiast się uśmiechnęła i powiedziała łagodnie: - Mogłabym rzucić okiem na twój tajemniczy ogród. W wolnej chwili.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny. - Otarł z jej policzka czarną kropkę. - Morgano, naprawdę mogłabyś mi pomóc z tym scenariuszem. To żadna sztuka nacytać się książek i sklecić jakąś bajkę. Mnie chodzi o jakiś własny punkt widzenia, coś bardzo osobistego. A poza tym...

- Co takiego?

- Ty masz w oczach gwiazdy - mruknął. - Żółte, maleńkie gwiazdki... Wyobraź sobie, że w środku nocy oglądasz słońce odbijające się w morskiej toni. Ale przecież nie można mieć słońca w środku nocy.

- Można mieć wszystko, tylko trzeba wiedzieć, jak

to zdobyć. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Powiedz, czego naprawdę chcesz.

Powinien uciec przed jej wzrokiem, żeby ratować duszę. Nie umiał.

- Dać ludziom dwie godziny przyzwoitej zabawy, żeby zapomnieli na amen o swoich kłopotach, rzeczywistości, o wszystkim. Żeby po wygaśnięciu świateł weszli w mój świat i utonęli w nim po uszy. Dobra fabuła - wszystko jedno, czy filmowa, czy powieściowa - jest jak drzwi, przez które można przechodzić dowolną ilość razy. Wracasz do niej, kiedy tylko zechcesz. Jeśli ją raz kupiłeś - na zawsze jest twoja.

Przerwał nagle, zmieszany i przerażony własnym gadulstwem. Koniec świata. Wypowiedzi na serio nigdy nie były jego mocną stroną - i zupełnie nie pasowały do wizerunku „faceta na luzie”. Iluż to wytrawnych dziennikarzy i specjalistów od wywiadów zaginało na niego parol, godzinami próbując wydobyć choć jedno poważne zdanie. A ona po prostu spytała.

- No i, rzecz jasna - uśmiechnął się błazeńsko - chcę zarobić mnóstwo szmalu.

- Wydaje mi się, że te dwa pragnienia wcale się nie wykluczają. W mojej rodzinie aż się roi od zawodowych gawędziarzy - na mojej matce skończywszy. Zgadzam się z tobą, że trudno przecenić wartość dobrej fabuły.

Pewnie dlatego nie spławiła go od razu. Szanuje talent, który sama ma we krwi.

- Posłuchaj, Nash. Nawet jeżeli się zgodzę, nie pozwolę, żebyś zniżał się w tym scenariuszu do najpospolitszych banałów. Żadnych starych, paskudnych wiedźm, mieszających w kotle trujące zioła.

- Przekonaj mnie, że jest inaczej - uśmiechnął się szelmowsko.

- Ale miej się na baczności - mruknęła pod nosem, podnosząc się z kolan. - Wejdzmy do domu. Umieram z pragnienia.

Nash od dawna wiedział, że nad Zatoką Monterey jest mnóstwo pięknych, oryginalnych domów - dlatego jeden z nich kupił - ale willa Morgany wydała mu się skończonym dziełem sztuki.

Dwupiętrowa, z kamienną basztą i wieżyczkami, w niczym jednak nie przypominała ponurego średniowiecznego zamku. W oknach, wysokich i kształtnych, odbijało się słońce jak w kryształowych lustrach. Bluszcze i pnące kwiaty otulały mury kolorowym dywanem.

Scena we wnętrzu, w kamiennej baszcie z widokiem na morze. Noc. W kręgu płonących świec stoi młoda, piękna czarownica. Drżące światełka odbijają się w twarzach posągów, czaszkach srebrnych pucharów, w kryształowej kuli. Kobieta jest w białej, przezroczystej sukni. Na odsłoniętym dekolcie połyskuje ciężki, rzeźbiony amulet. Przy akompaniamencie dziwnego jęku - który nie wiadomo, czy wydobywa się z jej krtani, czy jest poszumem wiatru - unosi w górę dwie fotografie.

Migoczą świece. W zamkniętym pokoju jej włosy i suknia falują. Zaczyna śpiewać. Prastare zaklęcia, niski, zawodzący głos. Wkłada zdjęcia do płomienia... Nie, rysuje po nich paznokciem... Nie. Oblewa je gorącym płynem z wyszczerbionej, niebieskiej miski. Syk pary. Czarownica kołysze się rytmicznie, potem skleja fotografie - twarzą do twarzy - i odkłada na srebrną tacę. Uśmiecha się tajemniczo, kiedy topią się z sykiem.

Koniec sceny.

Podobała się Nashowi... Chociaż mógłby ubarwić moment wypowiedzianego zaklęcia.

Zadowolona z milczenia, Morgana poprowadziła Nasha cyprysową alejką na tyły domu. Zatrzymali się na kamiennym dziedzińcu w kształcie pentagramu - pięciokąta gwiaździstego, figury magicznej, zwanej w starożytności Stopą Czarownika albo Pieczęcią Salomonową. Atrakcją tego miejsca była rzeźba z brązu przedstawiająca kobietę. U jej stóp znajdowała się maleńka sadzawka, w której bulgotała krystalicznie czysta woda.

- Czy ona ma jakieś imię? - spytał Nash.

- Ma wiele imion. - Morgana podeszła do figury, leżącym w pobliżu czerpakiem nabrała trochę wody, wypła dwa łyki, a resztę wylała na ziemię. Dla bogini. Potem odwróciła się bez słowa i weszła do domu.

- Wierzysz w Stworzyciela? - zapytała, kiedy znaleźli się w kuchni.

- Taak... Chyba tak. - To obcesowe pytanie zaskoczyło go i zbiło z tropu. Milczał przez chwilę, czekając, aż Morgana umyje ręce. - Czy twoja magia... to sprawa religijna?

- Życie to sprawa religijna. - Uśmiechnęła się i wyjęła z lodówki dzbanek lemoniady. - Spokojnie, Nash, ani myślę cię nawracać. Ale takie pytanie nie powinno cię wprawiać w zakłopotanie. Przecież we wszystkich filmach opowiadasz o walce dobra ze złem. Ludzie codziennie dokonują trudnych wyborów, takich czy innych...

- A ty?

- Cóż, ja też. Nie ma dnia, żebym nie próbowała zapanować nad swoimi nagannymi odruchami

- rzuciła mu wymowne spojrzenie - ale nie zawsze z powodzeniem. - Podała Nashowi szklankę, gestem dłoni zapraszając do zwiedzenia domu.

Kroczyli szerokim, niemal zamkowym korytarzem. Splotały gobeliny na ścianach przedstawiały sceny rodzajowe z mitologii i legend.

Weszli do pokoju, który babcia Morgany nazywała różowym salonem. Ściany w odcieniu ciepłego różu harmonizowały z orientalnym dywanem, podłogą z drzewa kasztanowca oraz rzeźbionym obramowaniem kominka.

Nash westchnął z zachwytu. Dostrzegł tu więcej pięknych przedmiotów niż w sklepie WICCA. Kryształ, czarodziejskie różdżki, wahadełka, kolekcja drobnych rzeźb. Ołowiani czarodzieje, wróżki z brązu, porcelanowe smoki. I prawdziwa złota harfa... Oglądał ją z nabożeństwem, potem przebiegł palcami po strunach.

- Grasz na niej?

- Kiedy mam dobry nastrój. - Patrzyła rozbawiona, jak krąży po pokoju, zatrzymuje się przed każdym drobiazgiem, wszystkiego dotyka, kręci z niedowierzaniem głową.

Sięgnął po srebrny kielich zdobiony delikatnymi rowkami i pociągnął kilka razy nosem.

- Pachnie czymś...

- Ogniem piekielnym? - odpowiedziała z kąpiącym uśmiechem.

Odstawił kielich na półkę. Wziął do ręki ametystową różdżkę, inkrustowaną kamieniami, z uchwytem oplecionym srebrną nitką.

- To czarodziejska różdżka?

- Oczywiście. Lepiej się tym nie baw... - Zabrała mu ją delikatnie i odłożyła na miejsce. - Muszę ci

się pochwalić, że mam sporą kolekcję podobnych drobiazków i że wiele z nich zdobyłam sama.

Nash milczał zamyślony. Pochylił się nad szklaną kulą i zobaczył w niej własne odbicie.

- W zeszłym miesiącu wypatrzyłem na aukcji maskę szamańską i, jak wy to nazywacie, czarodziejskie zwierciadło. A więc coś nas łączy...

- Oczywiście. Zamiłowanie do sztuki. - Usiadła na oparciu kanapy.

- I podobnej literatury. - Podszedł do biblioteki. - Lovecraft, Bradbury, Stephen King, Hunter Brown, McCaffrey. O rany, czy to nie...? - Sięgnął po jedną z książek, otworzył ją z pietyzmem na stronie tytułowej. - Jasne. Pierwsze wydanie „Drakuli” Brama Stokera. Pisząc „Krew o północy” wciąż się zastanawiałem, czy mój scenariusz spodobałby się Stokerowi. A to co... - Uwagę Nasha przyciągnęła teraz seria wydawnicza o wąskich kolorowych grzbietach.

- „Cztery złote kule. Władca Zaczarowanej Krainy”. - Sięgnął po następny tomik. - „Królowa wichrów”. Masz wszystkie jej książki... I to pierwsze wydania!

- Czytałeś Brynę?

- Pytanie! Każdą przeczytałem co najmniej dziesięć razy. Tylko głupiec mógłby powiedzieć, że to takie sobie książeczki dla dzieci. Uważam, że jest w nich tyle poezji i magii - i tyle mądrości - że... na pewno bym je zabrał na samotną wyspę. No i te bajeczne ilustracje! Oddałbym duszę diabłu, żeby kupić choć jeden z jej oryginalnych rysunków, ale niestety...

- Prosiłeś ją o to? - spytała Morgana, wyraźnie ożywiona.

- A jakże. Wysłałem tonę błagalnych listów do jej agenta. Nic z tego. Mieszka w jakimś zamku w Ir-

landii i pewnie tapetuje ściany własnymi szkicami. Chciałbym przynajmniej... - Usłyszał cichutki śmiech Morgany.

- Tak naprawdę, trzyma je w grubym albumie. Z myślą o przyszłych wnukach.

- Donovan. - Nash włożył ręce do kieszeni i zmrużył oczy. - Bryna Donovan. To twoja matka.

- Tak. Twoje pochwały sprawiłyby jej ogromną radość, możesz mi wierzyć. Nie ma to jak dobre słowo kolegi po fachu. Moi rodzice mieszkali w tym domu wiele lat. A pierwszą wydaną książkę moja matka pisała tam, na górze, kiedy była w ciąży ze mną. Do dziś utrzymuje, że to ja ją zmusiłam.

- Czy twoja matka wierzy, że jesteś czarownicą?

- Sam ją zapytaj, jeśli zdarzy się okazja.

- Znow się wykręcasz. - Westchnąwszy głośno, Nash usiadł na kanapie koło Morgany. Wyciągnął nogi i splótł dłonie na głowie. - Spróbujmy inaczej. Czy twoja rodzina robi z tego jakiś problem? Mam na myśli twoje zainteresowania.

- Moja rodzina? Zawsze rozumiała, że powinniśmy rozwijać się swobodnie, w zgodzie z naturalnymi skłonnościami. Nikt mnie nie tępił za talent, ani za brak jakiegoś innego talentu. Ale... wydaje mi się to takie oczywiste. Czy twoja rodzina krzywi się na twoje zainteresowania?

- Nie znam swoich rodziców.

- Przepraszam - powiedziała z mimowolnym współczuciem w głosie, kładąc rękę na jego ramieniu. Czuła się okropnie. Rodzina była dla niej opoką. Nie wyobrażała sobie bez niej życia - i z trudem mogła sobie wyobrazić inną sytuację.

- Nie ma sprawy. Skąd mogłaś wiedzieć. - Podniósł się jednak gwałtownie, zażenowany jej reakcją:

litością w oczach, odruchowym gestem pocieszenia. Tamte stare, złe czasy zostawił daleko za sobą, a wyrazy współczucia były ostatnią rzeczą, której potrzebował. - Chodzi mi o coś innego. Jak zachowywała się twoja rodzina w sytuacjach, kiedy ich zaskakiwałaś. O ich proste, odruchowe reakcje, a nie światłą teorię wychowania. Na przykład, co czuje matka albo ojciec, kiedy odkrywa niespodziewanie, że ich dziecko wymawia jakieś tajemnicze zaklęcia. Ile miałaś lat, kiedy zaczęłaś się w to bawić?

Uczucie litości przysło jak bańka mydlana.

- Bawić się? - powtórzyła cicho, ale wyraźnie.

- No wiesz, myślę o dobrym prologu. Scenie, w której pojawia się główna bohaterka... - Nash coraz szybszymi krokami przemierzał pokój tam i z powrotem. Chłonał jego atmosferę, zapamiętywał szczegóły. O Morganie jakby zapomniał. - Może, poszturchiwana ciągle przez dzieciaka z sąsiedztwa, zamienia go w żabę... - Mówił pod nosem, nie zważając na tężejące groźnie rysy jej twarzy. - Albo trafia na tajemniczą kobietę, która przekazuje jej własną moc. Coś w tym rodzaju. Nie wiem jeszcze, od czego zacząć, z czyjego punktu widzenia poprowadzę narrację, dlatego... Byłbym ci wdzięczny, Morgano, gdybyśmy rozmawiali szczerze: ty mi opowiesz o swoim dzieciństwie - jakie książki czytałaś, w co się bawiłaś i tak dalej. A ja twoje wspomnienia przerobię na fikcję.

Postanowiła trzymać się w ryzach. Żadnych wybuchów ani sztuczek. Odezwała się dźwięcznym, aksamitnym głosem, który zdumiał Nasha tak bardzo, że stanął jak wryty na środku pokoju.

- W moich żyłach płynie czarodziejska krew, jestem więc urodzoną czarownicą. Wyssałam ten dar

z mlekiem matki, ona zaś odziedziczyła go po swoich rodzicach, dziadkach... i niezliczonych pokoleniach celtyckich przodków. Ślady naszego dziedzictwa sięgają czasów Firma i Osjana. Kiedy spotkam mężczyznę obdarzonego podobną mocą, przedłużymy rodzinny łańcuch o kolejne ogniwo.

- Wspaniale. - Nash pokiwał z uznaniem głową. Skoro „urodzona czarownica” nie miała ochoty na szczerość, nie pozostawało mu nic innego, jak włączyć się do jej gry. Proszę bardzo... Historyjka o czarodziejskim dziedzictwie podsuwała jego wyobraźni fantastyczne pomysły. - A więc kiedy po raz pierwszy zdałaś sobie sprawę, że jesteś inna?

Ton jego głosu podziałał na Morgane jak płachta na byka. Pociemniało jej w oczach. Pokój zadrżał w posadach, a ona całym wysiłkiem woli starała się opanować. Nash szarpnął ją za rękę i pociągnął do wyjścia.

- To tylko lekki wstrząs. - Kiedy znaleźli się pod framugą, objął ją ramieniem. - Chyba już po wszystkim. Byłem w San Francisco w czasie ostatniego trzęsienia ziemi... - uśmiechnął się niepewnie - i od tamtej pory każde drzenie ścian podrywa mnie na nogi.

A więc uznał to po prostu za trzęsienie ziemi. Tym lepiej, pomyślała Morgana. Nie stało się nic takiego, co usprawiedliwiłoby jej wściekłość.

- Mogłeś się przeprowadzić na środkowy zachód.

- Tornada. - Mimowolnym, kojącym gestem zaczął gładzić jej plecy. Ku jego radosnemu zaskoczeniu, Morgana nie tylko nie protestowała, ale prężąc kręgosłup poddawała się pieścizocie jak kotka.

Odrzuciła do tyłu głowę. Rozpamiętywanie własnego gniewu wydawało się stratą czasu, kiedy serce

biło jak oszalałe. Może postępuje nie najmądrzej wystawiając się na taką próbę, ale czym jest mądrość? Chyba nie zawsze unikaniem ryzyka.

- Wschodnie wybrzeże? - powiedziała bardzo cicho, kładąc rękę na jego torsie.

- Zamiecie śnieżne. - Przyciągnął ją bliżej, zastanawiając się przez chwilę, jak to możliwe, że ich ciała przylgnęły do siebie tak doskonale.

- Południe. - Rękami oplotła jego szyję i spojrzała mu prosto w oczy. Pogodnie, bez cienia lęku.

- Huragany. - Zdjął z jej głowy kapelusz. Ciepłe, jedwabiste włosy przykryły jego ręce. - Wszędzie zdarzają się kataklizmy - mruknął. - Lepiej uporać się z tym, który los nam zsyła, niż uciekać na oślep.

- Ze mną ci się nie uda... uporać, ale jeśli chcesz spróbować... - Musnęła wargami jego usta.

Pocałował ją bez wahania. Nigdy w życiu, żadnej kobiety, nie traktował jak kataklizmu.

I może to był błąd.

Jego ciało i umysł stały się nagle igraszką żywiołów groźniejszych od sztormu i od trzęsienia ziemi. W chwili, kiedy Morgana rozchyliła usta, czuł, że jakaś nadzwyczajna siła popycha go w otchłań, z której nie ma odwrotu.

Utonęli w swoich ramionach. Nash nie był pewien, gdzie kończy się delikatne ciało Morgany, a zaczyna jego. Błądził palcami po wypukłościach bioder, ramion, paciorkach kręgosłupa. Tulił ją do siebie coraz mocniej, jakby sprawdzając, czy nie śni na jawie.

Niby wszystko wydawało się realne - ciepło jej oddechu, zapach skóry, smak pocałunku - a jednak przeżywał tę rzeczywistość jak senne marzenie.

Usłyszał cichutki jęk. Powolnym, ociężałym ru-

chem Morgana oderwała dłoń od jego ramienia. Szepnęła coś niewyraźnie, coś, czego nie zrozumiał, ale wyczuł w tym szepcie zdziwienie, może nawet lekki strach. Potem westchnęła i przytuliła go mocniej.

Należała do kobiet, które nie wstydzą się uczuć i bez skrępowania przeżywają rozkosz. Nie tylko nie obawiała się swojej cielesności, ale potrafiła się nią cieszyć.

A jednak... Po raz pierwszy w życiu czuła się niepewnie w ramionach mężczyzny. Im bardziej była podniecona, tym bardziej się bała. Skąd mogła wiedzieć, że zachęcając Nasha do zwykłego pocałunku, wypuszcza na wolność nieokiełznane żywioły?

Chciała wierzyć, że to ona, jak zwykle, nad wszystkim panuje. Ale strach brał się ze świadomości, że stało się inaczej... Nie do wiary. Sytuacja, którą sama sprowokowała, wymyka się jej spod kontroli. Co teraz? Łatwiej rzucić skuteczne zaklęcie - wiedziała o tym doskonale - niż wyzwolić się spod czyjegoś uroku.

Wyśliznęła się z objęć Nasha - bardzo powoli i ostrożnie. Za nic nie może się domyślić, że ma nad nią jakąkolwiek przewagę. Zacisnęła dłoń na amulecie i dopiero wtedy uniosła głowę.

Nash był do głębi wstrząśnięty. Miał wrażenie, że cudem ocalał z jakiejś katastrofy. Wcisnął ręce w kieszenie, żeby tylko znów jej nie dotknąć. Nie, nie bał się silnych wrażeń. Lubił nawet igrać z ogniem - ale pod warunkiem, że sam go rozniecił. Tym razem nie miał złudzeń. To nie on trzymał zapałki.

- Często bawisz się w hipnotyzerkę? - spytał opanowanym głosem. - Lubisz takie eksperymenty?

Spokojnie, przemawiała do siebie Morgana. Nerwy na wodzy. Przecież nic się nie dzieje... Usiadła na

kanapie i spojrzała na Nasha z wymuszonym uśmiechem.

- A czujesz się zahipnotyzowany?

Czuł jedynie, że traci głowę. Odpowiedział po dłuższej chwili, ze ściśniętym gardłem.

- Chciałbym po prostu wiedzieć... Wiedzieć na pewno, że kiedy cię całuję, robię to z własnej woli.

Pociemniało jej w oczach.

- Twoja wola niewiele mnie obchodzi, Nash. Jeśli chodzi o moją, to, wyobraź sobie, nie muszę stosować czarów, żeby stać się obiektem męskich pragnień. A gdybym niechcący zapragnęła ciebie, nie zastanawiałbyś się ani minuty. I nie opowiadał o swojej wolnej woli. A potem - skrzywiła się ironicznie - gorąco mi podziękował.

- Gdyby z moich ust padły takie słowa, nazwałabyś mnie antyfeministą i egocentrykiem.

- Prawda - nie odrywając wzroku od Nasha, sięgnęła po szklankę - nie ma nic wspólnego ani z płcią, ani z ego. - Pogłaskała po głowie kotkę, która wskoczyła niespodziewanie na oparcie kanapy. - Jeżeli nie lubisz ryzykować, możemy zrezygnować z naszej... twórczej współpracy.

- Morgano, czy uważasz, że się ciebie boję? - Absurdalność takiego pomysłu poprawiła mu humor. - Kochanie, czasy, w których myślałem... wszystkim, tylko nie głową, minęły dawno i bezpowrotnie.

- Miło mi to słyszeć, Nash. Nie chciałabym w tobie widzieć jakiegoś wyrachowanego lowelasa.

- Dobrze by było - wycedził przez zęby - żebyśmy ustalili na przyszłość jakieś reguły gry.

Przeraziły go własne słowa. Musiał postradać zmysły... Zaledwie pięć minut temu trzymał w ramionach piękną, pociągającą kobietę, przy której zapo-

niał o bożym świecie. Całował ją. Nie zapomniał jeszcze smaku tego pocałunku - a teraz próbuje ją zniechęcić...

- Nie - odparła natychmiast. - Nie uznaję reguł. Będziesz musiał zaryzykować. Więc... dobrze, zawrę z tobą układ. Obiecuję, że nie narażę cię nigdy więcej na kłopotliwą sytuację, ale pod jednym warunkiem: przestaniesz w końcu bzdurzyć na temat czarnej magii. - Odrzuciła do tyłu włosy. - Twoje gadanie trzy po trzy denerwuje mnie. Po prostu! A kiedy jestem zdenerwowana, zdarza mi się robić rzeczy, których potem żałuję.

- Muszę przecież zadawać pytania.

- Więc naucz się słuchać. Przyjmować do wiadomości moje odpowiedzi - powiedziała chłodno i wstała. - Ja nie kłamię, Nash - w każdym razie niezbyt często. Nie wiem, dlaczego zgodziłam się zdradzić ci swoje tajemnice. Może dlatego, że jest w tobie coś, co mnie pociąga. Może wyczułam pokrewną duszę. Na pewno dlatego, że chylę czoło przed twoim talentem. Wytwarzasz silną aurę, jesteś błyskotliwy... no i zauroczyłeś moją rodzinę.

- Kogo mianowicie?

- Anastazję, Lunę i Pana. A oni znają się na ludziach, możesz mi wierzyć.

- Czy Anastazja też jest czarownicą?

- Mamy rozmawiać o mnie i o magii w ogóle, a nie plotkować o bliźnich.

- W porządku. Kiedy zaczynamy?

- W niedzielę nie pracuję. Możesz przyjść jutro, o dziewiątej wieczorem.

- Nie o północy? Przepraszam... - Złapał się za głowę. - Siła przyzwyczajenia. Chciałbym korzystać z magnetofonu, jeśli pozwolisz.

- Oczywiście.
- Czy mam przynieść coś jeszcze?
- Język nietoperza i kilka gałązek tojadu... Przepraszam, siła przyzwyczajenia.

Nash roześmiał się i pocałował Morganę w policzek.

- Do zobaczenia.

Wytrzymała do wieczora. Po zachodzie słońca przebrała się w białą, zwiewną szatę. Na wszelki wypadek, szepnęła bezgłośnie, kiedy znalazła się w szczytowej komnacie wieży. Odpychała od siebie myśl, że Nash ją naprawdę obchodzi, że warto się nim przejmować. Ale przejmowała się, więc wołała wiedzieć...

Wyznaczyła ramionami zaczarowany krąg i zapaliła świece. Upojona wonią ziół oraz sandałowego drewna, podniosła ręce i opadła na kolana.

Zaklinała ogień. Zaklinała wodę, ziemię i wiatr, żeby pozwoliły jej ujrzeć to, co niewidzialne.

Czuła wielką moc. Ujęła w dłonie kryształową kulę, a potem poruszyła nią lekko, tak żeby płomień świec ożywiły jej wewnątrz.

Dym. Światłość. Półmrok.

Kula na przemian jaśniała i pogrążała się w cieniu. Wtem, jakby zniecierpliwiony, wiatr rozwiął chmury i mgłę... Powierzchnia kryształu rozgorzała białym, oślepiającym blaskiem. Cisza.

W środku zobaczyła starą cyprysową aleję skąpaną w świetle księżyca. Czuła zapach wiatru, słyszała wołanie morza... albo śpiew syren. Niektórzy mówią, że to jedno i to samo.

Zapalone świece. W pokoju. Wewnątrz kuli.

Ona. W pokoju. Wewnątrz kuli.

Miała na sobie białą obrzędową szatę, przewiazaną sznurem kryształowych kamieni. Włosy rozpuszczone, bosa stopy. Własną ręką roznieciła ogień. Z własnej woli. Płonał równie blado jak księżyc. Idealna noc na misterium.

Zahuczała sowa. Morgana odwróciła się. Zobaczyła białe skrzydła, które zatrzepotały, przecięły powietrze jak brzytwa i zginęły w mroku. Potem dostrzegła jego.

Szedł polaną, oddalając się od cyprysów. W jego oczach zobaczyła... siebie.

Żądza. Namiętność. Przeznaczenie.

Uwięziona w kuli wyciągnęła ręce, żeby przygarnąć Nasha.

Gruchnęła klątwa, zatrzęsły się mury wieży. Świadoma, że sprzeniewierza się samej sobie, machnęła rozpaczliwie ręką. Zgasły świece. Morgana klęczała nieporuszona, w całkowitych ciemnościach.

Przeklęta ciekawość. Teraz już była pewna, że lepiej było tego nie widzieć.

Nash ocknął się z drzemki przed wyjąłym telewizorem. Odrętwiały i nieprzytomny, przetarł twarz. Nie mógł wstać ani otworzyć oczu.

Piekielny sen... Morgana tańcząca w lesie przy świetle księżyca. Morgana zsuwająca z ramion białą, jedwabną szatę. Kusząca go... Sam jest sobie winien. Nie zrobił żadnego wysiłku, żeby przestać o niej myśleć. Czuł się jak opętany... na własne życzenie.

Wzdrygnął się z zimna. Przysiagliby, że poczuł zapach palącej się świecy.

ROZDZIAŁ TRZECI

W poniedziałek wieczorem Morgana wracała do domu z poczuciem straconego czasu. Nie doczekała się spodziewanej przesyłki z Chicago i nie zdołała wysłedzić jej losów przez telefon. Była wściekła. Ogromnie ją korciło, żeby załatwić sprawę na swój sposób, ale przecież obiecywała sobie...

Kiedy zaparkowała samochód, panował już prawie zmrok. Chciała iść na spacer, żeby ochłonać, pozbiierać myśli przed wizytą Nasha... Niestety. Ten dzień nie może skończyć się dobrze!

Czarny błyszczący motocykl, który dostrzegła nie opodal, wprawił ją w rozpacz. Z jękiem opadła na siedzenie. Sebastian. Koniec świata. Akurat dzisiaj przysłała mu ochota na pogawędkę.

Luna wyskoczyła na trawnik. Z radosnym miauczeniem otarła się o tylne koło harleya i - lekceważąc pogardliwe spojrzenie pani - pomknęła dużymi susami do domu.

W drzwiach powitał je wesoły, merdający ogonem pies. Polizał Morganę, potem rzucił się na kotkę, ale ta ofuknęła go lekceważąco i zniknęła w korytarzu. Z salonu dobiegały łagodne dźwięki muzyki Beethovena.

Znalazła Sebastiana dokładnie tam, gdzie się spodziewała. Siedział rozparty na kanapie, z nogami na stoliku, z przymkniętymi oczami i szklanką wina w ręku.

Ten zniewalający uśmiech, wesoły i bezczelny. Iluż to biednym dziewczynom musiał zawrócić w głowie, pomyślała Morgana. Już w dzieciństwie uważała - i do dziś nie zmieniła zdania - że matka natura, obdarzając jej kuzyna wyjątkową urodą i wdziękiem, wyrządziła mu sporą krzywdę.

- Morgano, moja śliczna! Nareszcie! Myślałem, że się nie doczekam.

- Czuj się jak u siebie w domu, kuzynie.

- Dzięki, kochanie. Wyborne wino. Twoje czy Any?

- Moje.

- Wyrazy uznania. - Podniósł się z gracją tancerza i podał jej własny kieliszek. - Spróbuj. Zdaje się, że trzeba ci poprawić humor.

- Miałam parszywy dzień.

- Wiem - powiedział z promiennym uśmiechem.

- A czy wiesz, że nie znoszę, kiedy węszysz w moich myślach? - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- Nie musiałem tego robić. - Rozłożył ręce w bezradnym geście. Na jego małym palcu błysnął pierścionek z ametystem, osadzonym w delikatnym, złotym koszyczku. - To ty, siostrzyczko, nadawałaś sygnały. Sama wiesz, jaka jesteś głośna, kiedy się zdenerwujesz.

- A nie odbierasz w tej chwili mojego wrzasku? Nie bolą cię uszy?

- Kochanie, nie widzieliśmy się... zaraz, zaraz... od Matki Boskiej Gromnicznej! - Sebastian kpił w żywe oczy. - Nie stęskniłaś się za mną?

Jeszcze jak, pomyślała udobruchana. Lubiła swojego stryjecznego brata, chociaż drwił z niej bezczelnie, chyba już od kołyski, i to z coraz większym upodobaniem.

- Byłam bardzo zajęta.

- Aha, coś mi się obilo o uszy... - Ujął Morganę pod brodę, pamiętając oczywiście, że ten gest doprowadza ją do szału. - Opowiedz mi o Nashu Kirklandzie. - Zobaczywszy furię w jej oczach, uśmiechnął się zaczepnie.

- Do diabła, Sebastianie, nie mam ochoty na żarty i dobrze ci radzę: trzymaj swoje telepatyczne macki z dala ode mnie i od moich spraw.

- Nie czytam w twoich myślach, jeśli o to ci chodzi - oświadczył z teatralnym oburzeniem w głosie. - Jestem jasnowidzem, artystą, a nie jakimś podglądaczem. Ana mi powiedziała.

- Ach, tak... Przepraszam. No więc... Nie ma o czym mówić. Kirkland jest scenarzystą.

- To wiem. Facet robi całkiem zabawne kino. Ale czego chce od ciebie?

- Pracuje nad scenariuszem o czarownicach. Poprosił mnie o konsultację.

- Czy załapał się już na ucztę przy świecach i nalewkę z twojego kotła?

- Nie bądź trywialny, Sebastianie.

- Muszę przecież trochę uważać na moją małą siostrzyczkę.

- Nie musisz. Sama potrafię na siebie uważać - oznajmiła poważnie. - Swoją drogą, ma tu być za godzinę, więc...

- W porządku. To znaczy, że zdążysz mnie jeszcze nakarmić. - Objął ją ramieniem i obdarzył ciepłym, przyjacielskim uśmiechem. Ani myślał rezygnować ze spotkania z Kirklandem. - Rozmawiałem w sobotę z rodzicami.

- Przez telefon?

- Żartujesz? - Wpatrywał się w Morganę z wy-

razem bezgranicznego zdumienia. - Wiesz, ile kosztują połączenia z Europą? Czyste zdzierstwo!

Wybuchnęła śmiechem. Nie tylko nie potrafiła się złościć na Sebastiana, ale jego humor działał na nią jak balsam. Poddała się.

- W porządku, zrobię ci kolację pod warunkiem, że posiedzisz ze mną w kuchni.

Ponad godzinę Sebastian opowiadał Morganie o ostatnich wyczynach jej rodziców, ciotek oraz stryjów. Poczuła się jak nowo narodzona.

- Zastanawiam się - mruknęła tęsknie - ile lat temu patrzyłam na księżyc w Irlandii...

- Wybierz się tam kiedyś. Wiesz, jak oni wszyscy za nami tęsknią.

- Może i tak zrobię... Na letnie przesilenie.

- Ja i Anastazja też moglibyśmy pojechać.

- Może. - Westchnąwszy ciężko, odstawiła talerz.

- Kłopot w tym, że w sklepie największy ruch mamy właśnie latem.

- Cóż, sama zdecydowałaś się prowadzić ten kłopotliwy interes.

- Zrozum, Sebastianie, ja to bardzo lubię. Naprawdę. Jestem zajęta, poznaję mnóstwo ciekawych ludzi. Fakt, odwiedza nas też sporo maniaków, ale przecież...

- Jakiego typu?

- Był taki jeden... - Uśmiechnęła się i oparła na łokciach. - Niesamowity. Przychodził dzień w dzień przez kilka tygodni. Uparł się, że pamięta mnie z poprzedniego wcielenia. Czego on nie opowiadał...

- Typ patetyczny.

- Właśnie. Na szczęście nie miał racji. Nigdy przedtem go nie spotkałam - ani w tym, ani w poprzednim życiu. Pewnego wieczoru, kilka tygodni te-

mu, wpadł do sklepu tuż przed zamknięciem - z obłądem w oczach - i zachował się, delikatnie mówiąc, namolnie.

- I co zrobiłaś?

- Walnęłam go w żołądek.

- Och, Morgano, zawsze miałaś styl! - Sebastian odetchnął z nie tajoną ulgą. - Dlaczego nie zamieniłaś go w ropuchę?

- Przecież wiesz, że tego nie robię. - Wyprostowała się z godnością.

- A Jimmy Pakipsky?

- No wiesz! To były inne czasy, i nieporównywalna sytuacja. Miałam wtedy trzynaście lat. Poza tym zreflektowałam się natychmiast i przywróciłam mu postać paskudnego chłopaka.

- Tylko dlatego, że wstawiła się za nim Ana. - Sebastian pogroził jej widelcem. - I zostawiłaś mu na twarzy ohydne brodawki.

- Tylko tyle mogłam zrobić. - Uścisnęła jego rękę. - A niech to, braciszku, nie masz pojęcia, jak się za tobą stęskniłam.

- A ja za tobą. I Aną.

Nagle wyczuła coś dziwnego. Niepokój. Skrzętnie tajony smutek w duszy Sebastiana. Zbyt dobrze się znali, żeby mogła to przeoczyć.

- Co ci jest?

- Nic... - Ścisnął mocniej jej palce, a potem cofnął rękę. - Nic takiego, co moglibyśmy zmienić. - Nie chciał o tym myśleć ani tym bardziej wciągać Morgany w swoje kłopoty. - Nie masz jakiegoś deseru z bitą śmietaną?

Pokręciła głową. A więc miała rację...

- Tamta sprawa, nad którą pracowałeś, ten uprowadzony chłopiec.

Przeszył go nagły, ostry ból. Daremnie próbował odpędzić koszmarny obraz.

- Za późno do niego dotarli. Policja z San Francisco robiła, co mogła, ale porywacze wpadli w panikę. Miał zaledwie osiem lat.

- Przykro mi... - To już nie był smutek. Zawisła nad nimi czarna, bezsilna rozpacz. - Boże, Sebastianie, tak strasznie mi przykro.

- Wiem, że powinienem wziąć się w garść, ale tamta sprawa mnie zżera... A przecież - szlag by to trafił! - byłem tak blisko... Kiedy zdarza się coś takiego, człowiek zastanawia się, po co mu ten dar, skoro i tak nie może niczego zmienić, ani w niczym pomóc.

- Pomagałeś. - Morgana miała wilgotne oczy, ale nie opuściła wzroku. - Nawet nie umiałabym zliczyć, ilu ludziom pomogłeś. Tym razem los chciał inaczej.

- Ale to boli.

- Wiem. - Pogłaskała go po włosach. - Cieszę się, że do mnie wpadłeś.

- Posłuchaj. - Sebastian objął ją mocno i natychmiast odsunął. - Przyszedłem tutaj, żeby wrzucić coś na ruszt, pośmiać się z tobą, a nie biadolić. Przepraszam.

- Nie rozmawiaj ze mną jak poparzony, dobrze? - powiedziała szorstko.

- W porządku. - Sebastian zachichotał i podniósł ręce na znak kapitulacji. Nic go tak nie rozweselało, jak wybuchy gniewu kuzynki Morgany. - Jeśli naprawdę chcesz mi poprawić humor, wyczaruj trochę bitej śmietany.

- Co byś powiedział na deser lodowy? Z bitą śmietaną - patrzyła radośnie, jak jego oczy stają się coraz większe - bakaliami i gorącym syropem karmelowym?

- Nie śmiałem przypominać, że to mój ulubiony deser.

Morgana z tajemniczym uśmiechem otworzyła lodówkę i wyjęła z niej ogromną miskę lodów.

- To rozumiem! - Sebastian położył nogi na wolnym krześle. - A więc powiesz mi, dlaczego zgodziłaś się pomóc Kirklandowi?

- Zainteresował mnie. - Postawiła na kuchence dzbanek z syropem.

- Kirkland? To miałaś na myśli?

- W pewnym sensie. On oczywiście nie wierzy w żadne nadprzyrodzone zjawiska, ale! lubi robić o nich filmy. Nie mam nic przeciwko temu. - Zamyśliła się na chwilę, oblizując łyżeczkę. - To znaczy przeciwko jego filmom. Są zabawne. A jego poglądy... Cóż, może spróbujemy nimi zachwiać.

- Śliski grunt, Morgano.

- Daj spokój, całe życie balansujemy na śliskim gruncie. - Połała sosem olbrzymią porcję lodów, udekorowała je kremem i postawiła przed Sebastianem. - Poza tym - uśmiechnęła się niewinnie - my też się przy okazji rozerwiemy.

- Ale z ciebie ziółko...

- Smakują ci lody? Myślę, że go polubisz - powiedziała z pełnymi ustami. - Nasha. Ma taki arogancki sposób bycia, który zwłaszcza mężczyznom wydaje się bardzo męski. - Nie bez racji, pomyślała z sarkazmem. - No i, rzecz jasna, bujną wyobraźnię. Lubi zwierzęta, Pan i Luna zwariowały na jego punkcie. Jest wielbicielem książek mojej matki, ma poczucie humoru... Co jeszcze? Trudno byłoby mu odmówić inteligencji. I jeździ niesamowicie szpanerskim autem.

- Zdaje się, że zadurzyłaś się w nim po uszy.

- Nie bądź śmieszny! - Mało brakowało, a zakrzusiałaby się lodami. - Jeśli uważam go za ciekawego faceta, to wcale nie znaczy, że, jak się raczyłeś wyrazić, jestem zadurzona. Co za idiotyczne słowo!

Nadała się i bardzo dobrze, pomyślał Sebastian. Im bliżej wybuchu złości, tym łatwiej pociągnąć ją za język.

- Przyznaj się, zajrzałaś w szklaną kulę?

- Oczywiście - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Ze zwykłej ostrożności.

- Zrobiłaś to, bo poniosły cię nerwy.

- Nerwy? Jakie nerwy? To ty mnie denerwujesz.

- Zaczęła bębnić palcami o stół. - Jest po prostu mężczyzną.

- A ty, pomimo swojego daru, po prostu kobietą. Czy mam ci wyjaśnić, co się dzieje, kiedy mężczyzna z kobietą poczują wolę bożą?

- Dziękuję. - Morgana zacisnęła pięści. - Ale jesteś trywialny. Nawet jeśli zostanie moim kochankiem, to wyłącznie moja sprawa. I moja przyjemność.

- Kłopot polega na tym, że w kochanku można się zakochać. Bądź ostrożna, Morgano. Łatwiej stracić głowę, niż ją odzyskać.

- Istnieje zasadnicza różnica między miłością a pożądaniem, nie sądzisz? - Byłaby go zapytała, czy zna się na jednym i drugim, ale Pan, który do tej pory siedział cichutko pod stołem, wychylił głowę i cicho zawył.

- O wilku mowa...

- Zachowuj się, Sebastianie - syknęła groźnie. - Koniec żartów.

- O mnie się nie martw, kochanie. Otwórz mu.

W tej samej chwili zabręczał dzwonek. Sebastian, chichocząc pod nosem, odprowadził ją wzrokiem do samych drzwi.

Niech to wszyscy diabli. Z plecakiem zawieszonym na jednym ramieniu, rozwichrzoną czupryną i w splewiałych džinsach wyglądał jeszcze przystojniej niż dwa dni temu. I na pewno sympatyczniej.

- Cześć. Zdaje się, że przyszedłem trochę za wcześnie.

- W porządku. Wejdz do środka i usiądź, gdzie chcesz. Posprzątam tylko bałagan w kuchni.

- Cóż za subtelny sposób przedstawiania kuzyna! - zagrzmiał Sebastian, wynurzając się z kuchni. - Witam. Nash Kirkland, prawda?

- Nash, to mój kuzyn Sebastian. Właśnie zamierzał wyjść.

- Zostanę jeszcze chwilę. Wyrazy uznania za wszystkie filmy. Jestem twoim wielbicielem.

- Dzięki. Czy my się przypadkiem nie znamy?

- Nash zmierzył Sebastiana przenikliwym wzrokiem.

- Jesteś jasnowidzem, prawda?

- Trafione.

- Śledziłem kilka spraw, w których brałeś udział. Po aresztowaniu Yuppie Killera w Seattle, nawet trzeźwo myślący gliniarze uwierzyli w twoje umiejętności. Czy nie mógłbyś...

- Sebastian nie lubi rozmawiać o swojej pracy - ucięła gwałtownie Morgana. - Prawda?

- Właściwie...

- Cieszę się, że znalazłeś dla mnie chwilę czasu - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Postanowił dać za wygraną. Było wystarczająco wcześnie, żeby wpaść do Anastazji i porozmawiać z nią - serio - o Morganie.

- Trzymaj się, mała. - Ucałował ją z nieco teatralną czułością, pomachał obojgu ręką i zniknął za drzwiami.

- Uff! Napijesz się herbaty? - spytała Morgana z uśmiechem. - Muszę tylko trochę ochłonać i zaczynamy.

- Wolałbym kawę. - Ruszył za Morgana do kuchni. - Jakim on jest kuzynem?

- Sebastian? Nierzadko kłopotliwym.

- Nie to miałem na myśli... - Zmarszczył czoło. Ślady wspólnej kolacji jeszcze bardziej go zasępiły.

- Czy jest twoim bliskim kuzynem, czy tylko piątą wodą po kisielu?

- Nasi ojcowie są rodzonymi braćmi. - Widząc, z jaką ulgą przyjął tę informację, omal nie wybuchnęła śmiechem. - W tym życiu...

- W tym... Ach tak, oczywiście. - Powiesił na krześle plecak. - A więc wierzysz w reinkarnację?

- Wierzę? - powtórzyła jak echo. - Mniejsza o to. W każdym razie nasi ojcowie - mój, Sebastiana i Any - przyszli na świat w Irlandii, prawie równocześnie.

- Żartujesz? Jako trojaczki? To równie dobre, jak urodzić się siódmym synem siódmego syna!

- Ożenili się - ciągnęła beznamyślnie, odmierzając zioła na herbatę - z trzema siostrami. Też trojczkami.

- Niesamowite... - Nash zaczął drapać psa, który ułożył się przy jego nodze.

- Niezwykłe, ale tak chciało przeznaczenie, które potrafili odczytać. Każdej parze dane było mieć tylko jedno dziecko. Szkoda, bo bardzo się kochali. Stworzyli nam szczęśliwe dzieciństwo, wspaniałe domy, w których nie zabrakłoby miłości dla naszego rodzeństwa... Gdyby los chciał inaczej.

Kiedy zaparzyła kawę i herbatę, ustawiła na srebrnej tacy oba dzbanki, cukiernicę w kształcie śmiejącej się czaszki oraz filiżanki z cieniutkiej porcelany.

- Ja to zaniosę. - Nash podniósł tacę na wysokość oczu, zabierając drugą ręką plecak. - Scheda rodzinna?

- Nie. Sklep z porcelaną. Miałam nadzieję, że spodobają ci moje ostatnie zdobycze.

Zaprowadziła go do salonu. Luna, zwinięta w kłębek na środku kanapy, powitała ich przyjaznym mruknięciem. Potraktowawszy to jak zaproszenie, usiedli koło niej.

- Założę się - Nash zaczął oglądać cukiernicę - że w wigilię Wszystkich Świętych robisz furorę wśród dzieci jako mistrzyni maskarady.

- Żebyś wiedział. Dzieciaki aż piszcza, żeby je zczarować. A niektóre - roześmiała się - próbują czarować mnie. Czasami mam wrażenie, że są zawiązane, bo nie noszą spiczastej czapki i nie latam na miotle.

- Pewnie zauważyłaś, Morgano, że nasze - to znaczy większości zwykłych ludzi - wyobrażenia o czarownicach ograniczają się do dwóch stereotypów. Pierwszy to wiedźma z zakrzywionym nosem, rozdająca zatrute jabłka. Drugi, przeciwieństwo pierwszego, to zwiewny duszek z różdżką w kształcie gwiazdy, przekonujący zbłąkanych, że nie ma to jak w domu...

- Niestety, do żadnego z nich nie pasuję.

- Właśnie dlatego potrzebuję twojej pomocy. - Nash odstawił filiżankę i wygrzebał z plecaka magnetofon. - Pozwolisz?

- Jasne.

Włączył nagrywanie i znowu sięgnął do plecaka.

- Cały dzień ryłem w książkach. Przekopałem chyba wszystkie księgarnie i biblioteki. - Podał jej skrypt w miękkiej okładce. - Co o tym sądzisz?

Morgana ściągnęła brwi i przeczytała głośno tytuł: „Sława, fortuna i miłość: obrzędy magiczne na każdą okazję”. Cisnęła książkę na kolana Nasha.

- Mam nadzieję, że niewiele cię to dzieło kosztowało.

- Siedem dolarów, które odliczę od podatku.

Spokojnie, powtarzała sobie w duchu. Nikt nie powiedział, że to będzie łatwe. Zsunęła pantofle i usiadła na podwiniętych nogach.

- Czy ty naprawdę wierzysz, że magii... uprawiania magii można się nauczyć z podręcznika?

- Skądś trzeba.

Burknęła coś pod nosem, chwyciła z powrotem książkę i otworzyła ją na pierwszej lepszej stronie.

- "Jak wzbudzić zazdrość" - przeczytała z niesmakiem. - „Jak wzniecić miłość. Jak się wzbogacić." Pomyśl tylko, Nash: jak to dobrze, że nie każdy może być czarodziejem. Brakuje ci gotówki. Marzysz o nowym samochodzie, a tu puste konto. Co robisz? Zapalasz świece, wypowiadasz życzenie, może jakiś taniec na golasa dla wzmocnienia efektu... Abrakadabra. - Rozłożyła szeroko ręce. - Dostajesz czek na dziesięć tysięcy. Kłopot w tym, że musiała umrzeć twoja ukochana babcia, żeby zostawić ci te pieniądze. Rozumiesz? W naturze nic nie ginie, ale też nic nie bierze się znikąd.

- W porządku. Czyli trzeba dwa razy pomyśleć, zanim wypowie się zaklęcie.

- Właśnie. Nie ma czynów bez konsekwencji. Życzysz sobie, żeby twój mąż był bardziej romantyczny?

proszę bardzo. Czary mary... Od jutra jest Don Juanem - dla wszystkich kobiet w mieście. Nie znosisz przemocy? Jednym zaklęciem przerywasz wojnę. Pięknie, tylko że doprowadzasz tym samym do wybuchu kilku innych. Magia nie jest zajęciem dla ludzi nieodpowiedzialnych. I nie można się jej nauczyć z głupich książek.

- Dobrze. - Nash podniósł obie ręce w obronnym geście. - Przekonałaś mnie. Ale pomyśl: kupiłem ją w księgarni za siedem papierów. Czyli ludzie interesują się magią i gotowi są czytać na jej temat nawet bardzo głupie książki.

- Ludzie zawsze interesowali się magią. Na szczęście dawno minęły czasy, kiedy płacili za to śmiercią na stosie.

- W tym rzecz! - podchwycił gorączkowo Nash. - Właśnie dlatego chcę napisać o czasach współczesnych. Latamy na Księżyc, mamy w domach telefony komórkowe, faksy, komputery, pocztę elektroniczną - i wciąż fascynuje nas magia. Temat rzeka. Mogę podejść do niego różnie. Na przykład... Bogu ducha winny lunatyk staje się kozłem ofiarnym...

- Beze mnie - ucięła gwałtownie.

- W porządku, wiem. A może by... ale to też banalne. Za łatwe. Myślałem o konwencji zbliżonej do komedii... Oglądałaś „Spoczywaj w pokoju”? Coś w tym stylu, może z wątkiem miłosnym, ale bez przesady z seksem-. - Luna wskoczyła na kolana Nasha. Zanurzył dłoń w jej sierści, nie odrywając wzroku od Morgany. - Chciałbym, żeby bohaterką mojego filmu była kobieta. Piękna, wspaniała, ale też całkiem zwyczajna, nie obnosząca się ze swoim darem. Opowiedziałbym o jej pracy, mężczyznach... Czy ja wiem? Pokazałbym ją w sklepie, w kuchni.

Musi znać inne czarownice. O czym ze sobą rozmawiają? Z czego się śmieją, jakie robią kawały. Kiedy się zorientowałaś, że jesteś czarownicą?

- Zapewne wtedy, gdy po raz pierwszy lewitowałam nad kołyską - powiedziała łagodnie, bez cienia irytacji w głosie.

- Doskonale. - Nash siłą woli powstrzymał się od śmiechu. - Właśnie takie „momenty” robią kino. Twoja matka musiała doznać szoku.

- Nie. Była na to przygotowana. - Zmieniając pozycję, Morgana otarła się kolanem o udo Nasha. - Mówiłam ci już, że odziedziczyłam swój dar po rodzicach.

Stracił głos, kiedy fala gorącej krwi napłynęła mu do głowy, ale przez myśl mu nie przeszło, że to sztuczka Morgany. Normalna męska reakcja...

- Tak - wykrztusił zmienionym głosem. - A czy świadomość, że jesteś inna, nie przeszkadzała ci? Nie sprawiała przykrości?

- Jasne, że przeszkadzała. Dzieci, z natury rzeczy, nie panują nad emocjami, a ja musiałam. Nie zawsze to wychodziło, ale pamiętam, że wciąż się powstrzymywałam, zaciskałam zęby... żeby tylko nie pomyśleć czegoś głupiego i nie narobić bigosu.

- A teraz? Często tracisz panowanie nad sobą?

- Rzadziej niż w dzieciństwie. Zdarza mi się wychodzić z siebie, czasami robię rzeczy, których żałuję... ale istnieje jedna zasada, o której żadna szanująca się czarownica nie może zapomnieć. Nie wolno nam nikogo krzywdzić.

- Więc ty, jako szanująca się i odpowiedzialna czarownica, oferujesz swoim klientom zaklęcia miłosne...

- Bzdura - rzuciła wściekle.

- A jednak schowałaś zdjęcia tamtej nastolatki i jej ukochanego. Pamiętasz?

Nic nie uchodzi jego uwagi, pomyślała z niesmakiem.

- Jej babka przyparła mnie do muru. A to, ze wzięłam od niej fotografie... Jeszcze się nie zdecydowałam, czy posypię je pyłem z księżycy.

- Tak to się robi?

- Tak, ale... - ugryzła się w język - dlaczego, do diabła, próbujesz ze mnie kpić? Po co zadajesz pytania, skoro nie wierzysz w odpowiedzi?

- Wcale nie muszę wierzyć, żeby słuchać z zainteresowaniem. - Położył rękę na oparciu kanapy. - A więc... w sprawie szkolnej zabawy nie tknęłaś nawet palcem? - Zaczął bawić się jej włosami.

- Tego nie powiedziałam. - Zrobiła nadąsaną minę. - Usunęłam małą przeszkodę. Nic więcej. Każdy dalszy krok byłby nadużyciem.

- Jaką przeszkodę? - Wyobraził sobie, że pył księżycowy pachnie jak jej włosy.

- Dziewczyna jest chorobliwie nieśmiała, więc dodałam jej trochę odwagi. Reszta należy do niej samej.

Miała piękną, smukłą szyję. Mógłby ją pieścić, gdyby... Opamiętaj się, stary. Głęboki oddech i do roboty.

- Sporo się naczytałem - odezwał się po chwili milczenia. - Czarownice uważano za najmądrzejsze kobiety we wsi. Sporządzały lecznicze mikstury, rzucały uroki, wróżyły, przepowiadały przyszłość, uzdrawiały ludzi.

- Moją specjalnością nie jest ani uzdrawianie, ani Wróżenie.

- A co jest twoją specjalnością?

- Magia. - Sama nie wiedziała, czy zrobiła to

z irytacji, czy też chciała odzyskać pewność siebie... Dość, że za oknem rozległa się seria grzmotów.

- Burza? - spytał zdziwiony.

- Na to wygląda. Wiesz co? Zadaj mi jeszcze kilka pytań i uciekaj do domu, zanim będzie powódź.

Niechby sobie już poszedł. Dobrze pamiętała, co zobaczyła w szklanej kuli. Przy odrobinie wysiłku... takie rzeczy można było zmienić. A przynajmniej powstrzymać.

Sposób, w jaki wplatał palce w jej włosy... Bała się. Nie lubiła się bać, dlatego czuła się coraz bardziej rozdrażniona.

- Nie ma pośpiechu. Nie roztopi mnie mały deszczyk.

- Będzie łało jak z cebra - mruknęła. - Niektóre z książek na pewno ci się przydadzą. Ale tę bzdurę... - skrzywiła się, wskazując palcem „Obrzędy na każdą okazję” - ze spokojnym sumieniem możesz wyrzucić do kosza. Sztuka magiczna, jak każda sztuka, ma pewną... oprawę dekoracyjną, ale...

- Ziemia cmentarna?

- Zmiłuj się, Nash... Naprawdę staram się pamiętać, że robisz film rozrywkowy i że masz prawo do własnej artystycznej wizji...

Pocałował jej palce. Delikatnie, same opuszki.

- Czyli nie spędzasz zbyt wiele czasu na cmentarzach.

- Posłuchaj, Nash... - odezwała się szeptem, który wróżył wybuch furii... albo namiętności. - Jestem w stanie zrozumieć powody, dla których mi nie wierzysz, ale nigdy, za nic w świecie, nie pozwolę z siebie kpić.

- Morgano, nie bądź taka spięta. - Odgarnął włosy z jej ramion. - Przyznaję, że dawno mi tak kie-

psko nie szło. Boże! Jak sobie przypomnę dwanaście godzin wywiadu z pewnym rumuńskim szaleńcem, który przysięgał, że jest wampirem... Nie miał w domu ani jednego lustra. Powiesił mi krzyżyk na szyi. No i ten odór czosnku. - Nash skrzywił się ze wstrętem. - Ale facet był kopalnią wiedzy i nie miałem z nim żadnych kłopotów. Gadał jak nakręcony. A ty...

- A ja...

- Coś mi tu nie gra, Morgano. Czegoś nie łapię. Jesteś silną, inteligentną kobietą. Masz styl, gust, nie mówiąc o tym, że cudownie pachniesz. Więc po prostu nie mogę uwierzyć, że ty w to wierzysz. Nie umiem udawać, że wierzę.

Zadrżała ze złości. Nie może tolerować takiej gry ani chwili dłużej. Nash drażnił ją z premedytacją, jednocześnie uwodząc.

- A czy wierzysz, że udawaniem można osiągnąć to, co się chce?

- Jeżeli dziewięćdziesięcioletnia kobieta opowiada mi, że jej kochanka, który był wilkołakiem, zastrzelono w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, nie zarzucam jej kłamstwa. Zakładam, że albo ma bujną wyobraźnię, albo wierzy w to, co mówi. Co z mojego punktu widzenia na jedno wychodzi.

- Oczywiście. Z punktu widzenia faceta, który robi kasowy film.

- Z tego żyję. Zmyślam różne historie, ale nie wydaje mi się, żeby wyrządzał komukolwiek krzywdę.

- Nie, komu to szkodzi! Zbierasz materiał, potem idziesz z kumplami na wódkę i śmiejesz się z lunatyka, który udzielił ci szczerych odpowiedzi. - Jej oczy płonęły gorączkowym blaskiem. - Spróbuj tego ze mną, Nash, a wyrosną ci brodawki na języku. Przysięgam.

- Uspokój się, Morgano, nie chcę mieć brodawek na języku. Zresztą za co? Wiem, że masz ogromną wiedzę na temat magii i fantastyczną wyobraźnię. I o to mi chodziło: dlatego właśnie błagałem cię o pomoc. Przyznasz chyba, że właśnie sławie czarownicy zawdzięczasz powodzenie w interesach - no, połowę dochodów lekko licząc. I bardzo dobrze. Namawiam cię tylko, żebyśmy grali w otwarte karty.

- Sądzisz, że udaję czarownicę, żeby przyciągać klientów? - Wstała ostrożnie, obawiając się, że jeśli nad sobą nie zapanuje, wyrządzi Nashowi krzywdę.

- Ja nie... Hej! - Luna wbiła pazury w jego udo.

- Siedzisz sobie w moim domu i nazywasz mnie szarlatanką?! Oszustką? - Zniżyła głos do szeptu.

- Nie. - Zrzucił kotkę z kolan i zerwał się na równe nogi. - Nie powiedziałem niczego obraźliwego. Chciałem cię tylko przekonać, żebyś rozmawiała ze mną szczerze.

- Szczerze, powiadasz... - Zaczęła spacerować po pokoju, tam i z powrotem, powtarzając sobie w duchu, że musi ochłonać. Żadnych głupstw. Nagle odwróciła się i spojrzała mu w oczy z chytrym uśmiechem. - Chcesz, żebym była z tobą szczerą?

- Właśnie... - westchnął z ulgą. - Chciałbym, żebyś się odprężyła, żebyśmy rozmawiali na pełnym luzie. Wiesz co? Podawaj mi po prostu fakty - w dowolnej kolejności, cokolwiek ci przyjdzie do głowy - a ja się zajmę fikcją.

- Odprężyła... - powtórzyła Morgana jak echo, kiwając głową. - Masz rację. Oboje powinniśmy odpocząć. Może rozpalimy w kominku? Nic tak dobrze nie robi jak widok ciepłego ognia.

- Świetny pomysł. Pozwolisz, że to zrobię?

- Nie, nie... Ja sama.

Odwróciła się do niego plecami, wyrzuciła ramiona w kierunku paleniska i zamarła w bezruchu. Spokój. Wszystko stało się jasne i wyraźne. Miała pewność, że dar, który wyssała z mlekiem matki, nie może jej zawieść. Utkwiła wzrok w suchym drewnie... Trzask. Polana zajęły się żywym, huczącym ogniem.

Opuściła ręce i odwróciła głowę. Dopiero teraz, kiedy zobaczyła jego kredowobiałą twarz oraz półotwarte usta, poczuła się wreszcie w pełni usatysfakcjonowana.

- Przyjemniej, prawda?

Usiadł na kotce. Luna pisnęła wściekle i uciekła z kanapy.

- Przepraszam, myślałem...

- Kieliszek dobrze ci zrobi. - Wyciągnęła rękę. Karafka ze stolika, zatoczywszy w powietrzu półtora-metrowy łuk, wylądowała w dłoni Morgany. - Trochę brandy?

- Nie. - Z trudem zaczerpnął powietrza. - Dziękuję.

- A ja owszem. - Strzeliła palcami. Kieliszek zjawiał się nie wiadomo skąd i dotąd wisiał w powietrzu, dopóki Morgana nie napełniła go i nie ujęła w dłonie. Wiedziała, że popisuje się jak małe dziecko, ale nie umiała sobie tej przyjemności odmówić. - Na pewno się nie skusisz?

- Nie, nie...

Wzruszyła ramionami i gestem odesłała karafkę na miejsce.

- A więc? - Usiadła tuż przy nim, z podwiniętymi nogami. - Na czym to stanęliśmy?

Halucynacja, myślał oszołomiony. Hipnoza. Otworzył usta, ale z jego gardła wydobyło się tylko

niewyraźne mruknięcie. A ona wciąż się uśmiechała... Zwykle, cyrkowe triki! Zaczął śmiać się z własnej głupoty.

- Sztuczka pirotechniczna - powiedział z satysfakcją. - Moje gratulacje. Fantastyczny numer! Prawie się dałem nabrać...

Poderwał się z kanapy.

- Naprawdę?

- Boże, żebyś widziała, co wyprawiają chłopcy od efektów specjalnych w filmie... - Ukucnął przed kominkiem. Był niemal pewny, że pod szczapami drewna Morgana ukryła małeńki, zdalnie sterowany zapalnik... Olśnienie.

- Posłuchaj! Facet przyjeżdża do miasta, w którym mieszka czarownica. Jest naukowcem. Poznaje ją, zakochuje się i z uporem maniaka próbuje zrozumieć każdą jej sztuczkę. Wytłumaczyć wszystko racjonalnie. Może wkradnie się na jakiś... seans? Rytualną ceremonię? Brałaś udział w czymś takim?

- Oczywiście. - Anielski uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

- Bomba. Podrzucisz mi szczegóły. Nasz bohater zobaczy na własne oczy, jak panienka... powiedzmy... lewituje. Albo numer z ogniem, naprawdę bez pudła. Ani on, ani publiczność nie dowie się na sto procent, czy to czary, czy triki.

- A jaki sens będzie miała ta historia?

- Myślę, że poza warstwą sensacyjną, budowaniem napięcia, i tak dalej, wyłoni się zasadnicze pytanie: czy ten zwykry facet pogodzi się z faktem, że kocha czarownicę.

- Równie dobrze mógłbyś zapytać, czy czarownica pogodzi się z faktem, że kocha zwykłego mężczyznę.

- Dlatego właśnie potrzebuję ciebie. Nie interesuje mnie punkt widzenia jakiegokolwiek czarownicy, tylko pięknej, pociągającej kobiety, która przypadkiem jest czarownicą. - Pogłaskał jej kolano. - Porozmawiajmy teraz o zaklęciach. Proszę...

- W porządku. Nash. - Roześmiała się i odstawiła kieliszek. - Porozmawiajmy magicznie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Całe dni spędzał w domu, z nosem w książkach. Nie narzekał na samotność. Od dzieciństwa zdawał się na własne towarzystwo - wcale z tego powodu nie cierpiąc. To, co na początku było koniecznością, jedyną szansą przetrwania, stało się sposobem na dorosłe życie.

Czasy, kiedy mieszkał u babki albo ciotki (zdarzały się też krótkie pobyty w przytułkach dla dzieci), nauczyły go jednego: lepiej samemu zadbać o rozrywkę, niż wchodzić w drogę dorosłym. Oni potrafili tylko gderać, używać go za parobka albo - jak w przypadku jego babki - bić na odlew bez najmniejszej przyczyny.

Wyobraźnia zastępowała Nashowi towarzystwo oraz zabawki. Nie tylko nie zazdrościł kolegom lepszej sytuacji, ale coraz częściej dochodził do wniosku, że ma nad nimi oczywistą przewagę. Wyobraźni nie można podarować za dobre sprawowanie ani odebrać za karę - i nie trzeba się z nią rozstawać, kiedy każą człowiekowi pakować manatki i jechać do następnych łaskawych opiekunów.

Nawet teraz, kiedy mógł sobie kupić każdą dorosłą zabawkę, na jaką przyjdzie mu ochota, nie za bogactwo dziękował codziennie opatrności, lecz za to, co ma w głowie.

Potrafił odciąć się od świata na wiele dni - i nigdy nie czuł się samotny. Wyobraźnia przynosiła mu ul-

gę, kiedy dosyć miał codzienności, pracy, życia towarzyskiego. Z niej czerpał natchnienie, kiedy zabierał się do kolejnego scenariusza.

Samotność? Absurd. Ostatnia rzecz, której się obawiał.

Miał przyjaciół, ale miał też komfortowe uczucie, że panuje nad swoim losem. Sam decydował, czy odejść skądś, czy zostać. Upajał się świadomością, że jego piękny, wielki dom należy tylko do niego. Jadł, kiedy był głodny, szedł spać, kiedy padał ze zmęczenia, nie przejmował się bałaganem, rzucał ubrania, gdzie popadło... i robił to z czystym sumieniem. Większość jego znajomych albo tkwiła w nieszczęśliwych związkach, albo się rozwiodła. Niemal wszyscy tracili mnóstwo czasu i wysiłku na obmawianie swoich partnerów.

Nash Kirkland uważał się za szczęściarza.

Bez troski. Wolny jak ptak. Zadowolony z życia.

Zastanawiał się czasami, na czym polega to jego wyjątkowe szczęście. Co go najbardziej cieszy?

Dobrze znał odpowiedź. Czuł się szczęśliwy, kiedy mógł ustawić komputer na ogrodowym stole i spędzić pracowity dzień na świeżym powietrzu. Dziękował losowi, że nie musi spoglądać nerwowo na zegarek, nastawiać budzika, pędzić do biura, spieszyć się do domu, bo żona czeka i na pewno będzie miała za złe...

Czy brzmi to jak lament?

Nash - świadomy swoich talentów, ale także i wad - wiedział, że nie nadaje do normalnej pracy (od gwizdka do gwizdka), ani do konwencjonalnego małżeństwa (takiego „jak Bozia przykazała”). W końcu nie kto inny jak jego babka powtarzała mu do znudzenia, że do niczego w życiu nie dojdzie i że

żadna uczciwa kobieta, choćby z krztyną zdrowego rozsądku, nie zechce na niego spojrzeć.

Nawet gdyby dzisiaj żyła, nie zmieniłaby zdania. Kiwałaby głową nad jego pozał się Boże zawodem, a nad bezzennym stanem jeszcze bardziej. Słyszał to kto? Trzydzieści trzy lata i wciąż kawaler.

Jak to ujęła DeeDee Driscoll w czasie ich ostatniej kłótni? „Zachowujesz się jak mały, samolubny chłopiec, niedojrzały emocjonalnie. Sądzisz, że jeśli jesteś niezły w łóżku, to poza nim wszystko ci wolno. Żadnej odpowiedzialności, prawda? Dam ci dobrą radę: baw się lepiej swoimi potworami, a normalne kobiety zostaw dorosłym mężczyznom!”

Nie miał do niej pretensji za gorzkie słowa ani za to, że cisnęła w niego popielniczką. Zawiódł ją, bo okazał się kiepskim materiałem na męża. Wszystko to prawda.

DeeDee wyszła za swojego dentystę. Sympatyczna, pogodna dziewczyna o pięknym uśmiechu... Myślał o jej rodzinnym szczęściu bez cienia zazdrości.

Wybrał wolność i pozostał najszczęśliwym człowiekiem pod słońcem.

Ale dzisiaj był dziwnie podminowany. Wciąż patrzył na telefon i już z dziesięć razy podnosił słuchawkę, żeby zadzwonić do Morgany.

Wyznaczyła mu dwa spotkania w tygodniu, a do najbliższego została mu cała doba. Musiał przyznać, że mimo pierwszych starć, rozmawiało im się coraz milej. Dopóki w jego głosie nie zabrzmiał sarkazm...

Zachwycało go jej poczucie humoru oraz niewątpliwy talent aktorski. Czasami odnosił wrażenie, że znajdują się na planie filmowym. Kiedy Morgana twierdziła z niezmiennym uporem, że jest czarow-

nicą, drżał z emocji, nie mogąc się doczekać efektów specjalnych.

Przysiągł sobie, że będzie trzymał „ręce przy sobie” i... prawie dotrzymał słowa. Czasami głąaskał jej rękę, wplatał palce we włosy, ale - mój Boże! - czymże były te niewinne zaczepki wobec rozbudzonej wyobraźni!

Wpatrywał się w jej pięknie wykrojone, nabrzmiałe wargi, białą szyję, piersi...

Do diabła! To normalne, że pragnął kobiety, ale sposób, w jaki myślał o Morganie, dzień i noc - zaniedbując nawet pracę - stawał się obsesyjny.

Najwyższa pora wziąć się w garść, powtarzał sobie w myśli. Panował jeszcze nad sytuacją - doprawdy zachowywał się jak święty, ale jak długo wytrzyma? Wiedział tylko, że dla dobra scenariusza nie powinien sobie pozwolić na żadne szaleństwo. Swoją drogą, jeśli dziewczyna wprawia człowieka w trans jednym pocałunkiem, to lepiej w ogóle uważać... Bez względu na scenariusz.

Tymczasem siedział przy biurku, wpatrzony w telefon. Zadzwoić, nie zadzwoić. Chciał usłyszeć jej głos, spytać, czy mogliby się spotkać na godzinę lub dwie.

Co się z nim dzieje? Przecież nie jest samotny. W każdym razie nie był - do chwili, kiedy wyłączył komputer, oderwał się od swoich czarownic i poszedł na plażę. Ci wszyscy ludzie, których mijają, rodziny, pary, roześmiane grupy... Tylko on szedł zupełnie sam, wpatrzony w ginące za horyzontem słońce, marzący o czymś, czego do tej pory na pewno nie chciał.

Nie chciał i nie chce.

Nie wszyscy ludzie nadają się do życia stadnego.

Nie wszyscy mogą mieć rodziny. Doświadczył tego na własnej skórze i już dawno zdecydował, że nie powtórzy grzechu swojego ojca.

A jednak... Kiedy tak stał nad brzegiem morza i przyglądał się normalnym rodzinom, poczuł w sercu zimną pustkę. Wrócił do swojego pięknego domu, który wydał mu się nagle zbyt duży i zbyt pusty. Morgana... Wyobraził sobie, że spacerują po plaży, trzymając się z ręce. Albo siedzą na starej, zbiałej belce, obejmują się i czekają na pierwsze gwiazdy.

Złapał słuchawkę i z zapartym tchem wystukał numer. Kiedy zorientował się, że słyszy głos Morgany nagrany na taśmie, jego twarz zastygła w nienaturalnym uśmiechu.

Mógł zostawić wiadomość, ale natychmiast odłożył słuchawkę. Niby co jej miał powiedzieć? Że chce z nią porozmawiać? Że muszą się zobaczyć? Że nie może pracować, bo wciąż o niej myśli?

Potrząsnął głową i zerwał się z krzesła. Zaczął przemierzać pokój od jednej ściany do drugiej. Ponure, piękne maski z wysp Oceanii spoglądały na niego ze stoickim spokojem. Nagle wydało mu się, że nie wytrzyma napięcia. Chwycił rytualną lalkę woodoo i wbił w jej serce długą szpilkę.

- No i jak jak ci... - mruknął przez zęby.

Cisnąwszy ją w kąt, spojrział na zegarek. Postanowił iść do kina.

- Sebastianie, dzisiaj twoja kolej - powiedziała Morgana z anielskim spokojem. - Ty kupujesz bilety, ja skoczę po kukurydzę, Ana wybiera film.

- Poprzednim razem ja kupowałem bilety...

- Na pewno nie.

Anastazja widząc, że Sebastian próbuje u niej szukać pomocy, roześmiała się i pokręciła głową.

- Niestety. Poprzednio była moja kolej. Znów nas próbujesz wykołować.

- Wykołować? - Przystanął obrażony na środku chodnika. - Cóż to za obrzydliwe słowo! Zapewniam was, że doskonale pamiętam...

- ...tylko to, co chcesz pamiętać. - Anastazja stuknęła go łokciem. - Daj spokój, kuzynie, i tak ci nie odstąpię swojej kolejki.

Mruknął coś pod nosem, zanim ruszyli dalej. Miał ogromną ochotę na najnowszy film ze Schwarzeneggerem, ale znając upodobania Any do romantycznych komedii... Przegrana sprawa. Zresztą nie miałby nic przeciwko teatralnej ramotce, słyszał jednak, że Arnold - ratujący planetę przed bandą diabelskich ufoludków - przeszedł w tym filmie samego siebie.

- Przestań się jeżyć. - Morgana szturchnęła go w bok. - Następnym razem ty wybierasz.

- I nie próbuj swoich sztuczek - dodała Anastazja czując, że Sebastian zaczyna przekonywać ją telepatycznie. - To też nie fair. Zresztą, i tak już zdecydowałam.

Sebastian zamilkł. Stanął na końcu kolejki z wyprostowaną dumnie głową. Trudno przegadać obie kuzynki naraz. Ożywił się gwałtownie na widok znajomego mężczyzny, który zbliżał się do nich z przeciwnej strony.

- No, no! Prawda, że miłe spotkanie?

Morgana, zauważywszy Nasha chwilę wcześniej, nie mogła się zdecydować, czy jest zadowolona, czy zła. Uśmiechnęła się pierwsza.

- Nie dosyć masz kina przez cały dzień? - spytała.

Grobowy nastrój zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wyglądała pięknie. W czerwonej, krótkiej sukience, z włosami rozsypanymi na ramionach.

- Chyba nie. Lubię podpatrywać konkurencję, kiedy walczę z własnym scenariuszem. Cześć. - Z trudem oderwał wzrok od Morgany, żeby przywitać się z Aną i Sebastianem.

- Co za miłe spotkanie - odpowiedziała Anastazja. - Zabawne... Czy wiesz, że ostatnim filmem, na który wybraliśmy się razem, był twój „Nieboszczyk na niby”?

- Ach, tak?

- Bardzo dobry.

- Kto jak kto - wtrącił Sebastian - ale Ana, która oglądała ostatnie trzydzieści minut z zamkniętymi oczami, ma na ten temat wiele do powiedzenia.

- Dziękuję. Rzeczywiście, trudno o lepszy komplement. - Nash przesunął się wraz z nimi o kilka kroków w kolejce. - Na co idziecie dzisiaj?

Sebastian sięgnął leniwym ruchem do kieszeni. Anastazja strzeliła do niego okiem.

- Na Schwarzeneggera.

- Naprawdę? - Nash nie rozumiał, dlaczego Sebastian chichocze. Uśmiechnął się. - Ja też.

Kiedy w mrocznej sali kinowej zajął miejsce koło Morgany, opanowało go uczucie błogiej ulgi. Nie szkodzi, że oglądał ten film na premierze w Hollywood. Tak czy owak, czekało ich półtorej godziny dobrego kina. Pamiętał zwłaszcza jedną scenę, która całą szacowną publiczność podniosła z krzeseł. Jeśli dopisze mu szczęście, Morgana poszuka schronienia w jego ramionach.

Kiedy przygasły światła, odwróciła do niego głowę i uśmiechnęła się.

Dla Nasha kino było miejscem magicznym. Zwykle już od pierwszej sceny wciskał się w fotel, zapominając o bożym świecie. Bez względu na to, czy oglądał film po raz pierwszy, czy dwudziesty. Ale dzisiaj nie śledził nawet akcji.

Kobieta siedząca obok niego była rzeczywistością, od której nie potrafił się oderwać. Patrzył bezmyślnie w ekran, wciągając w nozdrza woń jej perfum, ciepły zapach jej skóry.

Nie wzdychała, nie podskakiwała w fotelu - ani nie szukała jego ramienia, kiedy napięcie akcji gwałtownie rosło. Siedziała spokojnie, ze wzrokiem wbitym w ekran, automatycznym ruchem sięgając po prażoną kukurydzę.

Nadeszła jednak scena, przy której znieruchomiała, zaczęła oddychać przez usta, zacisnęła palce na poręczy fotela. Nash przykrył je swoją dłonią. Nie spojrziała na niego, ale odwróciła rękę. Ich palce splotły się gorączkowo, jak gdyby oboje czekali na tę chwilę.

Trudno, pomyślała Morgana. Niech się dzieje, co chce...

A zresztą niby co ma się dzieć? Siedzą sobie w ciemnym kinie, trzymają się za ręce. I jest cudownie.

Nie ma obaw, w domu oboje potrafią być ostrożni. Nash zachowuje się jak urodzony dżentelmen, może nawet trochę przesadza... W jej myślach pojawił się cień urazy. Jak gdyby tamten szalony pocałunek nigdy się nie zdarzył - albo zdarzył się we śnie.

Owszem, Nash bierze ją czasami za rękę, gładzi włosy, ale robi to bezwiednie, w całkiem niewinny,

przyjacielski sposób. Morgana westchnęła. Do głowy mu pewnie nie przychodzi, że po tych „niewinnych” pieszczotach - kiedy zamykają się za nim drzwi - ona rzuca się na łóżko i do rana nie może zasnąć.

Cóż, to jej kłopot i sama musi sobie z nim poradzić.

Nic nie zmieniało faktu, że lubiła z Nashem pracować i z niecierpliwością czekała na każde następne spotkanie. Nie tylko dlatego, że był czarującym rozmówcą i że podziwiała jego talent. Dzięki niemu miała szansę wyrazić słowami, kim jest - i potraktowała to jak poważne wyzwanie.

Oczywiście, nie wierzył w ani jedno jej słowo.

Tłumaczyła sobie, że film na tym nie ucierpi. Nie musiał wierzyć w magię, żeby wykorzystać jej wiedzę i napisać zabawną historię. A jednak szkoda... Czowała się głęboko dotknięta i rozczarowana.

Kiedy Ziemia została ocalona i na widowni rozbłysło światło, Morgana cofnęła rękę. Nie miała ochoty na słowne przepychanki z kuzynem.

- Świetny wybór. Ano - powiedział Sebastian.

- Uff... Przekonasz mnie o tym za chwilę, muszę złapać oddech.

- Tak się bałaś?

- Ależ skąd! - skłamała. - To muskuły Schwarzeneggera zapierają dech w piersiach. Z trudem śledziłam akcję.

- Idziemy na pizzę - zdecydował Sebastian, kiedy wyszli na zewnątrz. - Nash, nie jesteś głodny?

- Zawsze jestem głodny.

- No i bardzo dobrze. Stawiasz.

Zgrane trio, myślał Nash, kiedy na wyścigi łykali kawałki pokrytej roztopionym serem pizzy. Kłócili się o wszystko - zaczęli od smaku pizzy, a skończyli

na wyborze najciekawszej walki, którą stoczył Schwarzenegger. Zauważył, że Morgana i Sebastian napadają na siebie z równą energią i przyjemnością, podczas gdy Anastazja zadowala się rolą rozjemcy.

Nie ulegało wątpliwości, że łączą ich silne więzy. Te wszystkie wygłupy i przekomarzania dodawały barwy głębokiemu uczuciu.

Kiedy Morgana zawołała: „Kochany, nie bądź idiotą”, czuł, że „kochany” oraz „idiotą” znaczą w istocie to samo. I znów, tak jak na plaży, ukłuła go zażdrość.

Byli tylko dużymi dziećmi, podobnie jak on. Tylko że oni, w przeciwieństwie do niego, nigdy nie czuli się zupełnie sami.

Anastazja odwróciła się do Nasha z uśmiechem. Przez ułamek sekundy mignął w jej oczach cień współczucia.

- Odzywają się grubiańsko - powiedziała aksamitnym głosem - bo to jest silniejsze od nich. Taki styl... Ale nie mają nic złego na myśli.

- Grubiańsko? - Morgana obracała w dłoniach kieliszek z czerwonym winem. - Wytykanie Sebastianowi oczywistych wad nazywasz grubiaństwem? - Odsunęła jego rękę od własnego talerza. - Widzisz, jaki jest zachłanny? - zwróciła się do Nasha.

- I to ma być wada? - mruknął Sebastian.

- Zarozumiały i próżny. - Uśmiechnęła się zjadliwie, wbijając zęby w ostatni kawałek pizzy. - Nieokrzesany.

- Kłamstwo. - Sebastian rozparł się wygodnie na krześle. - To ty zapominasz o dobrym wychowaniu, kiedy wpadasz w amok. Prawda, Anastazjo?

- No wiesz, tak naprawdę, to wy oboje...

- Nigdy z tego nie wyrosła - przerwał jej Seba-

stian. - Jako dziecko, kiedy nie umiała postawić na swoim, zaczynała ryczeć. Wyła, jakby ją ktoś obdzierał ze skóry.

- Przypomnę ci gwoli sprawiedliwości - szepnęła nieśmiało Anastazja - że najczęściej sam ją prowokowałeś.

- Oczywiście - odpowiedział bez cienia skruchy w głosie. - Skoro tak łatwo mi szło... - Kątem oka zerknął na Morgane. - Dzisiaj też potrafię ją wprowadzić z równowagi jednym spojrzeniem.

- Powinieneś był wisieć pod sufitem dużo dłużej - mruknęła beznamyślnie Morgana.

- Słucham? - Nash omal nie zakrztusił się wodą.

- Wyjątkowo obrzydliwy numer... - Sebastian wykrzywił się z niesmakiem.

- Na który zasłużyłeś stokrotnie. Nie jestem pewna, czy ci już wybaczyłam - powiedziała Morgana.

- Rzeczywiście, Sebastianie - wtrąciła się Ana. - Postąpiłeś ohydnie.

- Cóż chcecie, miałem jedenaście lat. Chłopcy w tym wieku uwielbiają głupie żarty. Zresztą, to nie był prawdziwy wąż.

- Ale wyglądał jak żywy - syknęła Morgana.

Sebastian zachichotał, a potem przysunął się do Nasha, żeby opowiedzieć mu wszystko po kolei.

- To było pierwszego maja u ciotki Bryny i wujka Matthew. Nie da się ukryć, zawsze mnie korciło, żeby wykręcić tej małej jakiś numer. Morgana miała jedną jedyną słabość, o której wiedziałem. Śmiertelnie bała się węży. Mówić dalej? - Oczy Sebastiana zapłonęły wesołym blaskiem. - Jak przystało na chłopca w moim wieku, niewiele myśląc, wrzuciłem jej pod kołdrę gumowego węża - kiedy była już w łóżku...

- I tak bardzo się przestraszyła? - Na widok błysków w oczach Morgany Nash zaczął nerwowo kasłać.

- Sprawiał, że... - Ana zagryzła wargę, żeby utrzymać powagę - wąż zaczął widać się i syczeć.

Nashowi nie drgnęła powieka.

- Pracowałem nad tym zaklęciem kilka tygodni - westchnął Sebastian. - Czary nigdy nie były moją silną stroną, więc wyszło słabiutko, ale dopiąłem swego.

- A kiedy przestałam wrzeszczeć - ciągnęła opowieść Morgana - i zrozumiałam, co się stało, posłałam drania pod sufit. Wisiał tak, głową w dół, ile godzin, braciszku?

- Dwie cholerne godziny.

- Dalej byś tam wisiał, gdyby nie znalazła cię moja mama.

Sebastian z Morgana wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Naprawdę nie napijesz się z nami wina?

- Nie, dziękuję, przyjechałem samochodem. - Nash czuł, że go nabierają i że chowają coś w zadanadrzu. Uśmiechnął się do Morgany. - A więc, robiliście sobie dość niezwykle kawały.

- No wiesz... - Rozłożyła ręce w bezradnym geście. - Trudno, żeby dzieci o niezwykłych zdolnościach zadowolą się grą w warcaby.

- W cokolwiek graliśmy - Sebastian wskazał palcem Morganę - to ty oszukiwałaś.

- Oczywiście! Lubię wygrywać. - Wzruszyła ramionami i roześmiała się. - I tym optymistycznym akcentem zakończmy wspominki. Późno się robi. Nash, nie podwiózłbyś mnie do domu?

- Jasne - odpowiedział z wymuszoną swobodą. Przecież o niczym innym nie marzył.

- Miej się na baczności, Kirkland - wycodził Sebastian. - Ona uwielbia igrać z ogniem.

- Zauważyłem. - Podał Morganie rękę i czym prędzej odciągnął ją od stolika.

Ana westchnęła lekko i oparła brodę na dłoni.

- Czułeś, jak między nimi iskrzyło? Cud boski, że ten stolik nie zapalił się żywym ogniem...

- Będzie jakiś pożar, i to wkrótce. - Oczy Sebastiana pociemniały, zmatowiały i znieruchomiały. - Niezależnie od jej woli.

- Ale nie stanie się nic złego, prawda? - Ana, wyraźnie poruszona, zacisnęła nerwowo palce na jego ramieniu.

Nie widział dostatecznie wyraźnie... Z rodziną zawsze szło mu opornie, a z Morganą najtrudniej.

- Nie obędzie się bez kilku guzów i siniaków, ale nie martw się. Ano, wyjdzie z tego. - Uśmiech powrócił na jego usta. - Przecież powiedziała, że lubi wygrywać.

Tymczasem Morgana nie myślała ani o bitwach, ani o zwycięstwach. Z głową odchyloną do tyłu wpatrywała się w idealny kształt półksiężyca na rozgwieżdżonym niebie.

Przyjemnie jest jechać szybkim samochodem z otwartym dachem. Wdychać morskie powietrze, czuć jedwabisty chłód na policzkach. Siedzieć koło mężczyzny, który prowadzi z taką naturalną łatwością, który nastawił za głośno radio i który pachnie jak noc...

Patrzyła ukradkiem na jego profil. Z jaką rozkoszą dotykałaby tej twarzy, sprawdzała szorstkość policzków, uczyła się na pamięć kształtu nosa i warg.

Więc dlaczego się wahała? Przecież wiedziała, że to się stanie - prędzej czy później...

Od dawna znała odpowiedź. Bała się. Była zbyt dumna, żeby ulegać ślepemu przeznaczeniu.

Ale jeśli to ona go wybierze, jeśli utrzyma nad nim władzę? W końcu ani na chwilę nie przestała czuć się panią własnego losu. Decyzja wciąż należy do niej...

- Co cię skłoniło, żeby wyjść dzisiaj z domu? - spytała.

- Miałem dosyć. Byłem zmęczony samym sobą.

Rozumiała to doskonale. Rzadko doprowadzała się do takiego stanu, ale jeśli już... Wzdrygnęła się na samą myśl. Czarna rozpacz. Uczucie nie do zniesienia.

- Jak ci idzie scenariusz?

- Nieźle. Właściwie zbliżam się do końca. Za kilka dni zacznę negocjować warunki z moim agentem.

- Zerknął na nią kątem oka i natychmiast tego pożałował. Wyglądała tak pięknie, z rozwianymi włosami i zagadkowym uśmiechem. - Bardzo mi pomogłaś, Morgano.

- To znaczy, że nie będę ci już potrzebna.

- Nieprawda. To znaczy, Morgano, ja... - Dojechali na miejsce. Nash zatrzymał się przed bramą, ale nie wyłączył silnika. Słowa uwieźły mu w gardle. Patrzył na wielki dom, w którym paliło się tylko jedno światło. W jednym oknie.

Gdyby go zaprosiła, nie wahałby się ani chwili. Już nic by go nie powstrzymało. Tego wieczoru coś się działo. Coś dziwnego się wydarzyło, kiedy w czasie jazdy odwrócił się i spojrzał Morganie prosto w oczy... Wydało mu się nagle, że oboje grają w jakimś filmie - czym? - do którego sami muszą dopisać zakończenie.

- Jesteś zdenerwowany - mruknęła. - To do ciebie niepodobne. - Przekręciła kluczyk w stacyjce.

Dopiero teraz milczenie stało się nieznośne. - Wiesz, co ja robię, kiedy wychodzę z siebie i wszystkiego mam dosyć?

Odwrócił się gwałtownie, jak gdyby wcale nie był pewien, czy zobaczy te same roziskrzone oczy. Zaciśnięła ręce na jej kruchych ramionach.

- Co robisz?

Wyśliznęła się z samochodu, podeszła do Nasha z drugiej strony i szepnęła mu do ucha:

- Spaceruję. - Wyprostowała się i podała mu rękę. - Chodź, pokażę ci zaczarowane miejsce.

Oddalali się od domu cyprysową aleją. Powoli, zdecydowanym krokiem, jakby oboje wiedzieli, dokąd zmierzają.

- Lubię noc. - Odetchnęła głęboko. - Aromat nocy, jej smak. Czasami budzę się w ciemności i wychodzę na spacer.

Słyszał krople wody drażące skałę w jednostajnym rytmie. Serce bilo mu jak oszalałe.

Coś się działo.

- Te drzewa - powiedział mrocznym, drewnianym głosem. - Zakochałem się w nich.

- Naprawdę? - Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała mu w oczy.

- Przyjechałem tu latem, w zeszłym roku. Chciałem odpocząć od upału i chyba wtedy zrozumiałem, czym są drzewa. - Pogłaskał stary, szorstki pień. - Wiesz, nigdy nie wariowałem na punkcie natury, nie w tym rzecz. Od urodzenia mieszkałem w miastach i wcale mi to nie przeszkadzało. A jednak czułem przez skórę, że kiedyś dojrzeję do prawdziwego domu. Z własnymi drzewami za oknem. Takimi jak te.

- Czasami człowiek wraca tam, skąd przyszedł. Choćby podświadomie. - Ruszyła dalej, stąpając

bezglśnie po delikatnej, promieniującej ciepłem ziemi. - W niektórych cywilizacjach takim drzewom oddawano boską cześć. - Uśmiechnęła się. - Myślę, że wystarczy je kochać, podziwiać za ich wiek, piękno, wytrwałość. Tutaj. - Zatrzymała się i odwróciła do Nasha. - To jest środek cyprysowego gaju, samo serce. Źródłem najczystszej magii zawsze jest serce.

Nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego zrozumiał i uwierzył. Może sprawił to księżyc, a może nastrój chwili. Miał mętlik w głowie, piekły go policzki, ale jedno wiedział na pewno: był już kiedyś w tym miejscu. Z Morganą.

Opuszkami palców dotknął jej policzka. Nie poruszyła się i nie odwróciła wzroku. Czekwała.

- Wiesz, chyba nie jestem zachwycony tym, co się ze mną dzieje - powiedział spokojnie.

- A co ci dolega?

- Ty. - Ujął w dłonie jej twarz. - Myślę o tobie w dzień i w środku nocy. Marzę. Nie panuję nad swoją wyobraźnią. Dzieje się ze mną coś, na co nie mam żadnego wpływu.

- To takie straszne? - Położyła ręce na jego nadgarstkach, pragnąc wyczuć puls.

- Nie wiem. Całe życie unikałem komplikacji. Wydawało mi się, że opanowałem tę sztukę do perfekcji i..- uśmiechnął się pośepnie - nie chciałbym tego zmieniać. Nie czuję się na siłach.

- Więc nie komplikujmy niczego...

Nie miała pojęcia, czy on zrobił pierwszy krok, czy też ona. Świat zaczął wirować, potem gorący dreszcz przeszył jej ciało. Wargi Nasha parzyły i wymuszały wzajemność. Morgana błędziła palcami po jego plecach. Garnęła się do niego rozpaczliwie, chciała być jak najbliżej.

Jak mogła się łądzić, że zachowa nad nim władzę? Gdyby chodziło wyłącznie o przyjemność... Ale nawet teraz, kiedy drżała z rozkoszy i niemal przestała myśleć, wiedziała, że chodzi o wiele, wiele więcej.

Po raz pierwszy w życiu biło jej serce na widok mężczyzny. Pragnęła go - tak jak on pragnął jej - ale nie miała ochoty na banalną przygodę. Chciała czegoś więcej.

Na przekór pobożnym życzeniom Nasha, groziło im mnóstwo komplikacji. Nie byli przygotowani. Oboje potrzebowali czasu.

Morgana z bólem serca podniosła głowę - i natchmiast tego pożałowała. Wilgotne, lekko nabrzmiałe wargi błagały o następny pocałunek. Objął ją jeszcze mocniej i schował twarz w jej włosach.

- Nash. - Przytuliła policzek do wnętrza jego dłoni. - Nie teraz.

Pociemniało mu w oczach. Miał ochotę opaść z nią na ziemię i o nic nie prosząc udowodnić, że się myli. Pragnął jej. Teraz. I tak się stanie... Kiedy ochłonał, zorientował się, że wbija w jej plecy paznokcie.

- Przepraszam. - Opuścił ręce. - Naprawdę nie chciałem... Nie zrobiłem ci krzywdy?

- Nie. - Dotknęła do żywego, zakryła palcami usta. - Oczywiście że nie. Nie przejmuj się.

Ale jak miał to zrobić? Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się coś podobnego. Miał różne wady - kobiety zarzucały mu chłód, cynizm, ale, do diabła, nigdy nie był brutalny!

Przecież omal jej nie zgwałcił...

Drżąc jak w febrze, wcisnął ręce głęboko do kieszeni.

- Miałem rację, Morgano, coś jest nie tak. Albo ja oszalałem, albo... Pocałowałem cię po raz drugi

_ i znów czułem, że muszę to zrobić. Że to taka sama życiowa konieczność jak oddychanie, jedzenie czy spanie.

Ostrożnie, pomyślała.

- Uważasz, że można żyć bez uczuć? Wystarczy jeść, spać i oddychać?

Istotnie, tak uważał. Radził sobie bez wyższych uczuć przez sporą część życia.

- Wiesz co, kochanie? - Wahał się przez chwilę, kręcąc głową. - Gdybym wierzył, że jesteś czarownicą, pomyślałbym, że rzuciłaś na mnie urok.

Dlaczego zabołały ją te słowa? Nigdy dotąd, żadnemu mężczyźnie, nie udało się jej zranić. A jeśli naprawdę się zakochała...

- I bardzo dobrze, że nie wierzysz. To był zwyczajny pocałunek, Nash. Nic groźnego. - Uśmiechnęła się, żeby nie zauważył smutku w jej oczach. - Całe szczęście, że jesteś taki rozsądny.

- Morgano, żebyś wiedziała, jak cię pragnę - powiedział ochrypłym głosem. - To jakieś szaleństwo! Jestem przerażony swoim stanem.

Wierzyła mu.

- Zobaczymy, Nash. Czas pokaże, czy to naprawdę takie groźne. Teraz jestem zmęczona. Wracam do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Minęło pięć lat od dnia, w którym Morgana przywitała pierwszego klienta w swoim sklepie. Dzisiaj śmiało mogła powiedzieć, że odniosła sukces. Zawdzięczała go swojej pracowitości, zapałowi, z jakim zdobywała ciekawe towary, przede wszystkim jednak temu, że zabawa w sprzedawanie i kupowanie sprawiała jej prawdziwą frajdę.

Nie musiała pracować zarobkowo. Mogłaby wieść dostatnie życie, czerpiąc dochody z rodzinnego majątku. Gdyby nie ambicja i duma...

Wymyśliła sobie zajęcie, które lubiła i które zapewniało jej przyzwoite zyski. W swoim sklepie-galerii zawierała ciekawe znajomości, otaczała się pięknymi przedmiotami, które trafiały do domów ludzi kochających sztukę. Czegóż chcieć więcej!

Oczywiście, że zdarzały się i ciężkie chwile. Właścicielka prywatnego interesu - dla której odpowiedzialność nie jest pustym słowem - nie może zamknąć drzwi i zasłonić witryn tylko dlatego, że ma chandrę i drażni ją widok ludzi.

Zastanawiała się, czy jej wrodzone poczucie odpowiedzialności jest zaletą czy garbem. Gdyby rodzice trochę mniej przykładali się do jej wychowania... Kto wie? Może trzasnęłyby teraz drzwiami, wsiadła do samochodu i pojechała przed siebie - mówiąc sobie „sklep nie zając...”.

Im dłużej myślała o Nashu, tym bardziej czuła

się rozdrażniona. Skąd ten chorobliwy niepokój, lęk? Przecież nigdy nie bała się mężczyzn. Jako mała dziewczynka okręcała sobie wokół palca stryjów i ojca. Nawet Sebastiana - chociaż z nim było trudniej. Z chłopakami w szkole szło jej jak z płatka, a potem identyczne sztuczki - nieodparty wdzięk oraz upór - sprawdzały się w jej dorosłym życiu.

Aż do dzisiaj. Trafiła kosa na kamień.

Ale jak to się stało? Kiedy zrobiła pierwszy fałszywy krok? Wczoraj? A może nie jest jeszcze tak źle... Może to nastrój chwili, tamtego miejsca? Może zawiniły cyprysy i księżyc? Do diabła, nie należy do kobiet, które zakochują się od pierwszego wejścia.

Przysięgłaby, że słyszy cichutki, złośliwy chichot. Bardzo śmieszne, pomyślała. Potem rozległ się dzwonek przy drzwiach. Na widok Mindy, Morgana westchnęła z ulgą.

- Cześć. Już druga?

- Nie wiem. Około. - Mindy podrapała za uchem Lunę. - Jak leci?

- Nieźle.

- Widzę, że masz dobry dzień. Sprzedałaś te piękne, kwarcytowe kryształki.

- Godzinę temu. Trafiły w dobre ręce. Młode małżeństwo z Bostonu. Odłożyłam je na zaplecze, żeby zrobić paczkę i jutro wysłać.

- Może ja się tym zajmę?

- Nie, dzięki. Skoro już jesteś, z przyjemnością oderwę się od lady. Pilnuj sklepu, ja zapakuję kryształki.

- W porządku, jak chcesz. Swoją drogą, wyglądasz na z krzyża zdjętą.

- Naprawdę? - Morgana uniosła brwi.

- Aha. Podaj rękę madame Mindy... No właśnie, popatrz na tę linię... Kłopoty sercowe.

- Nie wątpię w twoje umiejętności wróżbiarskie, madame Mindy, ale ty chyba na każdej dłoni widzisz kłopoty sercowe.

- Strzelam, co mam robić! - Mindy wzruszyła ramionami. - Żebyś wiedziała, ilu ludzi podtyka mi pod oczy otwarte dłonie - tylko dlatego, że pracuję dla czarownicy.

- Mówisz poważnie? - Morgana, zaciekawiona, przechyliła głowę.

- Poważnie, poważnie! Boją się zbliżyć bezpośrednio do ciebie. Podejrzewają co prawda, że to może być zaraźliwe - jak grypa albo katar - ale mniej groźne z drugiej reki. Do mnie idą jak w dym. Asekuranci!

Po raz pierwszy od rana Morgana wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Rozumiem. Srodze by się zawiedli, gdybyś im powiedziała, że nie znam się na chiromancji, że w ogóle nie wróżę z dłoni...

- Ale ja im tego nie powiem. - Mindy zerknęła w najbliższe lustro. - Swoją drogą, kochanie, nie trzeba być wróżką, żeby widzieć, co się z tobą dzieje. Pewien przystojny blondyn spędza ci sen z powiek i komplikuje życie...

- Radzę sobie - mruknęła.

- Łatwo sobie z nimi radzić... do czasu. - Mindy uśmiechnęła się łobuzersko. - Powiedz tylko słowo, a ruszę na pomoc.

- Dzięki - roześmiała się Morgana. - Wiem, że byś potrafiła, ale spróbuję sama. - W całkiem dobrym humorze wycofała się na zaplecze.

Nash siedział rozparty na kanapie, z lekko znużoną miną, wśród pootwieranych na chybił trafił książek. Przekonywał się gorliwie, że wcale nie leniuchuje. Komputer w sąsiednim pokoju jęczał żałośnie, a on popijał lemoniadę, zerkał w telewizor, puszczał samolociki z papieru... Wzdychał i myślał.

Scena we wnętrzu, dzień. Wielki, opuszczony hangar. Przez wrota sączy się mgliste światło, padające ukośnie na kadłub myśliwca. Słychać kroki... Coraz wyraźniejszy stukot damskich obcasów. Kobieta wślizguje się do środka, zanurza w półmroku. Kapelusz nasunięty na czoło zasłania jej twarz. Oko kamery śledzi sylwetkę w czerwonej minisukience, przesuwa się po długich, zgrabnych nogach. Zbliżenie na czarną teczkę, którą zaciska w delikatnej dłoni.

Przed wejściem do kabiny, zerka przez ramię. Każdy jej ruch wydaje się celowy i skuteczny. Sposób, w jaki zajmuje miejsce pilota, gest, jakim otwiera zamek teczki...

Cisza. Ukrywa bombę pod pulpitem sterowniczym, potem śmieje się przyduszonym, zmysłowym głosem. Najazd kamery na twarz.

Twarz Morgany.

Klnąc głośno, Nash ciska w powietrze kolejny samolocik. Co on, do cholery, wyprawia? Robi film o niej, i to jaki?! On, spec od czystej fantazji, popada w jakiś idiotyczny symbolizm. No więc wysadziła go już w powietrze razem z samolotem. Koniec, kropka. I po to śnił o niej na jawie przez cały boży dzień?

Zamiast pracować.

Usiadł gwałtownie, zepchnął na podłogę wszystkie książki i zgasił telewizor. Zrobi to. Scenariusz o czarach i czarownicach - dokładnie tak, jak obiecał.

Wcisnął guzik magnetofonu. Wytrzymał tylko kilka sekund. Jęknął. Nie był w stanie słuchać jej głosu.

Podniósł się, rozkopując te same książki, które przed chwilą zrzucił z kanapy. Nie mógł na nie patrzeć, nie mógł słuchać komputera, który zawodził jak wyrzut sumienia. Musiał natychmiast wyjść z domu. Na szczęście wiedział dokładnie, dokąd chce iść.

Może na nieszczęście - ale był już dorosłym chłopcem, który podejmował świadomą decyzję. Jak to pisał Bradbury? (W „Słonecznym winie”, które dostrzegł wśród najbardziej „zacytanych” książek Morgany). „Pamiętajcie - możecie mieć wszystko, co chcecie, jeśli chcecie tego naprawdę. Próba polega na zapytaniu samego siebie: „Czy pragnę tego z całego serca? Czy mógłbym bez tego dożyć wieczora?” Jeśli wyda się wam, że do zachodu padniecie trupem, łapcie tę rzecz i uciekajcie.”

Humor poprawiał się Morganie z minuty na minutę. Nastawiwszy cicho radio, nuciła pod nosem i uśmiechała się do własnych myśli. Tego jej brakowało: godziny samotności, filizanki kojącego rumianku i konkretnego zajęcia. Spakowała kryształę i wypełniła przekaz. Gotowa była spędzić całe popołudnie nad korespondencją, księgowaniem towaru, rachunkami - byle nikt jej nie wrywał z zaplecza.

Nie zauważyła go w drzwiach, ani nie słyszała kroków. Nash podszedł na palcach do biurka, podniósł ją za łokcie jak manekina i pocałował w usta.

- Tym razem to mój pomysł... - Zsunął ręce na jej biodra, żeby nie mogła się cofnąć. - Najlepszy, jaki mi przyszedł do głowy od samego rana.

Morgana obejrzała się przez ramię. W drzwiach prowadzących do sklepu stała Mindy - z afektownym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Poradzę sobie, Mindy.

- Och, nie wątpię. - Odwróciła się, zamykając za sobą drzwi.

- A więc... - Próbowwała odepchnąć Nasha na bezpieczną odległość. Wolą, żeby nie czuł, jak drżą jej ręce. - To wszystko?

- Nie. Wszystko przed nami, kochanie. Od ciebie zależy, kiedy zaczniemy.

- To się nazywa... - uśmiechnęła się mimowolnie - kłaść kawę na ławę, prawda?

- Nazwij to jak chcesz, ale nie powstrzymasz mnie dłużej. Tracę rozum, Morgano, i nie odzyskam go, póki nie spędzę z tobą kilku nocy. Będziemy się kochać bez przerwy, rozumiesz? - W jego oczach igrały dwa wesołe ogniki, ale głos brzmiał śmiertelnie poważnie. - Będziemy się kochać, póki nie zacznę myśleć normalnie.

Morgana miała wrażenie, że topnieje... W jego mocnych ramionach nie czuła ciężaru własnego ciała, bicia własnego serca ani oddechu. Zacisnęła ręce na biurku, żeby nie stracić równowagi. Spokojnie... Odezwała się niskim, ale pewnym siebie głosem:

- A nie boisz się, że dopiero potem przestaniesz myśleć... normalnie?

- Zaryzykuję. - Obrysował palcem jej wargi. - Kładę wszystko na jedną szalę. Nawet rozum, bez którego nie napiszę tego scenariusza.

- Wierzę ci. Ale nie zapytałeś, czy ja chcę ryzykować. Co byś powiedział, gdybym starała się cię przekonać, że jeszcze nie pora, że powinniśmy poczekać...

- Powiedziałbym, że unikasz tematu. - Jego ręce wędrowały coraz wyżej, aż palce dotknęły piersi. Poczował krótki, gwałtowny dreszcz, który przeszył jej ciało.

- Zapewniani cię, Nash, że nie miałbyś racji. Wierz mi.

- Do diabła z czasem, Morgano, pojedźmy do domu, przecież oboje tego chcemy.

Uwolniła się z jego objęć z cichym westchnieniem.

- Pojedziemy. Żeby pracować. Nie pójdę z tobą do łóżka, Nash. Nie dzisiaj.

- Dobrze i to. - Uśmiechnął się chytrze. - Może jeszcze zmienisz zdanie, jeśli zdołam cię przekonać.

- Masz jeszcze czas, żeby zmienić swoje - powiedziała smutnym głosem. - Poproszę Mindy, żeby zajęła się wszystkim i sama zamknęła sklep.

Morgana uparła się, że pojedzie za Nashem własnym samochodem. Obiecała sobie w drodze, że da mu dwie godziny. Dwie godziny i ani chwili dłużej. Akurat tyle, żeby biedakowi rozjaśniło się w głowie... Żeby odzyskał twórczą wenę i chęć do pracy.

Spodobał jej się i dom - położony jeszcze bliżej morza niż jej rodzinna posiadłość - i wielki ogród, który aż się prosił o rękę ogrodnika. Nim przekroczyli bramę, wypatrzyła na bocznym dziedzińcu dwa identyczne, pochylone ku sobie cyprisy. Wyglądały jak para splecionych ramionami kochanków.

Pasuje do niego jak ulał, myślała wesoło przedzierając się przez trawę, która sięgała jej do kolan.

- Jak długo tu mieszkasz?

- Kilka miesięcy. - Rozejrzał się wokół z bezradną miną. - Powinienem kupić kosiarkę do trawy.

- Powinieneś zacząć od sekatora.

- Z drugiej strony... Lubię chyba taki naturalny

stan rzeczy. Wyobrażasz sobie mnie w ogrodzie francuskim?

- Jesteś po prostu leniwy. - Zanim weszła na schody, spojrzała ze współczuciem na żonkile, ledwie widoczne w gąszczu chwastów.

- Muszę mieć motywację - rzekł z godnością, otwierając przed Morganą frontowe drzwi. - Całe życie wynajmowałem mieszkania. To mój pierwszy prawdziwy dom.

- Trzeba przyznać, że dobrze wybrałeś. - Patrzyła z uznaniem na wysokie, chłodne ściany foyer, rzeźbioną balustradę z ciemnego drewna, która zdobiła schody oraz wewnętrzną galerię. - Gdzie pracujesz?

- Tu i tam... Zależy.

- Uhm. Można? - Uchyliła pierwsze drzwi na parterze. Wielka jasna komnata, z oknami bez zasłon i gołą drewnianą podłogą. Jasne, pomyślała, tak wygląda „prawdziwy” dom mężczyzny, który nie zdecydował jeszcze, czy chce go urządzić.

Meble były ustawione przypadkowo, przykryte stertami ubrań, papierów, książek i naczyń. Zauważyła mnóstwo zabawek, jak je nazywała: drobnych przedmiotów, które niczemu nie służą poza tym, że sprawiają radość ich właścicielom, oswajają przestrzeń... i trwają. Są duszą każdego domu. Morgana krążyła po pokoju, uśmiechając się z sympatią i niedowierzaniem. Statuetkę Oscara przykrywała równie gruba warstwa kurzu jak srebrną skrzyneczkę w kształcie trumny, która stała tuż obok i... Otworzyła ze zdumienia usta. Lalka woodoo, z tkwiącą w jej sercu szpilką, leżała u stóp Oscara.

- Ktoś, kogo znam?

Uśmiechnął się rozbrajająco, przyzwyczajony do

własnego bałaganu i zbyt uradowany jej obecnością, żeby przejmować się drobiazgami.

- Nie, różni mi podpadają. Najczęściej producent albo jakiś polityk.

- Oo! Talia do tarota. Potrafisz wróżyć z kart?

- Skąd! Dostałem je w prezencie. Podobno należały do sławnego magika Houdiniego, ale kto to może wiedzieć...

- Jak to, kto? Sebastian wie na pewno, możesz go spytać. - Dotknęła zewnętrznej karty z niekłamną przyjemnością - opuszkami palców - czując, jak spływa na nią moc. Podała talię Nashowi. - Potasuj i przełoż.

- Chcesz teraz grać? - spytał zdumiony, ale zrobił to, o co prosiła.

- Nie widzę wolnych krzesel, usiądźmy więc na podłodze. - Uklękła, odrzuciła do tyłu włosy i zaczęła układać z kart krzyż celtycki. - Coś cię gryzie - powiedziała. - Ale źródło twojego talentu nie wyschło. Twój umysł nie jest zaćmiony. Nadchodzą zmiany. - Spojrzała na niego takim błękitnym, przejrzystym wzrokiem... Wiedziała, że nawet zatwardziały sceptyk i niedowiarek uwierzyłby w tej chwili w każde jej słowo. - Może najważniejsze w twoim życiu, ale niełatwo ci będzie zrozumieć i pogodzić się z nimi.

Przestała czytać z kart. Widziała wiele spraw jak na dłoni - chociaż mniej wyraźnie, niż widziałby Sebastian.

- Musisz pamiętać, że niektóre rzeczy dziedziczymy wraz z krwią i przekazujemy z krwią naszym dzieciom. Inne giną, gubią się po drodze. Czasami nie ma czego żałować... Nie jesteśmy, na szczęście, prostą sumą ludzi, którzy dali nam życie. - Położyła

dłoń na jego ramieniu. Jej oczy złagodniały. -I niech ci się już nie zdaje, że jesteś sam na bezludnej wyspie. Nigdy tak nie było.

Nie umiał zakpić ze słów, które go poraziły. Ale mógł przecież zrobić unik. Podniósł jej rękę i pocałował. Zmysłowo, nie odrywając wzroku od jej oczu.

- Nie prosiłem cię o przepowiednie, tylko...

- Wiem, po co mnie zaprosiłeś do siebie, ale to się nie stanie. Jeszcze nie. A moje słowa nie były przepowiednią. Mówiłam o terażniejszości. - Złożyła powoli karty. - Pomogę ci, ile tylko potrafię... Jeśli w ogóle potrafię. Powiedz mi, Nash, na czym polega kłopot z twoim scenariuszem.

- Poza tym, że myślę o tobie, kiedy powinienem pracować?

- Poza tym.

- Wydaje mi się, że sprawa wewnętrznych motywacji bohaterki. Kassandry. Tak będzie mieć na imię. Czy dlatego jest czarownicą, bo zapragnęła władzy? Chciała mieć wpływ na ludzkie losy? Zmieniać bieg wypadków? Może szuka zemsty, albo miłości, albo silnych wrażeń? Może wybrała najłatwiejszy sposób imponowania otoczeniu, zadawania szyku?

- Dlaczego właśnie tak? Dlaczego drażysz w jednym kierunku? Czy nie mógłbyś założyć, że twoja bohaterka przyszła na świat z pewnym darem?

- Za łatwe.

- Nie masz racji. - Morgana pokręciła głową. - Dużo łatwiej jest ludziom zwyczajnym, takim jak wszyscy inny. Kiedy byłam małą dziewczynką, niektóre matki zabraniały swoim dzieciom bawić się z „tym odmieńcem”, czyli ze mną. Mogłam przecież ich normalne pociechy sprowadzić na złą drogę.

- Wiem coś o tym. Nigdzie nie zdażyłem za-

grzać miejsca, więc zawsze byłem „nowym”. I zawsze znalazł się ktoś, kto przyłożył mi w nos na dzień dobry. Nie pytaj dlaczego. Moim jedynym marzeniem było dorosnąć i skończyć z cholernymi szkołami i z całym zakichanym dzieciństwem. - Poczuję nagle, że się zagalopowałem. - Wracając do Kassandry...

- Jak sobie radziłeś? - Pomyślała o własnym dzieciństwie, w którym miała Anastazję, Sebastiana, rodziców - i cudowne poczucie przynależności do rodziny.

- Najczęściej uciekałem. - Wzruszył bezradnie ramionami, potem sięgnął po wiszący na szyi Morgany amulet. - Znalazłem sobie bezpieczny azyl: w książkach, filmach, we własnej wyobraźni. Kiedy skończyłem wreszcie obowiązkowe kilkanaście lat, zacząłem pracować - nie zgadniesz gdzie... Prowadziłem stoisko z napojami w sali kinowej. Jednym słowem, płacili mi za oglądanie filmów! - Błogi uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Uwielbiałem gapić w ekran i do dzisiaj mi to nie przeszło.

- Teraz ci płacą za wymyślanie filmów. - Zmrużyła wesoło oczy.

- Tak. I chciałbym trwać w tym nałogu jak najdłużej... co stanie się niemożliwe, jeśli nawalę ze scenariuszem. - Wsunął palce w jej włosy. Delikatnym ruchem, najpierw jedną rękę, potem drugą. - Brakuje mi inspiracji - szepnął.

- Brakuje ci koncentracji.

- Właśnie się koncentruję... - Błądził językiem po jej wargach. - Wierz mi, kochanie, to najlepszy sposób. Nie chcesz podciąć mi skrzydeł, prawda? Jesteś panią życia i śmierci mojego twórczego geniuszu. Morgano, przecież nie chcesz mieć na sumieniu biednego artysty? Błagam...

- Nie chcę - westchnęła. Zdecydowała nagle, że oto najwyższa pora uświadomić biednemu artyście, czym ryzykuje. Oplotła rękami jego szyję. - Zaraz uniesie cię natchnienie... Poczujesz swoje skrzydła.

Unieśli się razem, objęci ramionami jak dwa cyprysy na dziedzińcu. Najpierw dwadzieścia centymetrów nad podłogę. Nash, zatraciwszy się w pocałunku, niczego nie zauważył. Wirowali coraz wyżej. Kiedy zawisli pod sufitem, drżąca z podniecenia Morgana musiała zaczerpnąć powietrza.

- Nash, lepiej przestańmy.

- Dlaczego? - Zaczął całować jej szyję.

- Zapomniałam cię spytać, czy nie cierpisz przy padkiem na lęk wysokości. - Patrzyła w dół, czekając na reakcję Nasha. Nareszcie. Poczowała, jak drętwieje i zaciska palce na jej ramionach. Nieme przerażenie w oczach... Chciałaby mieć kamerę, żeby utrwalić wyraz jego twarzy, kiedy wylądowali na podłodze.

- Jak to, do diabła, zrobiłaś?

- Dziecięca sztuczka. Oczywiście, nie każde dziecko to potrafi. - Pogłaskała go po policzku. - Nash, od wielu lat krążysz wokół, nazwijmy to, zjawisk paranormalnych. Tym razem spotkałeś prawdziwą czarownicę.

Powoli i zdecydowanie pokręcił głową.

- Nonsens.

- W porządku. - Morgana wydała przeciągłe westchnienie. - Zaraz, niech pomyślę. Coś prostego, ale z klasą. - Zamknęła oczy i uniosła ręce.

Przez sekundę była zwyczajną kobietą. Piękną kobietą, która stała nieruchomo na środku pokoju, z dłońmi nad głową, ułożonymi jak do tańca. Nagle zaczęła się zmieniać. Boże, widział wyraźnie, jak Pięknieje coraz bardziej. Sztuczka ze światłem, my-

ślał w popłochu. Ten dziwny uśmiech, cienie rzęs na policzkach, kaskada włosów spływająca po ramionach do talii... Dobry operator potrafi to wyczarować.

Ale jej włosy falowały, jakby poruszane wiatrem. Coraz wyżej, potem zasłoniły jej całą twarz. Przecież okna były zamknięte, skąd wiatr w pokoju? Poczłł chłodyny podmuch na plecach. Usłyszał świst.

Morgana poruszyła wargami. Otulająca jej sylwetkę złocista poświata zaczęła drzeć. Kiedy wymówiła zakłęcie, z sufitu spadł śnieg. Miękkie, białe płatki prawdziwego śniegu. W zalany m słońcem pokoju Nasha.

- Przestań!

Morgana opuściła ręce. Otworzyła oczy. Wszystko powróciło do normy, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Ani śladu śniegu, wiatr ucichł i zamarł. Tak jak się spodziewała, Nash patrzył na nią jak na potwora o trzech głowach.

- Może rzeczywiście trochę przesadziłam.

- Ja... Ty... - Najwyraźniej stracił mowę. - Co ty, do ciężkiego diabła, zrobiłaś? Czy możesz mi to po ludzku wytłumaczyć?

- Przywołanie żywiołów. - Z ulgą stwierdziła, że jego twarz odzyskuje kolor. - Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.

- Za duże słowo. Owszem, trochę mnie zaskoczyłaś - przyznał łaskawie, po czym otrząsnął się jak pies po kąpieli. Próbował zebrać myśli. Jeżeli widział to, co widział - coś w tym jest... Wykluczone, żeby Morgana wkradła się do jego domu, żeby przygotować triki.

Ale musi być jakieś wytłumaczenie.

Zaczął krążyć po pokoju, węsząc i zaglądnając w każdy kąt.

_ No, dobrze. Przyznaję, kochanie, jesteś wielka, absolutnie wspianała. Nigdy dotąd nie oglądałem równie cudownych sztuczek, ale powiedz, jak to zrobiłaś?

- Nash - odezwała się spokojnym, silnym głosem.
- Przestań chodzić i usiądź. Spójrz na mnie.

Spojrzał. I wszystko już wiedział. Nie rozumiał, jak to możliwe, ale uwierzył. Zamknął na chwilę oczy.

- Boże, to prawda... Powiedz coś.

- Usiądziesz wreszcie?

- Nie. - Usiadł jednak natychmiast, na stoliku do kawy. - Wszystko, o czym opowiadałaś, to prawda. Żadnych bujd.

- Żadnych. Urodziłam się czarownicą, tak jak moja matka, mój ojciec, jak moi dziadkowie i pradziadkowie, a przed nimi cały łańcuch pokoleń. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Nie latam na miotle, chociaż dla żartów... mogłabym spróbować. Nie rzucam czarów na młode księżniczki ani nie rozdaję wrogom zatrutych jabłek.

Nieemożliwe... Gdzie tu sens? Żyjemy w końcu dwudziestego wieku...

- Zrób coś jeszcze.

- Nie jestem słoniem cyrkowym - rzuciła zniecierpliwionym głosem.

- Proszę cię, Morgano. Bardzo mi na tym zależy. Czy mogłabyś zniknąć albo... - Poderwał się z krzesła. - Popatrz, ja stanę tam, a ty... - Książka, która sfrunęła z półki, uderzyła go w czoło. Potarł wierzchem dłoni trafione miejsce. - Dobrze, w porządku, nic nie szkodzi.

- Nie bój się - powiedziała z godnością - to nie był występ towarzyszący głównemu przedstawieniu. Ani próba generalna. Musiałam użyć bolesnego ar-

gumentu, bo zachowujesz się jak wyjątkowy tępak, a nie artysta z wyobraźnią. Długo nie chciałeś uwierzyć, chociaż zależało mi na tym. - Wygładziła starannie dół sukienki. - Teraz, kiedy znasz już prawdę, damy sobie trochę czasu na przemyślenie wszystkiego od początku. Zanim ruszymy dalej.

- Ruszymy dalej - powtórzył jak echo. - Może więc wykonamy następny krok i pogadamy o tym spokojnie.

- Nie teraz.

Szkoda, że nie wie, pomyślała ze smutkiem, o ile kroków się cofnęła.

- A niech to! Tak się nie robi, Morgano. Chcesz mnie zostawić z tym chaosem w głowie? Zagrałaś mi na nosie i teraz sobie pójdiesz, jak gdyby nigdy nic? Jesteś prawdziwą czarownicą.

- Najprawdziwszą. Mam nadzieję, że nie zmienisz w tej sprawie zdania.

- Chciałbym ci zadać milion pytań.

- Zadałeś mi już kilka setek. - Sięgnęła po torbę. - Przesłuchaj taśmy, Nash. Na każde z twoich pytań odpowiedziałam serio. Nie zmieniałabym ani słowa.

- Nie chcę służyć taśm. Chciałbym z tobą rozmawiać.

- Przykro mi. Ale ja chcę, w tej chwili, wrócić do domu. - Otworzyła torebkę i wyjęła z niej wisiołek z małym szmaragdem w kształcie różdżki. - Proszę. - Nie czekając na odpowiedź, przełożyła łańcuszek przez głowę Nasha.

- Dziękuję, ale nie noszę biżuterii.

- A więc traktuj go jak talizman. Rozjaśni ci umysł, pomoże obudzić natchnienie i... Widzisz ten fioletowy kamyczek nad szmaragdem?

- Tak.

_ Ametyst. - Musnęła wargami policzek Nasha i ruszyła do drzwi. - Będzie cię chronił przed czarami. Prześpij się teraz godzinę, bo twój umysł jest zmęczony. Sam to czujesz. Obudzisz się jak nowo narodzony, z zapałem do pracy. Kiedy nadejdzie właściwa pora, znajdziesz mnie.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Nash, marszcząc czoło, obejrzał dokładnie kamień. Rozjaśnia umysł. Przyda się... Na razie jego myśli były równie przejrzyste jak dym z komina. Pogładził palcem ametyst. Osłona przed czarami. Wyrzał przez okno, żeby odprowadzić Morganę wzrokiem do samochodu.

Przyda się jeszcze bardziej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Potrzebował godziny na zebranie myśli, a nie na sen. Z drugiej strony - czy ktokolwiek mógłby zasnąć, albo trzeźwo myśleć, po tym, co on oglądał przez ostatni kwadrans? Mój Boże, rozmawiał z niejednym nawiedzonym parapsychologiem, niejednym medium, fachowcem od specjalnych efektów... ale żaden z nich nie dorastał Morganie do pięt. Każdy z nich wiele by dał, żeby zobaczyć ją w akcji.

Tymczasem pierwszym racjonalnym odruchem po jej wyjściu był bunt. Niezgoda na fakty, które burzyły jego dotychczasowy obraz świata. Może i uwierzył - bo nie miał innego wyjścia - ale nie chciał wierzyć w czarownicę!

Wrócił do pokoju, żeby jeszcze raz zerknąć na sufit. Zastanowić się. Nie. Nie mógł zaprzeczyć, że widział śnieg i to wszystko, co widział. Ani nie potrafił zapomnieć, co wtedy czuł. Trudno. Może kiedyś, z czasem, znajdzie logiczne rozwiązanie.

A więc do dzieła. Pierwszy krok. Położył się na kanapie w swojej ulubionej pozycji do myślenia. Hipnoza, trans, halucynacja... Trudne do uwierzenia, ale zawsze to jakaś możliwość.

W coś jednak powinien uwierzyć - w to lub inne logiczne wyjaśnienie. A jeśli nie? Jeśli nie istnieją żadne racjonalne dowody? Wtedy przyjdzie mu uwierzyć naprawdę, że Morgana jest czarownicą.

Próbował myśleć, ale wyobraźnia nieustannie pod-

suwała mu jej obraz. Pamiętał, jak wyglądała, jak smakowały jej usta, jak dziwnie patrzyła, zanim uniosła ręce... Przypomniał sobie nagle, że identycznie płonęły jej oczy, kiedy pokazała mu trik z butelką brandy i kieliszkami.

Trik? Czy uniesienie pod sufit faceta, który waży siedemdziesiąt pięć kilogramów, to także trik?

Telekineza? Kiedy zbierał materiały do „Mrocznego daru”, uwierzył niemal, że istnieją ludzie, którzy samą myślą albo pragnieniem poruszają przedmioty na odległość. Dlaczego by nie... W końcu łatwiej ufać naukowcom - którzy wiele takich latających przedmiotów widzieli i sfotografowali - niż bujdom o złośliwych duchach.

Przesłuchaj taśmy, powiedziała przed wyjściem. Dobrze. Od tego zacznij. Sięgnął po magnetofon, włożył pierwszą kasetę i wcisnął guzik.

- Żeby być czarownicą, wcale nie trzeba uczestniczyć w sabatach; tak jak nie trzeba - i nie wystarczy - zapisać się do męskiego klubu, żeby czuć się mężczyzną. Cóż, niektórzy uwielbiają życie grupowe. Legitymacje przynależności do... czy ja wiem - grubych, łysych, bogatych albo bezdomnych, grających w golfa albo w polo, pacyfistów albo żołnierzy - dodają im pewności siebie. Inni nie znoszą samotności; im więcej wokół nich ludzi, tym lepiej się czują. - Krótka pauza, w czasie której Morgana zmieniła miejsce. - Lubisz się zapisywać, Nash? Należysz do klubów, organizacji?

- Nie. Wszystkie zorganizowane grupy rządzą się prawami, które ustalił ktoś inny. I wszystkie mają niezdrową skłonność do wciągania człowieka w jakiś kierat. Wynajdują mu głupie zajęcia, obowiązki - choćby tylko towarzyskie. Brr... Nie znoszę tego.

Głośny, dźwięczny śmiech wypełnił pokój. - No właśnie. Na szczęście są i tacy wśród nas, którzy wolą własne towarzystwo i własne reguły gry. A sabaty? Owszem, mają swoją prawdziwą, nieprzerwaną historię, która sięga bardzo zamierzchłych czasów. Sabatowi w Irlandii przewodziła moja praprababka, a potem jej córka. Odziedziczyłam po nich kilka rytualnych przedmiotów: kielich sabatowy, naczynie, które zauważyłeś na ścianie w holu. Pochodzi z czasów, kiedy nie palono jeszcze czarownic. Czy wiesz, że pierwsze stopy zapłonęły w czternastym wieku? Nie? A wiesz, ile lat, bez przerwy, prześladowano w Europie moich przodków? - Chwila milczenia. - Trzy wieki. Jak pokazuje historia, ludzkość musi kogoś prześladować. Średniowiecze wybrało nas...

Morgana mówiła dalej, odpowiadała na kolejne pytania, a Nash wsłuchiwał się w brzmienie jej czarodziejskiego głosu... nie rozumiejąc ani słowa. Z zamkniętymi oczami wyobrażał sobie, że leżą teraz obok siebie, że czuje na szyi ciepło jej oddechu...

Zasnął z uśmiechem na twarzy.

Obudził się po dwóch godzinach z ciężką głową, rozbity i obolały. Oparłszy się na łokciu, spojrzął na zegarek.

Cholera... Nic dziwnego, że spał tak ciężko. Przez kilka ostatnich dni całą energię tracił na idiotyczne drzemki. Ani nie pracował, ani się nie wysypiał. Sięgnął po butelkę, w której zostało trochę ciepłej wody.

Może to był tylko sen. Oczywiście, że tak. Gdyby nie... Dotknął talizmanu na szyi, zamknął go w dłoni, a potem dokładnie obejrzał. Szmaragd z maleńkim ametystem. To nie był sen...

W porządku. Usiadł gwałtownie i przetarł oczy. Koniec marudzenia. Morgana pokazała, co pokazała,

on widział, co widział. To nie jest dostateczny powód, żeby wątpić w swoje zdrowie psychiczne. Wystarczy przestawić się, zmienić sposób myślenia. Do diabła, przecież podróże kosmiczne jeszcze nie tak dawno temu należały do sfery czystej fantazji. Z drugiej strony, w czternastym czy piętnastym wieku nikt nie wątpił w istnienie czarownic.

Może więc granica między rzeczywistością a fantazją, rozsądkiem a szaleństwem, jest płynna i zależy od czasów, w których przyszło nam żyć...

Boże, co za banał!

Nash po raz kolejny sięgnął po wodę, uświadamiając sobie nagle, że wcale nie chce mu się pić - tylko jest śmiertelnie głodny.

O ileż jednak ważniejszy niż stan żołądka był w tamtej chwili stan jego umysłu! Nagle doznał olśnienia. Historia o czarownicach zaczęła się układać w zborną całość: klatka po klatce. Zobaczył swój film i po raz pierwszy miał pewność, że go zrobi. Uczucie radosnego podniecenia przypomniało mu o głodzie. Triumfalnym gestem wyrzucił w górę ręce i pomaszerował do kuchni.

Dobra nasza, mruczał pod nosem. Gigantyczna kanapka, dzbanek mocnej kawy i do roboty. Żadnych telefonów, drzemek... ani amorów.

Morgana siedziała na zalanym słońcem tarasie Anastazji, popijać wyśmienitą schłodzoną miętę i - jak zwykle - zazdroszcząc swojej kuzynce ogrodu.

Bajeczne Pescadero Point leżało na uboczu turystycznego szlaku, z dala od zgiełku Cannery Row i od zatłoczonych uliczek oraz zapachów dzielnicy portowej. Na taras, który ginął niemal w gąszczu

drzew i kwiatów - setek gatunków roślin, które tylko Anastazja potrafiła nazwać - nie dochodziły żadne odgłosy cywilizacji. Ani jeden warkot silnika. Tylko śpiew ptaków, szum morskich fal i wiatru.

Morgana zawsze tu przyjeżdżała, kiedy miała kłopoty, kiedy jej nerwy odmawiały posłuszeństwa, domagając się ciszy i ukojenia. Nigdy się nie zawiodła. Moszcząc się w fotelu nie po raz pierwszy pomyślała, że to miejsce jest takie jak Anastazja. Piękne, gościnne i przyjazne.

- Prosto z pieca - wołała Ana od drzwi, niosąc tacę z ciastkami.

- O Boże, karmelowe, moje ulubione... Ano, skąd wiedziałaś?

- No właśnie! - zachichotała wesoło. - Od rana coś mnie ciągnęło do kuchni. Czułam, że się rozchoruję, jeśli nie upiekę czegoś słodkiego... Teraz już wiem dlaczego.

Nie czekając na zaproszenie, Morgana ugryzła pierwsze ciastko. Mruknęła przeciągle, a jej oczy robiły się coraz węższe i węższe, kiedy delikatna, czekoladowa polewa topiła się na języku.

- Ano, czarodziejko...

- Dobrze już, dobrze. Możesz zjeść wszystkie. - Anastazja wybrała fotel, z którego miała najlepszy widok na zatokę. - Trochę się zdziwiłam, kiedy weszłaś. W normalny dzień o tej porze...

- O jakiej znowu porze? Zrobiłam sobie długą przerwę na lunch. Mindy została w sklepie, poradzi sobie nawet do wieczora.

- Ach, tak!

- Widzisz w tym coś nienormalnego? - Sięgnęła po następne ciastko.

- Przepraszam, Morgano. Zbyt dobrze się znamy

- powiedziała cedząc każde słowo - żebym mogła nie zauważyć, że coś cię gryzie.

- Wiem, Ano, wiem. Domyślałam się, że trudno tego nie zauważyć. A ja po prostu... musiałam do ciebie przyjechać. Chociaż nie powinno się zarażać przyjaciół swoimi humorami, to jednak...

- No, dosyć wstępów. Wyrzuć to z siebie.

- Jesteś zielarką - powiedziała lekko drżącym głosem. - Co sądzisz o naparze z *Helleborus Niger*?

Ana uśmiechnęła się. *Helleborus*, ciemiernik czarny, opisywany w starych księgach jako odtrutka na szaleństwo.

- Obawiasz się, że postradałaś zmysły?

- Wszystko na to wskazuje. Mogłabym, co prawda, pójść na łatwiznę i przyrządzić sprawdzoną miksturę: „wymieszaj różę z arcydzięglem i szczyptą żeńszenia, na koniec posyp szczerze pyłem księżycowym”...

- Napój miłosny? Dla kogoś, kogo znam?

- Poznałaś Nasha.

- Oczywiście. Coś się nie układa?

- Nie wiem, jak się układa. - Morgana zmarszczyła czoło. - Wiem tylko, że wolałabym nie mieć tych cholernych skrupułów. Mogłabym go zmiękczyć jak wosk...

- Ale nie czułabyś się najlepiej.

- Nie - przyznała cicho. - Dlatego nie pozwalałam sobie na żadne ułatwienia. - Wpatrywała się w białe żagle sunące po zatoce. Jak to się stało, że straciła wolność? Że zazdrości samotnym żaglom? - Szczerze mówiąc. Ano, nie zastanawiałam się nigdy dotąd, czym jest miłość. Prawdziwa miłość między kobietą a mężczyzną... - Uśmiechnęła się zmieszana. - Wiesz, tak się w tym pogrążyłam, że nie widzę światełka w tunelu... Nie umiem normalnie myśleć.

- Powiedziałaś mu?

- Nie mogę mu powiedzieć o czymś, czego sama nie jestem pewna. - Poczwała gwałtowne ukłucie w serce, które ją zaskoczyło i trochę przestraszyło. Zamknęła oczy. - Więc czekam. W dzień wypatruję zmroku, w nocy nie mogę doczekać się świtu. Ani chwili spokoju. Czasami mam wrażenie, że się duszę - i mam tego serdecznie dosyć.

- Kiedy walczymy o miłość, walczymy o powietrze, bez którego nie ma życia.

- Ale skąd mamy wiedzieć, że już dosyć? Że można przestać walczyć i normalnie oddychać?

- Myślę, że kiedy poczujesz się szczęśliwa, dojdiesz do wniosku, że ta chwila nadeszła. Tak mi się wydaje.

- Czy nie sądzisz. Ano - spytała Morgana po długim milczeniu - że jesteśmy trochę zepsuci? Ty, ja i Sebastian.

- Zepsuci? W jakim sensie?

- W sensie... naszych oczekiwań. - Uniosła rękę w bezradnym geście. - Nasi rodzice darzyli nas tak bezprzykładną miłością, zrozumieniem i szacunkiem... Nie wydaje ci się, że nas rozpieszczali? Ze wszyscy troje żyliśmy jak w bajce? Nie wszystkim tak się układa.

- Nie. Ale ja nie wierzę, że doświadczenie prawdziwej miłości może kogoś zepsuć. Dzięki naszemu dzieciństwu wiemy na pewno, że takie uczucie jest możliwe.

- Czy nie wygodniej by było poprzestać na małym? - zapytała cicho, jakby samą siebie. - *Cieszyć się chwilą, namiętnością, nie zastanawiać się, czy to prawdziwa miłość, czy tylko opętanie? Co to za różnica...*

- Na takie pytanie to już sama sobie musisz odpowiedzieć. Dla jednych to zasadnicza różnica, dla innych, być może, żadna.

- Ale, Anastazjo, ja się wykończę, rozumiesz? - Odsunęła się gwałtownie od stolika i wstała. - Nienawidzę czuć się bezradna. Nienawidzę! Świadomość, że nie mam wpływu na własne życie, dobija mnie!

- Wierzę. - Twarz Anastazji rozjaśnił ciepły, wyrozumiały uśmiech. - Odkąd pamiętam, zawsze stawiałaś na swoim, używając do tego siły albo wyjątkowego daru przekonywania. Albo... osobistego wdzięku.

- Uważasz, że tyranizowałam otoczenie?

- Nie. Prawdziwym tyranem był Sebastian. Ty miałaś, jak by to ująć, silną osobowość.

- Serdeczne dzięki. Nawet jeśli chciałaś mnie pocieszyć, to ostatnio moja „silna osobowość” na niewiele się zdaje. - Zeszły po schodkach do ogrodu. - Nie widziałam go od ponad tygodnia, Ano. Boże! Co się ze mną dzieje? Jęczę jak jakaś roztrzęsiona baba...

- Nie. - Ana wybuchnęła śmiechem. - Jak bardzo niecierpliwa baba.

- Zgadza się. Jestem niecierpliwa. Wyobraź sobie, że na wszelki wypadek zaplanowałam, jak go będę unikać. Ale niepotrzebnie się trudziłam. Sam mnie unika. A wiesz, jak boli zraniona ambicja?

- Dzwoniłaś do niego?

- Nie. - Morgana zacisnęła usta. - Byłam oczywiście wściekła, że nie przyjechał i nie dobija się do moich drzwi... Dzwonił kilka razy, po to tylko, żeby zadać mi kilka głupich pytań na temat magii. Ja odpowiadam, a on mruczy coś pod nosem, za-

pisuje, grzecznie dziękuje... i odwiesza słuchawkę.
- Włożyła do kieszeni zaciśnięte w pięści dłonie. -
O rany, jakbym słyszała te trybiki i kółeczka obra-
cające się w jego małym mózgu.

- Pracuje. To chyba normalne, że kiedy pisze,
stara się nie rozpraszać.

- Droga Anastazjo - powiedziała szeptem Morgana - wychodzisz z roli. To mnie miałaś współczuć i pomóc, a nie usprawiedliwiać Nasha.

- Sama nie wiem, co mnie napadło. - Ana uśmiechnęła się przepraszająco.

- Twoje miękkie serce, jak zwykle. - Pocałowała ją w policzek. - Ale wybaczam ci.

- Przyznaj się... Wymyśliłaś jakiś niezawodny sposób na tego wstrętnego, egoistycznego scenarzystę, który doprowadza cię do szalu?

- Zastanawiam się, czy nie wyskoczyć do Irlandii na kilka tygodni.

- Będę ci życzyła udanej podróży, Morgano, ale ucieczka niczego nie rozwiąże, wiesz o tym. Odłóżysz tylko problem na później.

- Wiem. Dlatego nie zaczęłam się jeszcze pakować - westchnęła Morgana. - Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego. Zanim się rozstaliśmy, Nash uwierzył w końcu, że jestem tym, kim jestem. Chciałam dać mu czas na przetrwanie wszystkiego... Żeby doszedł do ładu z samym sobą.

- Aha. Najważniejsze zostawiłaś na deser. - Objęła Morganę ramieniem. - Może mu to zająć więcej niż kilka dni...

- Wiem. - Odwróciwszy się ku zatoce, potoczyła wzrokiem po linii horyzontu. Nigdy nie wiadomo, co leży za nim... - Ano, wiem tylko jedno: dzisiaj w nocy zostaniemy kochankami. Ale pojęcia nie

mam, czy ta noc mnie uszczęśliwi, czy pograży w nieszczęściu.

Nash był w euforii. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem pisał z taką łatwością. Wyobraźnia podsuwała mu gotowe sceny, dopracowane do najdrobniejszych szczegółów. Fabuła wydawała się mieć nie tylko ręce i nogi, ale też jasny sens.

W jedną noc zrobił konspekt opowieści, a dwa dni potem rozradowany agent obiecywał mu przez telefon złote góry, natychmiastową produkcję, fantastyczny kontrakt, i tak dalej. Nic by się nie stało, gdyby zadzwonił dużo później, ponieważ Nash - sam nie pojmując dlaczego - wcale nie myślał o produkcji, pieniądzach ani gotowym filmie.

Był całkowicie pochłonięty historią, która powstała w jego głowie, i nie mógł doczekać się chwili, kiedy napisze ostatnie zdanie i pozwoli jej żyć własnym życiem.

Pracował prawie bez przerwy. Czasami budził się o trzeciej nad ranem, rzucał do komputera, a wczesnym popołudniem wypijał pierwszą kawę. Jadł, co miał pod ręką, zasypiał, kiedy oczy odmawiały posłuszeństwa. Żył poza czasem, w wymiarze, którego granice wyznaczała jego własna wyobraźnia.

Śniła mu się tylko Morgana, w surrealistycznej scenerii, zawsze naga. Pożądał jej we śnie, potem budził się zły potem, cierpiąc do granic wytrzymałości, ale natychmiast zabierał się do pracy i odnajdywał w niej ukojenie. Jeszcze nie czas, powiedziała Morgana.

Ale czas się zbliżał. Wiedział to na pewno, dlatego umiał być cierpliwy.

Nie odbierał telefonów, rzadko przesłuchiwał nagrane rozmowy, jeszcze rzadziej sam dzwonił. Kiedy brakowało mu powietrza, wychodził ze swym laptopem na podwórze. Najchętniej zabierałby go i pod prysznic - gdyby komputer lubił wodę...

Nadeszła wreszcie chwila, kiedy postawił ostatnią kropkę. Drżącą ręką wydierał z drukarki kolejne zapisane kartki. Jeszcze drobne poprawki, uwagi na marginesach. Kiedy przeczytał całość, nie miał żadnych wątpliwości. Wiedział na pewno, że to najlepsza rzecz, jaką napisał w życiu.

Przez dziesięć dni sypiał trzy, najwyżej cztery godziny na dobę, a jednak nie czuł zmęczenia.

Był ogromnie podniecony.

W stosie papierów, książek i naczyń próbował znaleźć dużą kopertę.

Myślał teraz tylko o Morganie. Dzięki niej napisał ten scenariusz i ona będzie pierwszą osobą, która go przeczyta.

Całe szczęście, że kiedy wypadł na korytarz, zerknął niechcący w lustro. Stał jak wryty i parsknął śmiechem. Przeciągnął ręką po policzku. Zarost był miękki i tak długi, że... kto wie? Może powinien zapuścić brodę? Tak czy owak, potrzebował z pół godziny, żeby doprowadzić się do ładu.

Następne piętnaście długich minut zajęło mu szukanie kluczy. Bóg jeden wie, dlaczego znalazły się w lodówce, na drugiej półce od dołu, obok zgniłej brzoskwini - ale tam właśnie były.

Z kopertą pod pachą wybiegł z domu. Dopiero w samochodzie, kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, spojrzał na zegarek. Północ... Wahał się przez sekundę, czy nie przełożyć wizyty na jutro, albo przynajmniej zadzwonić...

Do diabła z tym! Machnął ręką i ruszył z piskiem opon. Musi się z nią zobaczyć teraz.

W tej samej chwili Morgana wychodziła z domu. W białej zwiewnej sukni, przewiązanej w talii sznurkiem kryształów. Z wiklinowym koszykiem, w którym mieściły się przedmioty rytualne potrzebne na tę jedną, jedyną noc w roku.

Wiosenne zrównanie dnia z nocą. Czas radości i dziękczynienia za nowe życie, które przyniesie wiosna. Ale w oczach Morgany tlił się też smutek. Tej nocy, kiedy światło dogoniło mrok, jej życie miało się zmienić.

Wiedziała, chociaż nie zaglądała po raz drugi do szklanej kuli. Nie musiała czytać specjalnych znaków ani uciekać się do zaklęć. Mówiło jej serce, które było znakiem nieomylnym.

Wstydziała się teraz chwili słabości, ale mało brakowało, a zostałaby w domu. Bała się rzucać wyzwanie losowi, chciała na niego czekać, ale przecież nie była tchórzem. Zdecydowała, że dopełni odwiecznego rytuału.

On przyjdzie. W swoim czasie - a wtedy ona go przyjmie.

W drodze do cyprysowego gaju towarzyszyły Morganie ruchome cienie na łące, zapach wiosny i tłustej ziemi, którą sama przygotowała do sadzenia. Usłyszała wołanie sowy - niskie i żałośliwe - ale nie wypatrywała białych skrzydeł. Jeszcze nie.

Wiele innych zapachów i innych dźwięków unosiło się w powietrzu. Delikatny powiew wiatru, szum morza - i cicha czarodziejska muzyka, przeznaczona tylko dla wybranych uszu.

Dotarła na miejsce. Tutaj nigdy nie czuła się sa-

motna. Zapomniała o smutku i lęku. Z zamkniętymi oczami upajała się pięknem nocy.

Uklękała na trawie, otworzyła koszyk i wyjęła z niego biały, wyszywany srebrną nicią obrus. Rodzinna legenda głosiła, że młody król podarował go celtyckiemu czarodziejowi Merlinowi... w szóstym wieku.

Potem ciasto, oplecioną butelkę wina, świece, kielich, rytualne naczynie oraz wianek z kwiatów gardenii. I dużo innych kwiatów - ostróżki, orliki, gałązki tymianku i rozmarynu - którymi ozdobiła obrus.

Wstała, żeby zaczarować krąg. Energia pulsowała w jej palcach. Coraz cieplej. Zaczęła szeptać zaklęcie. Na okręgu wytyczonego koła ustawiła kilkanaście świec. Zapalała uroczyście jedną po drugiej, czekając, aż płomień się uspokoi. Odwiązała sznur kryształów, potem zsunęła z ramion rękawy sukni. Biała szata opadła na ziemię miękko i bezszelestnie.

Zaczęła tańczyć.

Pięć minut przed północą Nash skręcił w drogę dojazdową do posiadłości Morgany. Zaklął pod nosem, nie dostrzegając w oknach ani jednego światła.

Trudno, będzie musiał ją zbudzić. Swoją drogą ciekawe, ile godzin snu potrzebuje czarownica... Zaśmiał się cicho. Powinien jej zadać jeszcze wiele ciekawych pytań.

Tak czy owak, na pewno go zbeszta. Kobiety nie lubią zrywać się z łóżka w środku nocy. Może zła-godnieje na widok bukietu...

Zachwycony swoim pomysłem, zaczął buszować w grządkach: tulipany, groszki, narcyzy, lilie... Jest tego tyle, usprawiedliwiał się w duchu, że Morgana

nawet nie zauważy. Z naręczem kwiatów ruszył do drzwi. Po każdym puknięciu rozlegało się szczekanie psa, ale nikt nie schodził ze schodów ani nie zapalał światła.

Pewnie śpi jak kamień, myślał, wpatrując się w ciemne okna. Ładne pocieszenie. Ogarniał go coraz większy niepokój. Musi ją zobaczyć, i to jeszcze tej nocy. Przed świtem.

Ruszył ścieżką w kierunku tarasu. Nagle zatrzymał się jak wryty. Cyprysowy gaj. Tam musi pójść. Nie wiedział dlaczego, ale tak mu kazało serce.

Szedł prawie na palcach, słysząc najłżejsze poruszenie gałązki. Wydawało mu się, że każdy niepotrzebny hałas byłby tej nocy bluźnierstwem. Czuł coraz szybsze pulsowanie krwi w skroniach.

Nagle, w oddali, na skraju lasu, dostrzegł olbrzymią białą sowę, która siedziała jak na czatach... Oderwała się od gałęzi w tej samej chwili, kiedy on przystanął. Zniknęła za drzewami.

Nash miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi. Wiedział jednak, że jeśli teraz stchórzy i ucieknie, to i tak tu wróci.

Szedł więc dalej.

Była tam. W magicznym sercu gaju. Klęczała na białym obrusie, opromieniona srebrnym światłem księżycy. Chciał wykrzyknąć jej imię, lecz ani jeden dźwięk nie wydobył się z jego gardła.

Widział, jak zapala świece, potem stoi z uniesionymi rękami w środku płomiennego kręgu. Zsuwa z ramion białą szatę. Olśniewająca w swojej nagości, spogląda na gwiazdy, kołysze ramionami, zaczyna wirować w rytualnym tańcu.

Przypomniał sobie sen, w którym widział tę scenę. Ze wszystkimi szczegółami. Obraz zaczął mętnieć,

oddalać się, ale kiedy potrząsnął głową, wszystko powróciło.

Teraz znowu klęczała. Kiedy podniosła do ust srebrny kielich, świece zaskwierczały i buchnęły wysokim płomieniem. Usłyszał cichy, zawodzący głos, który nagle spotęźniał i poweselał, jakby cały chór czarownic przyłączył się do jej liturgicznej pieśni.

Płomienie przygasły. Zapanowała cisza.

Kapłanka wstała, włożyła suknię i przepasała ją sznurem.

Sowa - wielki biały ptak, o którym zdążył zapomnieć - zahuczała dwa razy, zanim poszybowała w mrok nocy.

Morgana odwróciła się... i zamarła. Nash wyszedł z cienia drżący, niezdolny wymówić słowa.

Wahała się przez moment. Serce mówiło jej, że tej nocy zazna najcudowniejszych rozkoszy. Ale zapłaci za nie cierpieniem.

Uśmiechnęła się do Nasha i jednym zdecydowanym krokiem wyszła z zakłętego kręgu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Morgana zbliżała się do niego wolnym krokiem, nierealna, opromieniona gwiazdami, spowita w mglistą, białą tkaninę.

Chciał się odezwać, powiedzieć jej coś, cokolwiek - proste zdanie, które wyjaśniałoby jego uczucia. Niestety. Nawet słowo nie przeszło mu przez gardło. Wiedział, że chodzi o coś więcej niż pożądanie, ale wszystko, co teraz przeżywał, wydawało się tak niepodobne do jego doświadczeń, tak niezrozumiałe... Nie potrafił tego opisać ani wytłumaczyć. Nigdy się nie nauczy. Nigdy się nie odważy.

Wiedział na pewno, że w tym magicznym miejscu, w tej zaczarowanej chwili, istniała dla niego tylko jedna kobieta. Jakiś cichy, cierpliwy głos w jego duszy podpowiadał szeptem, że zawsze istniała tylko jedna kobieta, i że czekał na nią przez całe życie.

Zatrzymała się na wyciągnięcie ręki. Brakowało jednego kroku, żeby znaleźć się w ramionach Nasha. Żeby odciąć mu odwrót. Bała się. Ale była niemal pewna, że oboje przekroczyli granicę, poza którą nie ma odwrotu.

Dla żadnego z nich to nie będzie łatwe. Wiedziała od początku. Dzisiejsza noc przypieczętuje więzy, których nikt nie zerwie. Bez względu na to, co postanowią jutro... Nawet gdyby oboje chcieli przed sobą uciec albo zapomnieć. Już nie będzie można zapomnieć.

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć kwiatów, które tak

kurczowo ścisnął. Zastanawiała się, czy wybrał je świadomie. Czy zdaje sobie sprawę, że ofiarowuje jej miłość, wierność i nadzieję...

- Kwiaty zrywane przy księżycu kryją w swoich płatkach wszystkie uroki i sekrety nocy.

Zapomniał o kwiatkach. Spojrzał teraz na nie błędnym wzrokiem, jak człowiek obudzony z głębokiego snu.

- Ukradłem je z twojego ogrodu.

Uśmiechnęła się. Oczywiście, nie znał mowy kwiatów. Ale jego ręka potrafiła zdać się na intuicję.

- Nie straciły przez to zapachu. Poza tym, liczą się intencje. - Dotknęła jego policzka. - Wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć, prawda?

- Ja... Tak. Wiedziałem.

- Nash, po co przyszedłeś?

- Chciałem... - Przypomniał sobie gorączkowe miotanie się po domu, byle już wyjść, byle zobaczyć Morganę jeszcze tej nocy. - Pragnąłem cię.

Po raz pierwszy opuściła wzrok. Tęskniła do jego ciała, które płonęło pożądaniem, kusiło ją. Ale wiedziała, że jeśli go nie powstrzyma - teraz - to już żadne zaklęcie nie przywróci jej wolności.

- To, co ci daję tej nocy, daję z wolnego serca. A to, co biorę, biorę bez żalu. - Jej oczy lśniły nieprzytomnym blaskiem, wpatrzone w wizje, o których Nash nie miał pojęcia. - Zapamiętaj. A teraz chodź ze mną. - Podała mu rękę i razem przekroczyli płomienny krąg.

Wszystko się nagle zmieniło. Powietrze stało się ostre i orzeźwiające, każdy zapach odczuwał wyraźnie, jak gdyby znaleźli się na jakimś wysokim, ośnieżonym szczycie. Nawet do gwiazd wydało mu się stamtąd bliżej.

- Co to za miejsce? - szepnął.

- Nie potrzebuje nazwy. - **Wysunęła rękę z jego dłoni.** - Jest wiele magicznych **miejsz i różne** magiczne obrzędy... - Odwiązała sznur z kryształów. - My dopełnimy swojego. - **W jej** uśmiechu **nie było** cienia wstydu ani lęku. - Nikogo nie krzywdząc.

Wyciągnęła ramiona.

Przygarnął ją do siebie gwałtownie, miażdżąc kwiaty, których mocny, odurzający zapach rozpułynał się w powietrzu. Jej usta były ciepłe i delikatne, smakowały jak wino, którym go poczęstowała w tamten pamiętny dzień, w sklepie.

Pod zamkniętymi powiekami widziała migoczące ogniki oraz jeden rozkołyszany cień sylwetek ludzkich. Cień Nasha i jej. Słyszała głęboki, czysty pogłos wiatru grającego w liściach; muzykę nocy, która sama w sobie jest magią. Usłyszała wypowiedziane szeptem własne imię.

Przyłgnęła do niego bezwiednie, zupełnie nieporadna, zniewolona, drżąca z rozkoszy. Nash całował jej powieki, skronie, odgarniał ustami pojedyncze włosy, parzył szyję przyspieszonym oddechem.

Objął ją jeszcze mocniej. Czuła jego mięśnie napięte do granic wytrzymałości. Całował ją pospiesznie, jakby po raz pierwszy i ostatni. Morgana zatraccała się w cudownej świadomości, że tej lawiny nic nie powstrzyma. Była podniecona jego siłą i własną uległością.

Nagle poczuł, że jego pożądanie sięga zenitu. Walczył z bestią, która drwiła z niego i podjudzała, żeby zaspokoił swój głód natychmiast. Nie. Przyłgnął policzkiem do szyi Morgany, czekając, aż złe minie... Nie. Nie tutaj. I nie teraz. Okpi bestię.

- Nash, ja...

Potrząsał głową, wyprostował się i spojrzał jej w oczy mrocznym, skupionym wzrokiem. Zastanawiała się, dlaczego wciąż potrzebują słów. Dlaczego Nash nie potrafi zajrzeć w jej serce...

- Jestem przerażony, Morgano - wydusił po długiej chwili. - Tym, co się ze mną dzieje. Tym, co się dzieje z nami. Wiele się zmieniło, rozumiesz?

- Tak. To coś ważnego.

- Właśnie. Coś bardzo ważnego. - Oddychał szybko i nierówno. - Nie chciałbym cię zranić.

Zranisz mnie i tak, pomyślała. Była pewna, że nie uniknie cierpienia, choćby zaklinała los i broniła się przed nim zaciekle. Ale jeszcze nie tej nocy.

- Nie zranisz. - Pocałowała Nasha delikatnie, a potem opuściła ręce.

Nie. Nigdy jej nie skrzywdzi. Nie potrafiłby. Drżącymi palcami zsunął z jej ramion suknię.

Patrzył na Morganą z bałwochwalczym uwielbieniem. Widział jej nagość wcześniej - kiedy tańczyła w zaklętym kręgu - ale wtedy była kapłanką księżycy, sennym marzeniem, niedostępną czarodziejką.

Teraz miał przed sobą kobietę z krwi i kości, a nie przezroczystą zjawę. Mógł jej dotknąć - nie obawiając się, że jego ręka trafi w próżnię.

Najpierw twarz. Błądził palcami po delikatnej linii nosa, policzkach i brodzie. Morgana rozchyliła usta. Kiedy dotknął jej wargi, cichutko westchnęła. Czarnownica czy śmiertelna kobieta, cóż za różnica. Należała do niego - tak jak tylko kobieta może należeć do mężczyzny - mimo że ich miłość czekała na spełnienie. A los chciał, żeby spełniła się w tym magicznym miejscu, pośród starych, milczących drzew, pod osłoną księżycy... I tak się stanie.

Zajrzał jej głęboko w oczy. Dłońmi poznawał je-

dwabistość skóry, aż oboje zatracili się w zapomnieniu, od jakiego nie ma odwrotu.

Stałajak zakłęta. Nawet gdyby zatrzęsa się ziemia albo spadła ulewa, stałaby dalej, drżąca, niezdolna oderwać od niego wzroku. Czy wie? Czy domyśla się, że zaczarował ją swoją czułością?

Kiedy oplatał rękami jej szyję, nie była pewna, gdzie kończy się jej ciało, a zaczyna jego.

Osunęli się na biały obrus. Nash pieścił ją powoli i ostrożnie, chcąc rozkoszować się tą chwilą jak najdłużej. Gładził ją delikatnie, pieścił ustami, coraz czulej, mniej zachłannie. Nieokiełznany głód przerodził się w najsubtelniejszy apetyt.

Kiedy uniósł się na łokciach, Morgana rozpięta jego koszulę, a potem, nie odrywając wzroku od jego twarzy, zsunęła z bioder spodnie. Ta krótka chwila, kiedy ją puścił, by zrzucić ubranie, wydała jej się nieznośna. Westchnęła z ulgą, kiedy zatonęła z powrotem w jego ramionach, spragniona i oczekująca.

Przedsmak euforii. Drżała pod jego dotykiem, całkowicie bierna, czując wszystko coraz silniej i wyraźniej: wiatr od morza, zapach nocy i kwiatów, odurzający aromat ich ciał, rzeźbę każdego mięśnia.

Przez długą chwilę leżeli w bezruchu. Donikąd się nie spieszyli. Wsłuchani w swój oddech, czekali na znak. Nagle gdzieś w oddali zawołała sowa. Ogniki świec buchnęły wysokim, żywym płomieniem, zamykając ich w zaczarowanym kręgu przed światem.

Kiedy odnalazły się ich oczy, zapadła cisza jak przed burzą. Nie było między nimi żadnego lęku ani nieśmiałości. Morgana przyciągnęła do siebie Nasha. Nogami oplotła jego biodra, z uczuciem ulgi i doskonałej pełni.

Poruszali się wolno, rozmyślnie, jakby rozkoszując

się pierwszym nasyceniem. Pierwszymi krokami magicznego tańca. Widział w jej oczach niebo i księżyc. Kiedy wyszeptała jego imię, zamarł na moment, a potem zacisnął powieki i zobaczył milion spadających gwiazd. Opadł na nią bez tchu, szczęśliwy i uspokojony.

Mijał czas. Minuty, godziny - nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że piękny sen trwa. Morgana leżała uśmiechnięta, przytulona do jego boku.

Kiedy próbował zmienić pozycję, przyłgnęła do niego jeszcze mocniej, mrucząc sennie pod nosem.

- Uhm... Nigdzie nie pójdziesz.

Wsparł się na łokciu i pocałował ją w szyję.

- Nie - szepnął. - Zostanę tu chętnie do rana, ale zdrętwieje ci ręka. Poza tym... chciałbym sobie przypomnieć, jak wyglądasz. Posłuchaj, śpiochu, możesz mi powiedzieć, co się dzieje, kiedy zwykły śmiertelnik kocha się z czarownicą? Czym to grozi?

- A nie wiesz przypadkiem, skąd się biorą chimery?

- Uśmiechnęła się szelmowsko, nie otwierając oczu.

- Nie żartuj... Pytałem poważnie. - Odgarnął z jej policzka kilka czarnych kosmyków. - Jeżeli jesteś... To znaczy wiem, że jesteś, ale niełatwo mi się z tym oswoić. Nawet po tym, co widziałem tej nocy... Podglądałem cię.

- Wiem. - Musnęła palcem jego usta.

- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie pięknego. Ty i to niesamowite światło... Muzyka. - Ściągnął brwi. - Bo była i muzyka, wiesz?

- Dla tych, którzy potrafią się w nią wsłuchać. Dla tych, którym dane jest słyszeć.

- Morgano, co ty właściwie robiłaś? To przypominało jakiś pogański obrzęd.

- Tak, bo dzisiaj mamy wyjątkową noc. Wiosenne zrównanie dnia z nocą. Wszystko, co się dzisiaj zdarzyło - również z nami - miało magiczne znaczenie.

Powoli schylił się nad nią i przylgnął do niej całym ciałem. Czuła, że żar przenika ją do szpiku kości. Nash miał pełne szczęścia, łagodne oczy. Iskrzyły się radosnym pożądaniem, które nie przypominało już tamtego nieprzytomnego głodu. Pocałował delikatnie jej ramię.

- Pewnie to zabrzmiało jak starta płyta, ale nigdy w życiu nie było mi tak dobrze... i tak niesamowicie. Z nikim. Pragnę cię jeszcze bardziej... - szeptał, a jego ciało kusiło na nowo.

- Z nikim... Nigdy w życiu... - powtarzała jak echo, drżąc pod dotykiem jego palców, które odzyskały śmiałość - gładziły jej biodra, błądziły po kręgosłupie i udach, niecierpliwie, jakby bojąc się nadejścia świtu. - Kochaj mnie, Nash...

Kiedy pierwszy świt zabarwił niebo szarością, wstali niepocieszeni, ubrali się i pozbierali kwiaty.

- Zdaje się, że nic ich nie uratuje - powiedział Nash. - Ukradnę ci następne, jeśli pozwolisz.

- Nie trzeba. - Uśmiechała się, tuląc w ramionach ogromny bukiet.

Oczy Nasha stawały się coraz większe i bardziej okrągłe, kiedy kwiaty w jej rękach - jak na przyspieszonym filmie - prostowały się, odzyskiwały świeżość i barwę.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem - mruknął do siebie - kiedy ją się do tego przyzwyczaję.

- Potrzyjmy je, muszę odczarować krąg. - Gestem ręki zgasła świece, potem zbierała je do koszyka,

jedną po drugiej, mruczac cicho zakłęcie. Na koniec złożyła obrus.

- To już... - Nash patrzył na **nią** coraz bardziej oniemiały. - Chciałem zapytać, czy to już wszystko? To znaczy, koniec ceremonii?

- Bardzo często rzeczy proste wydają się ludziom niezwykle skomplikowane. - Morgana podała mu rękę. - A teraz zadam ci proste pytanie, na które musisz odpowiedzieć natychmiast: czy zechcesz dzielić ze mną łóżę przez resztę tej nocy, a raczej tego, co z niej zostało?

- Tak, chcę.

Pogrążony w półśnie, mruczał zadowolony, czując na szyi jej ciepły oddech, wargi dotykające ucha. Kochali się tej nocy tyle razy, a ona wciąż nie miała go dosyć...

Podniósł rękę, żeby pogłaskać ją po aksamitnych włosach, policzku, którym ocierała się o jego tors tak kusząco... Ręka zawisła w powietrzu.

Jak to możliwe, żeby głowa Morgany leżała na jego piersi, a wargi dotykały ucha... Z anatomicznego punktu widzenia niemożliwe, ale widział już różne rzeczy... Nie. To zdecydowanie przekracza granice wyobraźni.

Powinien otworzyć oczy, ale bał się, że zobaczy coś strasznego i zacznie krzyczeć w środku nocy.

Dnia, poprawił się natychmiast, ale... co to za różnica.

Powoli opuszczał rękę, aż dotknął włosów. Miękkie, gęste, ale... Boże, zupełnie inny kształt głowy! Zmieniła się. Morgana, ona zamieniła się w... Serce skoczyło mu do gardła. Kiedy głowa pod jego dłonią drgnęła, krzyknął przeraźliwie i otworzył oczy.

Na piersi Nasha leżała kotka, wpatrując się w niego z wyraźnym zadowoleniem swoimi bursztynowymi oczami. Nie zdążył opaść na poduszkę, kiedy poczuł coś wilgotnego na policzku. Podskoczył jak oparzony, odwrócił głowę. Uff... powinien był się domyślić. Pan, oparty przednimi łapami o wezglowie łóżka, merdał wesoło ogonem, a na dowód swoich przyjaznych zamiarów polizał go jeszcze kilka razy.

- O Boże... - Kiedy z zamkniętymi oczami próbował uspokoić się i zebrać myśli, Luna wstała, wyprężyła grzbiet i przesunęła się w górę, żeby zajrzeć mu prosto w twarz. Jej mruczenie przypominało dziecięcy chichot. - Dobrze - powiedział udobruchany - udało wam się. Świetny kawał.

- No, no. Dobrze, że nie jestem zazdrosna - zawołała od drzwi Morgana. - Moje zwierzaki dostały na twoim punkcie absolutnego bzika. - Usiadła na brzegu łóżka z parującą filiżanką w ręku.

- Jestem ci strasznie wdzięczny... - powiedział ze spuszczonym wzrokiem, bawiąc się końcem jej war-kocza.

- Za co? - Zrobiła zdziwioną minę. - Ach, za to... - dotknęła palcem filiżanki. - Za pachnącą kawę podaną do łóżka. Proszę bardzo. I tak musiałam wstać, a poza tym... - jej oczy lśniły radosną kpina - rozczuliłeś mnie.

- Morgano, ja... - Położył rękę na jej kolanie. - Za kawę też - to najlepsza kawa, jaką mnie uraczono na zachód od Missisipi, ale... - Nagle zdecydował się zmienić temat. - Jak bardzo cię rozczuliłem? - szepnął. - Pokaż...

- Wystarczająco, żeby podać ci do łóżka kawę. Roześmiała się i pocałowała go w usta. Za bardzo,

myślała błędząc oczami po jego ciele, ciepłych wargach, które kusiły ją na nowo. - Muszę iść do pracy.

- Dzisiaj? - Wolną ręką zaczął masować jej kark, - W święto państwowe?

- Jakie znowu święto? Dzisiaj?

- Oczywiście. Dzień Miłości. Wymyślono go w słodkich latach sześćdziesiątych.

- Bardzo pomysłowe. Kupię okazjonalną pocztówkę, ale... - Pocałowała go na pożegnanie i odsunęła się od łóżka na bezpieczną odległość. - W Dzień Miłości też muszę otworzyć sklep.

- Nie podejrzewałem cię, kochanie, o brak patriotyzmu.

- Wypij kawę. Gdybyś miał ochotę na śniadanie, znajdziesz coś w lodówce.

- Mogłabyś mnie dobudzić. - Wychylił się gwałtownie i chwycił ją za rękę.

- Nie. Wyśpij się za wszystkie czasy, a teraz przestań mnie rozpraszać i zniechęcać do pracy.

- Chciałbym cię porozpraszać... jeszcze kilka godzin. Potem się wyśpimy.

- Dam ci szansę, ale później.

- Moglibyśmy zjeść razem kolację.

- Moglibyśmy. - Czuła, że jeśli nie wyrwie się natychmiast, będzie musiała zadzwonić do Mindy i usprawiedliwić się z okazji Dnia Miłości.

- No to może wyskoczę po południu i przywiozę coś dobrego.

- No to wyskocz.

- Wpół do ósmej?

- Dobrze. Wypuścisz Pana do ogrodu?

- Jasne. Morgano... jeszcze jedno. - Pocałował wewnątrz jej dłoni.

- Nash, naprawdę nie mogę...

- Nie bój się, nie będę cię już zatrzymywał. Idź sobie do tej pracy, tylko pamiętaj, że głód wzmacnia apetyt. W nocy, zanim poszedłem cię szukać, zostawiłem coś na tarasie. Mam nadzieję, że znajdziesz czas, żeby to przeczytać.

- Scenariusz? Skończyłeś?

- Pewnie poprawię jakieś drobiazgi, zobaczymy. Ciekaw jestem twojej opinii.

- Cześć. Możesz na mnie liczyć. Będę brutalnie szczera.

- Do wieczora.

Korzystając z samotności i ciszy - Pan zasnął. Luna pojechała z Morgana - Nash rozglądał się po sypialni. Podobnie jak w całym domu oraz w sklepie, w wystroju tego wnętrza było coś teatralnego. W najlepszym znaczeniu tego słowa - jeśli założyć, że teatr to także magia... Wszystkie tkaniny, obicia, szczegóły dekoracyjne miały kolory kamieni szlachetnych. Turkusowe tapety, szmaragdowa narzuta, zasłony w dwóch odcieniach rubinu. Jedwabne poduszki na kanapie wyglądały jak ogromne granaty, ametysty i bursztyny.

Podszedł na palcach do toaletki. Wyobraził sobie Morgane, jak siada wieczorem przed lustrem, rozczesuje swe długie włosy szczotką inkrustowaną srebrem... Potem opuszkami palców wklepuje w policzki krem.

Nie mógł się temu oprzeć. Sięgnął po jeden z kolorowych słoików, podniósł kryształowe wieczko i z zamkniętymi oczami wciągnął głęboko powietrze. Potęgą kobiecych czarów... Widział ją wyraźnie. Miał wrażenie, że jeśli wyciągnie rękę, dotknie jej włosów.

Przykrył słoiczek i odstawił go na miejsce. Cho-

lera, nie ma zamiaru czekać na nią przez cały dzień. Nie będzie czekać nawet godziny.

Spokojnie, Nash. Spiorunował wzrokiem swoje odbicie w lustrze. Od jej wyjścia minęło dopiero pięć minut. Zachowywał się jak opętany, jak gdyby ktoś rzucił na niego urok. Ta myśl rozbawiła go. Nie, to żadne czary. Wiedział dokładnie, co robi. Był w pełni władz umysłowych, tylko... ten pokój. Wszystko tu do niej należało, wszystko pachniało Morgana.

Jeżeli nawet myślał o niej obsesyjnie, cóż w tym dziwnego. Morgana Donovan nie jest zwykłą kobietą. Po tym wszystkim, co widział, co usłyszał od niej samej... Sprawiała, że cały jego poukładany świat przewrócił się do góry nogami. I tak dobrze, że jeszcze nie zwariował.

Była najcudowniejszą kochanką. Miała poczucie humoru. Była piękna i mądra. Czy nie powinien się przypadkiem uszczypnąć w rękę?

Dzięki niej napisał ten scenariusz. Im dłużej o nim myślał, tym bardziej był przekonany, że to najlepsza historia, jaką wymyślił w życiu.

A jeśli Morgana będzie innego zdania? Jeżeli powie, że to nic nie warte... Ogarnęła go panika. Czarna rozpacz. Po co dal jej nie poprawiony tekst?! Sam sobie będzie winien. Ale co się z nimi stanie, jeśli...

Do diabła! Będzie miał o czym myśleć przez kilka godzin.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dopiero po południu - kiedy fala klientów opadła, ucichły telefony, nadeszły wszystkie spodziewane przesyłki - mogła sobie pozwolić na filiżankę herbaty i chwilę samotności. Mindy czekała niecierpliwie na dwóch kolegów studentów, więc Morgana, ze spokojnym sumieniem, że nie będzie jej w niczym pomocna, wymknęła się na zaplecze i zatopiła w lekturze.

Herbata ostygła nietknięta. Kiedy z wypiekami na twarzy przeczytała ostatnią stronę, wróciła na pierwszą... i zaczęła czytać od początku. Genialne, myślała wzruszona. Opanowało ją nieznane dotąd uczucie: była dumna, że człowiek, którego kocha, potrafił stworzyć coś równie dobrego. W kilka dni!

Wiedziała, że Nash ma talent - wszystkie jego filmy oglądała z przyjemnością - ale po raz pierwszy czytała prawdziwy scenariusz. Spodziewała się czegoś zupełnie innego: szkicu akcji, ogromnej ilości wskazówek: dla reżysera, aktorów, techników.. Wszystkiego się spodziewała, ale nie skończonego dzieła, które tętniłoby własnym, magicznym życiem. Pochłaniając kolejne zdania i strony, nie widziała słów na papierze. Miała przed oczami żywe obrazy, czuła opisywane zapachy, słyszała dźwięki.

Intuicja jej podpowiadała, że jeśli reżyser zrozumie ten scenariusz, jeśli aktorzy i operator dadzą z siebie wszystko - powstanie film, który przerośnie Wszelkie oczekiwania Nasha Kirklanda.

Odłożyła ostatnią kartkę. Swoją drogą - uśmiechnęła się do własnych myśli - intuicja, na którą często się powołuje, najwyraźniej zaczyna szwankować... Za nic nie spodziewałaby się po człowieku, którego uważała za czarującego zarozumialca, tak głębokiej literatury. A w nocy? Spodziewała się po jego temperamencie gwałtownej namiętności, niepohamowania, raczej krótkiej wiosennej burzy niż takiej czułości.

Ile jeszcze razy Nash Kirkland wprawi ją w kompletne osłupienie?

Nash w tym czasie przygotowywał kolejną niespodziankę. Pomysł zaświtał mu rano, a Nash nigdy nie marnował dobrych pomysłów.

Wahał się przez moment, czy może wyjść do miasta, nie zamykając na klucz kuchennych drzwi, ale reputacja Morgany, a do tego groźnie ujadający wilczur... Rozgrzeszył się natychmiast.

Kwiaty - które tym razem kupił - ledwie zmieściły się w trzech wazonach. Układał je dobrą godzinę, efekt plastyczny może nie był zachwycający, ale pachniały pięknie. „Poza tym liczą się intencje...”

Spojrzał nerwowo na zegarek. Czasu zostało niewiele. Rozpalił w kominku ogień. Znów musiał przyznać, że Morgana zrobiłaby to szybciej i z większym wdziękiem.

Wrócił do stołu, żeby jeszcze raz wszystko sprawdzić. Uff, jak to dobrze, że został scenarzystą, a nie inspicjentem. Nakrycie dla dwóch osób na białym obrusie, srebrne sztucce, kryształowe kieliszki do szampana, różowe serwetki, maleńkie porcelanowe filiżanki. Pięknie!

A niech to! Znów zerknął na zegarek i złapał się za głowę. Muzyka. Jak mógł zapomnieć o muzyce?

I świece. Przejrzał błyskawicznie wszystkie płyty. Wybrał koncert Szopena, trochę na chybił trafił, chociaż sam wolałby Rolling Stonesów. Jeszcze tylko świece. Gdzie ona może je trzymać?

Po dziesięciu minutach cały salon zalany był blaskiem świec w najróżniejszych kolorach i kształtach, pachnących wanilią, jaśminem i drzewem sandałowym.

Ledwie zdążył zachwycić się swoim dziełem, kiedy usłyszał samochód. Rzucił się do drzwi jednocześnie z Panem.

Morgana, rozpromieniona, z kopertą pod pachą i butelką szampana w prawej ręce, zamknęła oczy czekając na pocałunek. Nash przyciągnął ją do siebie, ale zazdrosny Pan użył całej siły swoich mięśni, żeby ich powitanie trwało jak najkrócej.

- Cześć...

- Witaj. - Wręczyła mu butelkę. Wolną ręką, nie zamknawszy nawet drzwi, zaczęła czochrać psią sierść. - Przyjechałeś wcześniej.

. - Wiem. - Obejrzał nalepkę szampana. - No, no... Będziemy świętować?

- Bo i jest okazja. Powinnam zacząć od gratulacji, a dopiero potem wręczyć prezent, którym, mam nadzieję, podzielisz się ze mną...

Jej oczy jeszcze nigdy nie błyszczały tak radośnie i ciepło.

- Z rozkoszą. Ale czym sobie zasłużyłem na gratulacje?

- Dobrze wiesz. - Pokazała palcem kopertę. - Tym tekstem.

- Podobał ci się... - Poczuł, jak opada z niego cały strach i napięcie. Chciał ją uściskać, ale czujny Pan nie odstępował pani na centymetr.

- Nie. „Podobał” to nie jest dobre słowo. Zachwycał. Powiem ci dlaczego, ale zdejmę najpierw buty i usiądę.

- Chodźmy do środka. - Podał Morganie rękę. - Jak tam interesy? Zmęczona?

- Dzięki, w interesach jakoś leci, ale chyba poproszę Mindy, żeby znalazła dla mnie trochę więcej czasu. Nie zawsze daję radę sama. Miałyśmy dzisiaj taki... - Zatrzymała się jak wryta w progu salonu.

Wciągnęła w nozdrza powietrze, przesycone aromatem kwiatów i wosku. Spojrzała na kominek, potem na stół...

Nieczęsto zdarzało się Morganie tracić równowagę, a płakać ze wzruszenia jeszcze rzadziej. Teraz łyścisnęła jej gardło.

- Zrobiłeś to dla mnie?

- Skąd! To twoje krasnoludki.

- Uwielbiam krasnoludki. - Pocałowała go w usta, ale natychmiast opuściła głowę.

- A co myślisz o scenarzystach? - Poszturchiwał ją delikatnie brodą, czekając, aż spojrzy mu prosto w oczy.

- Uczę się... Zaczynam ich lubić.

- Całe szczęście. - Chciał ją przytulić, ale zorientował się, że obie ręce ma zajęte. - No to może otworzymy szampana, żeby to uczcić?

- Niezły pomysł. - Z głośnym westchnieniem ulgi zdjęła pantofle i patrzyła, jak Nash wyjmuje z lodu schłodzoną już butelkę. Pokazał jej dwie identyczne nalepki.

- Telepatia? - Wstawił do lodu szampana Morgany.

- Możliwe. - Podeszła do niego na palcach. - Nie ma rzeczy niemożliwych, wierzysz mi?

Nash odłożył na bok kopertę ze scenariuszem i otworzył butelkę. Korek cicho wystrzelił. Napełnił kieliszki, jeden podał Morganie, a drugim wzniosł toast.

- Za magię.

- Za magię. - Zaprowadziła go na kanapę. Usiadła na podwiniętych nogach, z głową opartą na ramieniu Nasha. Milczeli chwilę, wpatrzeni w ogień.

- No więc przyznaj się, co robiłeś przez cały dzień - poza tym, że udało ci się znaleźć i obłąskawić krasnoludki?

- Mniejsza o szczegóły. Żeby pokazać ci się od najlepszej strony, gram dzisiaj amanta doskonałego. Nie wiem, kochanie, czy to rozpoznajesz... ale moim niedoścignionym wzorem jest Cary Grant, lata czterdzieste...

Roześmiała się radośnie.

- Uwielbiam wszystkie twoje strony, Nash, ale jeśli chodzi o stronę fizyczną, wolałabym, żebyś został przy Kirklandzie. Grant nie jest w moim typie.

- Dobrze, pozwolę sobie na więcej luzu. - Położył nogi na stoliku do kawy. - A więc, mnóstwo czasu zajęła mi próba ułożenia kwiatów, żeby wyglądały jak na filmie.

- Uhm. Umówmy się, że robienie bukietów nie jest twoją mocną stroną, ale wyglądają pięknie.

- Czyli wysiłek się opłacił. Rano pojechałem do domu wygładzić scenariusz. Myślałem o tobie. Odebrałem telefon od pełnego emocji agenta. Potem znów myślałem o tobie.

- Miałeś wyjątkowo pracowity dzień - powiedziała szczęśliwa. - Czym emocjonował się twój agent?

- Telefonem od producenta, który wydaje się bardzo zainteresowany...

- Twoim scenariuszem.

- Zgadłaś. - Czuł się trochę dziwnie... Nie. Wcale nie dziwnie. Świadomość, że ktoś bliski cieszy się jego sukcesem, była cudowna. - Na razie to luźne rozmowy, pisanie palcem po wodzie - w końcu mają tylko szkic scenariusza - ale ponieważ do tej pory dopisywało mi szczęście, agent podpisuje ze mną umowy w ciemno. Kupuje pomysły na pniu. Muszę jeszcze wszystko przemyśleć, może jeszcze coś zmienię... Za kilka dni dopiero wyślę mu ostateczną wersję.

- To nie szczęście. - Stuknęli się kieliszkami. - Masz czarodziejski dar. Tutaj. - Dotknęła palcem jego skroni. - I tutaj. - Pokazała serce. - Wszędzie tam, skąd bierze się wyobraźnia.

Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu Nash obawiał się nie na żarty, że jeśli usłyszy jeszcze jedno pochlebstwo, zarumieni się jak panienka. Pocałował Morganę w policzek.

- Dzięki - powiedział nienaturalnie niskim głosem. - Wiesz chyba, że bez ciebie nie napisałbym ani jednej linijki.

- Wyobraź sobie - roześmiała się wesoło - że z radością przyznam ci rację. Nawet jeśli w tym wyznaniu jest sporo przesady.

- Nie ma. - Głodził jej warkocz zastanawiając się, czy przeżył w swoim życiu cudowniejszą chwilę. Siedział obok Morgany, w jej wspaniałym czarodziejskim domu, niczego się nie obawiał, niczego nie musiał udawać. Zaczynał rozumieć, czym jest normalne, codzienne szczęście. - Wiesz co, kochanie, skoro już zdecydowałaś się połechtąć moją próżność, pójdźmy na całość. Powiedz mi, co ci się w tym scenariuszu naprawdę podobało.

- Nie sądzę, żeby twoja próżność potrzebowała jakichkolwiek pieszczot, ale powiem ci.

- Nie spiesz się. To dla mnie bardzo ważne.

- Wszystkie twoje filmy mają nie tylko świetną konstrukcję, ale jakiś sens. Jesteś mistrzem budowania napięcia, ale nawet tam, gdzie leje się krew, gdzie ktoś wrzeszczy przeraźliwie, gdzie ktoś wariuje ze strachu... zawsze chodzi o coś więcej niż przerażenie widza. W tym, co przeczytałam dzisiaj - chociaż nie umiałeś sobie odmówić kilku mocnych scen w twoim stylu, jak ta na cmentarzu albo ta na strychu - poszedłeś o krok dalej. - Morgana zmieniła pozycję, żeby spojrzeć mu w oczy. - To nie jest historyjka o czarnej magii ani o czarownicach, ani o sile dobrych i złych zaklęć. Napisałeś coś bardzo mądrego o ludziach, o najważniejszych ludzkich instynktach. O wierze w cuda, o poleganiu na własnym sercu. Dla mnie to jakby... uświęcenie odmienności. I chociaż każesz swoim bohaterom cierpieć, podejmować trudne decyzje, bać się, przeżywać załamania, to jednak sensem wszystkiego, gdzieś w tle, pozostaje miłość, prawda? A tego wszyscy oczekujemy. Od każdej sztuki.

- Nie przeszkadza ci, że Cassandra odprawia swój czarodziejski rytuał na cmentarzu, że miesza w kotle, mrużąc niezrozumiałe zaklęcia?

- Cóż, przenośnia poetycka - powiedziała ze zmarszczonym czołem. - W końcu nie napisałeś eseju filozoficznego, tylko scenariusz. Trudno mieć pretensje do artysty o twórczą wyobraźnię. Na tym polega twój talent... - Roześmiała się. - Wybaczam ci nawet ten kiczowaty moment, kiedy Cassandra gotowa jest sprzedać duszę diabłu, żeby ocalić Jonathana.

- Cassandra ma dar czynienia dobra. - Nash wy-sączył z kieliszka wino i wzruszył ramionami. - Ale nie jest anielicą. Historia byłaby mdła, gdyby bohaterka nie otarła się ani razu o piekło. Widzisz, każdy gatunek ma swoje reguły. Istnieją sprawdzone metody budowania napięcia, a ja - nawet jeżeli nie wyjdzie z tego klasyczny horror - nadal uważam, że jeśli kino nie dostarcza widzowi końskiej dawki emocji, to nie jest kinem.

- Walka dobra ze złem? Czy to jest jedna z reguł twojego gatunku?

- Między innymi. Niewinni muszą cierpieć - dodał. - I nie ma walki bez rozlewu krwi.

- Męska rzecz - powiedziała lodowato.

- Niekoniecznie. Bywa, że kobieca. Nie jestem antyfeministą. No i dobro, chociaż nie bez ofiar, musi zwyciężyć.

- Poczyszające.

- Istnieje jeszcze jedna sztuczka. Moja ulubiona. - Opuszkami palców musnął jej szyję. Morgana znieruchomiała, a potem oboje przeszył lekki dreszcz. - Widownia musi się zastanawiać, od pierwszej do ostatniej sceny, i po wyjściu z kina, czy diabeł, chwilowo pokonany, wymknie się na wolność.

- Diabeł zawsze czyha. Wszyscy o tym wiemy.

- Właśnie. - Uśmiechnął się szeroko. - Dlatego od czasu do czasu, w nocy, kiedy jest ciemno i śpiemy sami, wszyscy boimy się skrzypienia szafy. Wsłuchujemy się w każdy szelest za oknem. Zastanawiamy się, co za diabeł czai się w mroku i czy to nas chce...

Rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Morgana podskoczyła, Nash wybuchnął śmiechem.

- Pozwolisz, że otworzę?

- Pozwolę - powiedziała wyniośle, poprawiając sukienkę.

Kiedy wyszedł z pokoju, wstrząsnął nią zimny dreszcz. Dobry jest, pomyślała z podziwem i odrobiną zazdrości. No, no. Kto tu kogo powinien straszyc? Nie zdecydowała jeszcze, w jaki sposób się zrewanżuje, kiedy wrócił z wysokim, chudym jak tyczka mężczyzną, niosącym przed sobą olbrzymią tacę. Nieznajomy ubrany był w biały smoking z czerwoną muszką. Z plastikowego identyfikatora przypiętego do kieszeni zdołała odczytać: „Chez Maurice”.

- Proszę postawić to na stole, Maurice.

- George, proszę pana - odparł przybyły smutnym głosem.

- Rozumiem. - Nash mrugnął porozumiewawczo do Morgany. - Rozłóż wszystko na półmiski.

- To zajmie trochę czasu, proszę pana.

- Nie spieszy nam się.

- Mus powinien być schłodzony, proszę pana - powiedział George jeszcze smętniej, jak gdyby lada moment miał się rozpłakać. Nash o mało nie parsknął śmiechem.

- Zaniosę go do lodówki. - Morgana poderwała się z kanapy. Wychodząc z pokoju zdążyła usłyszeć, jak George z ubolewaniem tłumaczy, że cykorię z konieczności (wyjątkowo zabrakło jej w kuchni!) zastąpiono endywią.

- Ten facet naprawdę żyje tym, co robi - tłumaczył jej Nash, kiedy wróciła po dwóch minutach, a George'a już nie było. - Wyobraź sobie, poubolewał jeszcze nad nieuwagą młodych dostarczycieli, którym zdarza się pognieść w drodze faszzerowane Pieczarki...

- Barbarzyńcy.

- Dokładnie tak mu powiedziałem. Udobruchał się nieco... Może sprawił to napiwek, nie wiem, w każdym razie George wyszedł w lepszym humorze.

- A więc zobaczymy, czym nas uraczył smutny George... Sałatka z endywii.

- Cykoria...

- Wyszła. Słyszałam. Mmm... Homary.

- A la Maurice.

- Jakżeby inaczej. - Uśmiechnęła się przez ramię do Nasha, który odsunął od stołu jej krzesło. - Mają tam w ogóle jakiegoś Maurice'a?

- George oświecił mnie - z ubolewaniem - i w tej sprawie. Maurice odszedł do lepszego ze światów trzy lata temu. Ale jego duch żyje i sprawuje pieczę nad firmą.

- A więc pokój jego duchowi. - Roześmiała się i zaczęła jeść. - Nieźle to wymyśliłeś.

- Myślałem o kurczaku, ale wyobrażasz sobie Cary Granta zapraszającego ukochaną na kurczaka z frytkami albo pizzę?

- Nie. - Umoczyła kawałek homara w rozpuszczonym maśle. - Urządziłeś to cudownie, Nash. Dziękuję.

- Zawsze do usług. - Naprawdę miał nadzieję, że czeka ich jakieś zawsze. Marzył o wielu podobnych wieczorach, wielu scenach i wielu rolach, które zagra specjalnie dla niej.

Otrząsnął się z zamyślenia. Do diabła, nie pora na podniosłe rozmowy i smętny nastrój. Scenariusz tego nie przewiduje... Dolał szampana do obu kieliszków-

- Morgano?

- Tak?

- Chciałem cię o coś zapytać... Ta sprawa nie

daje mi spokoju. Czy siostrzenica pani Littleton pójdzie na zabawę?

- Mój Boże... - Zamrugała powiekami zdziwiona, a potem odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem. - Nash, jesteś strasznie romantyczny!

- Nie. Po prostu... ciekawy. - Nie wytrzymał jej przeszywającego wzroku. - Lubię szczęśliwe zakończenia, jak wszyscy. A więc zdobyła swojego chłopca?

- Coś mi się zdaje - Morgana sięgnęła po następny kawałek homara - że Jessie zdobyła się na odwagę i spytała Matthew, czy nie poszedłby z nią na tę zabawę.

- Słusznie. I co?

- Mam wiadomości z drugiej ręki, które mogą być niedokładne albo naciągane.

- Posłuchaj, kochanie... - Pochylił się nad stołem i dał jej delikatnego prztyczka w nos. - To ja jestem pisarzem. Nie sil się na dramatyczne efekty, tylko opowiedz, co wiesz. No, nie daj się prosić.

- A więc podobno Matthew, ale nie ręczę za tę Informację...

- Uduszę cię, jeśli nie przestaniesz.

- ...zarumienił się, poprawił na nosie swoje okulary młodego intelektualisty... no, dobrze już, dobrze... i wyjąkał, że owszem, dlaczego by nie.

- Za Jessie i Matthew! - Podniósł kieliszek.

- Za pierwszą miłość. Tę najśłodszą.

Pomyślał, że niewiele ma na ten temat do powiedzenia, ponieważ, na szczęście, udało mu się uniknąć doświadczenia wielu miłości, które mógłby teraz Porównywać. Pod względem smaku... i pod każdym innym względem.

- Co się stało z twoją szkolną miłością?

- Skąd wiesz, że miałam jakąś szkolną miłość?
- A zdarza się, że ktoś nie ma? Wypada się do tego przyznać?
- Rzeczywiście, był taki jeden. Miał na imię Joe i grał w drużynie koszykarskiej.
- Sportowiec.
- Bez przesady. Nie był gwiazdą. Ale na pewno był wysoki! W tamtych czasach wzrost miał dla mnie zasadnicze znaczenie, bo na połowę chłopców z mojej szkoły musiałam patrzeć z góry. Zaczęliśmy się umawiać w ostatniej klasie. Joe zabierał mnie na przejażdżki swoim fordem pinto.
- To ten model ze ściętym tyłem?
- Chyba tak.
- Ja muszę wszystko sobie wyobrazić - powiedział z uśmiechem. - Poczekaj, nie przerywaj. Nocny plener. Samochód zaparkowany na jakiejś ciemnej, bocznej drodze. Para zakochanych nastolatków całująca się rozpaczliwie przy akompaniamencie... powiedzmy „A Summer Place”.
- Raczej „Hotelu California” - poprawiła go bez zmużenia oka.
- Dobrze. Cichnie ostatni gitarowy akord...
- ...i to by było na tyle. Koniec filmu. Joe wyjechał po wakacjach do Berkeley, ja do Radcliffe. Słuszny wzrost niewiele mógł zdziałać na odległość pięciu tysięcy kolometrów.
- Kobieto, puchu marny... - Nash zadumał się nad losem wszystkich mężczyzn.
- Joe pozbiierał się błyskawicznie. Ożenił się ze studentką ekonomii i przeprowadził do St. Louis. Jak wynika z ostatnich towarzyskich doniesień, spędzili już trzy piąte własnej drużyny koszykarskiej.
- Przyzwoity facet z tego Joe...

- A ty? - Sięgnęła po butelkę i napełniła kieliszki.
- Nigdy nie przepadałem za piłą.
- Rozmawiamy o szkolnych miłościach.
- Och. - Odchylił się z krzesłem do tyłu, zerkając na Morganę spod przymrużonych powiek. Światło świecy tańczyło w jej wesołych oczach, pełzało po kryształowej powierzchni kieliszka. Uśmiechnęła się zachęcająco. - Miała na imię Vicki. Dyrygowała wiwatami na szkolnych meczach.

- I co?

- Łaziłem za nią jak cień przez dwa miesiące, zanim otworzyłem usta. Byłem bardzo nieśmiały.

- Słucham? Co jeszcze nieprawdopodobnego wymyślisz?

- Nie wierzysz mi? Niestety, to prawda. Przeniosłem się do jej szkoły w połowie pierwszego roku. Klasa zdążyła się już podzielić na zamknięte grupki i kliki - tak szczelne, że mysz by się nie prześliznęła. O wkupieniu się w ich łaski mogłem tylko marzyć. Znowu byłem „nowym”, miałem mnóstwo czasu na przyglądanie się z boku, i jak zwykle zdałem się na własną wyobraźnię.

- Więc przyglądałeś się Vicki.

- Nie zajmowałem się niczym innym. Wlepiąłem w nią ślepią bez przerwy. Pierwszy mecz, pierwsze owacyjne okrzyki, i zakochałem się na amen. Mam wrażenie, że to się działo wieki temu. - Spojrzał na Morganę przenikliwym wzrokiem. - Należałaś kiedyś do takiej wiwatującej żeńskiej drużyny?

- Nie. Przykro mi.

- Szkoda. Jeszcze dzisiaj dostaję palpacji serca, kiedy słyszę ich okrzyki. I nigdy nie śledzę samego meczu, tylko podskakujące panienki. A wracając do Vicki, nie masz pojęcia, ile mnie to kosztowało, ale

zdobyłem się w końcu na bohaterstwo i zaprosiłem ją do kina. To było „Trzynastego w piątek”. Tytuł filmu, a nie data. W czasie najmocniejszej sceny pozwoliłem sobie na poufałość. Vicki nie zaprotestowała i do końca roku szkolnego uchodziliśmy za parę. W czasie wakacji znalazła na moje miejsce pewnego wytatuowanego kretyna, ale za to z motocyklem.

- Podła.

- Cóż... - Ze stoicką miną wzruszył ramionami. - Podobno uciekła z nim do El Paso. Zamieszkali na kempingu w przyczepie i dostali od losu dokładnie to, na co zasłużyli.

- Myślę, że pogodziłeś się ze stratą i dość szybko o niej zapomniałeś.

- Częściowo. - Nash nie miał ochoty rozmawiać o przeszłości. Z nikim. Wstał od stołu, żeby zmienić płytę, a potem natychmiast zmienić temat. Nie pytając Morgany o zdanie, wybrał nastrojowego Gershwina. Podeszedł do niej z łagodnym uśmiechem, ujął za łokcie i podniósł. - Chodź - szepnął. - Chcę cię objąć.

Przyłgnęła do niego bez słowa. Najpierw kołysali się lekko, w rytm sennej, kojącej melodii. Nagle dźwięki urosły - radośnie i niespodziewanie - porywając ich do tańca. Zaczęli płynąć. Przemierzali pokój długimi, posuwistymi krokami, patrząc sobie w oczy.

Pierwszy pocałunek był tylko czułym dotykiem warg. Obietnicą. Kuszącą przepowiednią, że spełni się wszystko, czego zapragną.

Kiedy zatrzymali się w pół kroku, Nash przygarnął Morganę jeszcze mocniej. Przez kilka sekund hipnotyzował ją wzrokiem. Pulsujące milczenie wydawało

się nie mieć końca, kiedy tak stali półprzytomni, witając nową falę dręczącego podniecenia. Jej wargi rozchyliły się jak płatki róży.

Całowali się nieporadnie i ślepo. Nash przyciskał ją do siebie, jakby chcąc odbić wymarzone kształty na własnej skórze. Morgana błędziła palcami po jego plecach, dygotała rozpalona, wyobrażając sobie, że stopili się w jedno ciało.

Patrzył na nią w zachwycie. Podniecony jej gotowością, dreszczem, który przeszył jej ciało i cichym jękiem, którego nie umiała stłumić. Nie wypuszczając jej z objęć, zsunął wstążkę z grubego warkocza. Palcami zaczął przeczesywać długie, splątane pasemka. Musiała przechylić głowę do tyłu. Ten pocałunek smakował jak niebezpieczeństwo. Jak czysta rozkosz. I jak desperacja.

Namiętność przybiera różne formy. Dzisiejszej nocy, Morgana wiedziała o tym na pewno, ich namiętność miała wybuchnąć wielkim płomieniem.

Nigdy nie sądziła, że jest zdolna stracić dla kogoś głowę. Oszaleć na czyimś punkcie? Nie ona. A jednak myliła się. Kiedy Nash niósł ją na rękach do sypialni, nie odróżniała serca od rozumu. Była gotowa. Spragniona do bólu jego miłości i jego ciała.

Nie zatrzymał się w progu sypialni, nawet wtedy, gdy zauważył, że Morgana „przeniosła” do niej świece i muzykę. Przy akompaniamencie narastających radośnie dźwięków opadli na łóżko.

Niecierpliwie ręce, głodne usta, gorączkowe słowa. Nash wiedział od początku, że będzie nienasycony. Wiedział, że ona z nim jest - rozpalona, gotowa wiele żądać i spełnić każde jego pragnienie - ale on popychał ją w tej gorączce coraz dalej, pędząc na oślep, budząc jej ciało raz po raz do przeżywania i dawania

rozkoszy. Wypijał z niej wszystkie soki, żądał coraz więcej. I nie było rzeczy, której by mu odmówiła.

Dużo później - choć nie wiedział, czy minęła godzina, czy kilka godzin - Nash opadł na plecy i zaczął odzyskiwać świadomość. Z trudem łapiąc powietrze, usłyszał jeszcze cięższy oddech Morgany. Otworzył oczy. Leżała na brzuchu, z rozkrzyżowanymi bezwładnie rękami. Pomyślał przerażony, że to, co się między nimi wydarzyło, było czystym szaleństwem... ale niekoniecznie powodem do dumy.

Zagalopował się... delikatnie mówiąc. Napadł na nią jak dzikus. Zdierał z niej ubranie, jak gdyby przez rok nie widział kobiety. I skłamałby mówiąc, że czegokolwiek żałuje... To była najcudowniejsza noc w jego życiu, ale nie miał pewności, czy Morgana jest równie zachwycona. Wyglądała na nieprzytomną. Może czuje się zakłopotana? Może nie wie, co powiedzieć...

Położył rękę na jej ramieniu. Morgana wzdrygnęła się, więc natychmiast ją cofnął.

- Kochanie... Dobrze się czujesz?

Z jej ust wydobył się cichy, nieokreślony dźwięk, coś między kwileniem a jękiem. Ogarnęła go panika. Czyżby płakała? Nieźle, Nash, pomyślał z furją. Zdaje się, że tym razem naprawdę przesadziłeś. Odezwał się jeszcze raz. Ani drgnęła. Potem zaczął głaskać jej włosy.

- Morgano, kochanie. Przepraszam, jeżeli...

Właściwie nie wiedział, co powiedzieć. Morgana sennym ruchem odwróciła głowę, zsunęła włosy z policzka i z wyraźnym trudem otworzyła oczy.

- Mówiłeś coś?

- Chciałem cię po prostu... Wszystko w porządku?

- W porządku? - Westchnęła przeciągle, jakby nie w pełni rozumiała sens jego słów. - Nie wiem, nie sądzę. Powtórz pytanie, kiedy odzyskam siły. - Wyszunęła rękę spod skłębionych prześcieradeł i zacisnęła palce na dłoni Nasha.

- A ty?

- Co ja?

- Dobrze się czujesz?

- To nie mnie napastował nieokrzesany dzikus.

- Nie? - Leniwy uśmiech przemknął po jej twarzy.

- Myślałam, że ja też nieźle wypadłam w roli dzikuski. Daj mi godzinę, to jeszcze zobaczymy, kto jest bardziej nieokrzesany.

- Naprawdę nie masz mi za złe, że...

- Wyglądam na rozczarowaną?

Zastanowił się. Morgana wyglądała jak kotka, która zjadła miskę śmietany, a teraz leży ukontentowana, nie mogąc się ruszyć. Uśmiechnął się bezwiednie.

- Nie... Raczej nie.

- Bo ty wyglądasz na bardzo zadowolonego z siebie...

- Tak? - mruknął z satysfakcją w głosie. Zaśmiał się triumfująco i przewrócił ją na plecy. - A ty?

Nie odpowiedziała od razu. Odrzuciła prześcieradło i uklękła nad nim. Patrzyła w milczeniu, jak pożera ją tym swoim diabelskim, roziskrzonym wzrokiem.

- Wiesz co, Nash?

- Nie wiem... - Wyciągnął do niej obie ręce.

- Zaraz przestaniesz się głupio uśmiechać. Odwołuję tę godzinę i wyzywam cię na pojedynek. Natychmiast.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nash miał wiele powodów, żeby uważać życie za genialny wynalazek. Zajmując się tylko tym, co sprawiało mu przyjemność i satysfakcję, zarabiał na luksusowe życie. Powodziło mu się coraz lepiej, miał nowy dom, odnosił sukces za sukcesem... Dziecko szczęścia. A jednak najgoręcej dziękował losowi za związek z Morganą. Fascynującą kobietą, która okazała się również mądrą, niezawodną przyjaciółką. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie podobnego cudu.

Nie był do końca przekonany, czy powiedzenie, że człowiek uczy się na własnych błędach, jest rzeczą sprawdzoną, czy tylko pobożnym życzeniem. Ale sam - na własnej skórze - doświadczył jednego: że budzenie się w jednym łóżku z najwspanialszą nawet kochanką, z którą nie ma o czym rozmawiać przy śniadaniu, rodzi niedobre uczucia. Czasami tylko niedosyt, a czasami o wiele gorzej...

Z Morganą potrafił się śmiać, rozmawiać o głupstwach i o sprawach ostatecznych, milczeć, kłócić się na każdy temat, a potem iść do łóżka - z uczuciem bliskości, jakiego nie dzielił z żadną inną kobietą.

Z uczuciem, w jakie do tej pory po prostu nie wierzył.

Zdarzało mu się nawet zapominać, że Morgana nie jest zwykłą kobietą.

Skończywszy serię pompek, do których zmuszał się trzy razy w tygodniu, zaczął rozpamiętywać ich ostatnie, wspólnie spędzone dni.

Wybrali się na długą przejażdżkę do Big Sur. Kompletnie szaleństwo! Zachowywali się jak prawdziwi turyści: zwiedzali, co tylko się dało, podziwiali nadmorskie widoki, wschody i zachody słońca. Ona bez przerwy robiła zdjęcia, on nie rozstawał się z kamerą.

Chwilami czuł się trochę głupio, ale był szczęśliwy jak dziecko. Któregoś dnia - kiedy Morgana na niego nie patrzyła - podniósł z plaży kilka kamyków i wsunął je ukradkiem do kieszeni. Na pamiątkę.

Włókł się za nią wierny jak cień, kiedy w jedno popołudnie zwiedziła wszystkie sklepy w Carmelu. Z każdego wychodziła uśmiechnięta, z naręczem paczek, które przerzucała w jego ramiona.

Lunch na ukwieconym tarasie kawiarni. Pikniki na plaży o zachodzie słońca. Spleceni ramionami czekali, aż czerwona ognista kula utonie w morzu, potem całowali się do utraty tchu i biegiem wracali do hotelu.

Beztroski śmiech, czułe spojrzenia w zatłoczonych miejscach.

Gdyby spojrzeć na to z boku... Zalecali się do siebie jak para narzeczonych. Nie, przekonywał się Nash w duchu, Boże broń. Spędzili ze sobą cudowne chwile, odpoczywali, kochali się, ale zaloty i narzeczeństwo? Nie. Ich zasadniczą wadą jest to, że prowadzą nieuchronnie do małżeństwa.

A małżeństwo - zdecydował o tym wiele lat temu - było doświadczeniem życiowym, bez którego postanowił się obyć. Wszystko, tylko nie to...

Wstał z podłogi, żeby rozluźnić mięśnie. Przez gło-

wę przemknęła mu niespokojna, dręcząca myśl. Czy zrobił jakiś fałszywy krok? Czy dał jej nieopatrzenie do zrozumienia, że ich przyjaźń, ich związek, ich cudowna przygoda, prowadzi do... jakiejś zalegalizowanej stabilizacji? Kiedy poznał DeeDee, od razu postawił sprawę jasno. Pozbawił ją złudzeń, ale ona i tak wierzyła, że przekona go do małżeństwa.

Z Morganą w ogóle nie rozmawiał o przyszłości. Jakoś nie przyszło mu do głowy...

A może przyszło, tylko nie chciał jej sprawiać przykrości. Może bał się. Morgana zbyt wiele dla niego znaczy. Od pierwszej chwili. Morgana jest...

Spokojnie, Nash. Morgana jest ważna. Zależy ci na niej. Ale przecież nie zaczniesz myśleć o miłości. Miłość także grozi małżeństwem.

Kropelki potu spływały mu po czole, mimo że dawno przestał ćwiczyć. W porządku, krzyczał do siebie w myślach, bardzo ci na niej zależy. Może nawet nigdy na nikim nie zależało ci bardziej. Ale opanuj się. Daleka droga do obrączek, miodowego miesiąca i cichej przystani dla dwojga.

Ukrył twarz w dłoniach. Dlaczego wciąż o niej myśli? Żadna inna kobieta nie trzymała go w takim napięciu. W dzień i w nocy. Kiedy zaczynał coś robić, zastanawiał się, gdzie jest teraz Morgana, czym się zajmuje, co by powiedziała... Doszło do tego, że nie potrafił sam zasnąć. Budził się rozczarowany, jeśli ona wstała wcześniej. Obłąd...

Sięgnął po ręcznik, żeby wytrzeć pot z twarzy. Jak do tego doszło? Czy zlekceważył jakieś znaki ostrzegawcze? Powinien czmychnąć gdzie pieprz rośnie, zanim choroba stanie się nieuleczalna. Dlaczego jego anioł stróż nie podszeptał tym razem ani słówka?

Zamiast wycofać się w porę, **brnął** dalej, tragicznie zaślepiony.

Na szczęście zorientował się w ostatniej **chwili**, że stoi nad przepaścią. Stop! Żadnych samobójczych kroków. Cisnął w kąt ręcznik i nabrał głęboko powietrza. Trudno, jedno doświadczenie więcej na koncie, zdecydował. Choroba o gwałtownym przebiegu, ale rozejdzie się po kościach.

Wszedł pod prysznic. Zaczął przekonywać się gorliwie, jak każdy nałogowiec w chwili względnej trzeźwości, że panuje nad sytuacją.

Spokojnie, Nash, jesteś wolnym człowiekiem. Wycofasz się, kiedy tylko zechcesz.

A Morgana? Jeżeli i ona wpadła po uszy? Czego się po nim spodziewa? Może wyobraża sobie stateczne życie u jego boku, wspólne monogramy na ręcznikach i - obowiązkowo! - co tydzień strzyżone trawniki.

Skrzywił się ironicznie. I kto tu się zarzekał, że nie jest antyfeministą. Zamiast dziękować opatrności za wszystko, co ich spotkało, on się obawia, czy Morgana - przypadkiem - nie myśli o ślubie. Tylko dlatego, że jest kobietą. Śmiechu warte. Morgana ma jeszcze mniej powodów, żeby przeciw na osłep do małżeństwa z takim jak on facetem.

Tkwiał pod prysznicem, mimo że woda już dawno spłukała szampon z jego włosów. Poniosła go Wyobraźnia.

Scena we wnętrzu. Późne popołudnie. W pokoju zatrząsienie zabawek, zmiętych ubrań w plastikowych koszach, brudnych talerzy. Na środku kojec, w którym podskakuje i wrzeszczy dziecko. Nasz bohater otwiera drzwi. Z czarną wypchaną teczką w ręku, w ciemnym garniturze i zaciśniętym pod samą

szyją krawacie. Miękkie pantofle. Zmęczenie na poszarzałej twarzy. Jest przeciętnym mężczyzną w średnim wieku, który przez cały dzień pracował, walczył z szefem i podwładnymi, a teraz wrócił w domowe pielesze.

- Kochanie! - Stara się, żeby jego głos brzmiał radośnie. - Jestem w domu.

Dziecko płacze i krzyczy coraz głośniejsze, próbuje wyrwać szczeble ze swojej drewnianej klatki. Nasz bohater, zrezygnowany, kładzie na krześle teczkę i bierze malca na ręce. Przemoczona pielucha plami mu ubranie.

- Znowu się spóźniłeś - burczy żona pod nosem. Włosy w nieładzie, przypominają stóg siana. Zacięta twarz, wyblakły szlafrok, przydeptane kapcie. Zakłada ręce na biodrach i zaczyna recytować listę wszystkich jego wad, a potem oświadcza jednym tchem, że brudne naczynia zalegają kuchnię, odkurzacz zepsuty, zlew przecieka, a ona znów jest w ciąży i ma tego wszystkiego dosyć. Po dziurki w nosie!

Nash odsuwa od siebie koszmarny obraz, pojawia się inna scena.

Wraca do domu spacerem, wciągając w nozdrza rozgrzane powietrze przesycone zapachem kwiatów i morza. Uśmiecha się, bo wszystko w jego życiu układa się dokładnie tak, jak sobie wymarzył. Kupuje bukiet tulipanów. Otwierają się drzwi, w których stoi ona. Ciemne włosy związane w koński ogon, usta rozchylone uśmiechem. Trzyma na biodrze kilkumiesięczne, czarnowłose dziecko, które grucha radośnie i wyciąga do niego rączki. Przytula je, a potem całuje żonę. Z zamkniętymi oczami wdycha delikatny zapach jej perfum.

- Tęskniliśmy za tobą.

Nash otrząsnął się i gwałtownym ruchem zakręcił prysznic.

Coraz gorzej, pomyślał. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że drugi obraz był wytworem czystej fantazji, najbardziej nieprawdopodobną sceną, jaką wymyślił do tej pory. Więc może nie jest aż tak źle. Odróżnia rzeczywistość od wyobraźni, czyli jeszcze nie do końca zwariował.

Morgana wcisnęła gaz, a potem wjechała w długi zakręt. Dobrze jest tak pędzić... Wysadzaną drzewami drogą, z rozwianymi włosami... Roześmiała się na głos. Nie w tym rzecz. Cudownie jest jechać na spotkanie z kimś, do kogo się tęskni, kto odmienił nasze życie.

Wcześniej też nie narzekała na los. Jej świat dalej by się kręcił, nawet gdyby nie poznała Nasha. Ale poznali się - i już nic nigdy nie będzie jak dawniej.

Zastanawiała się, czy Nash zdaje sobie sprawę... Czy domyśla się, jakie znaczenie ma dla niej fakt, że zaakceptował jej odmiennność. Szczerze w to wątpiła. Swoją drogą, Nash, który z natury był prześmiewcą, w każdej sytuacji potrafił doszukać się żartu i każdą oglądał w jakimś krzywym zwierciadle. Wyobraziła sobie nagle, że potraktował jej... zdolności jako kpinę z osiągnięć nauki. I może ma w tym trochę racji.

Najważniejsze, że wiedział. Przyjął to do wiadomości i koniec. Nigdy nie patrzył na nią podejrzliwie, jakby spodziewał się, że wyrośnie jej druga głowa albo rogi. Widział w niej po prostu kobietę.

Łatwo było zakochać się w Nashu. Łatwo było go kochać. Morgana nigdy nie uważała się za roman-

tyczkę, a teraz, nagle, zaczęła rozumieć wiersze o miłości... To prawda, myślała, że kiedy człowiek jest zakochany, zwykłe powietrze wydaje mu się bardziej odurzające, kwiaty pachną intensywniej, świat staje się bajecznie kolorowy.

Nagle, dla kaprysu, wyczarowała w dłoni różę. Uśmiechając się, wciągnęła w nozdrza delikatny zapach młodego, zwiniętego jeszcze pączka. Jej życie przypominało taką różę: tajemniczy kwiat, który dopiero rozkwitnie.

Z natury rozsądna, czuła się trochę głupio - ze swoją lekkomyślnością, sentymentalnym myśleniem. Tłumaczyła sobie jednak, że to jej własne myśli, własne uczucia, których nie powinna się wstydzić. Żywiła nadzieję, że kiedyś, prędzej lub później, Nash będzie czuł tak samo.

Minęła bramę z uśmiechem na ustach. Miała dla Nasha kilka niespodzianek, począwszy od planów na sobotni wieczór. Kiedy sięgnęła po torbę, zderwiony Pan położył głowę na jej ramieniu.

- Spokojnie - przemówiła do niego czułym głosem. - Wytrzymaj jeszcze chwilę. Zaraz wyjdiesz i wszystko obejrzysz. Luna cię oprowadzi.

Luna, która leżała dotąd bez ruchu na przednim siedzeniu, niechętnie podniosła głowę. Błysnęła źrenicami wąskimi jak szparki.

- Jeżeli zaczniecie wariować, odwozę was do domu. Mówię poważnie: do poniedziałku jesteście skazani wyłącznie na własne towarzystwo.

Kiedy wysiadła z samochodu, poczuła się zamroczona. Jakby ciemna kurtyna spadła tuż przed jej oczami i zasłoniła widok. Serce zaczęło jej kołatać. Stała nieruchomo, z ręką zaciśniętą na klamce, z twarzą odwróconą do wiatru. Wyteżyła słuch. Dla-

czego ucichło morze? Powietrze zgęstniało, zrobiło się matowoszare. Ten dziwny stan nie miał nic wspólnego z omdleniem, zawrotami głowy... Miała wrażenie, że nagle, nie wiadomo dlaczego, zgasło słońce. Jak gdyby, nie spodziewając się niczego, wkroczyła w ponury, pełen tajemnic mrok. Siłą całej swojej woli próbowała przeniknąć mgłę. Na próżno. Zobaczyła tylko migotliwe, drwiące z jej wysiłków przebłyski.

Nagle wszystko minęło. Słońce oslepiło ją pełnym blaskiem, usłyszała fale uderzające o skały.

Morgana nie miała daru jasnowidzenia jak Sebastian, ani takich zdolności koncentracji i wczuwania się jak Anastazja - ale zrozumiała.

Wiele miało się zmienić. I to już wkrótce. Rozumiała też, że owe zmiany niekoniecznie będą radosne. Mogą oznaczać bolesne rozczarowanie.

Odepchnęła od siebie złe myśli. Idąc w stronę domu tłumaczyła sobie, że przecież każdy dzień przynosi zmiany. Zapominają o tym ludzie, którzy żyją teraźniejszością, chwilą krótkiego szczęścia. Jej teraźniejszość miała na imię Nash, dlatego gotowa była o nią walczyć. Zatrzymać, jak długo się da.

Nash otworzył drzwi, kiedy postawiła stopę na schodach.

- Cześć, kochanie. - Uśmiechnął się i włożył ręce do kieszeni.

- Cześć. - Przełożyła wszystkie torby do jednej ręki, a drugą zarzuciła mu na szyję. - Pocałuj mnie, to powiem ci, jak się czuję.

- Wiem, jak się czujesz. - Objął dłońmi jej talię.
- Fantastycznie. Czy można się czuć inaczej w sobotnie popołudnie, takie jak dzisiaj?

- Brawo. Coraz częściej zdarza ci się mieć rację.
- Roześmiała się pełnym głosem, uspokojona, gotowa zdać się na uczucia i puścić w niepamięć zdarzenie sprzed kilku minut. Wręczyła mu różę.

- Dla mnie? - Nie bardzo wiedział, jak powinien zareagować mężczyzna, który dostaje kwiat od kobiety.

- Tylko dla ciebie. - Pocałowała go w usta. - Co robimy? Nash, czy chciałbyś cały, całutki sobotni wieczór... - zniżyła głos do szeptu - spędzić w sposób... banalny? Dekadencki?

- Kiedy zaczynamy? - Jęknął boleśnie, kiedy Morgana wargami dotknęła jego ucha.

- Cóż... - Otarła się o Nasha jak kotka, patrząc mu prosto w oczy. - Po co tracić czas?

- Boże, uwielbiam agresywne kobiety.

- Dobrze się składa, bo... mam pewien pomysł, kochanie. - Delikatnie chwyciła zębami jego wargę i czekała na reakcję. - Ale to by nam zajęło dużo czasu. Nie spieszysz się gdzieś?

Nash nie mógł złapać tchu. Pomyślał nagle, że przy Morganie nigdy nie będzie oddychać normalnie. Milczał przez chwilę, patrząc na nią rozpalonym wzrokiem.

- Zaczniemy na progu, czy zamkniemy najpierw drzwi?

Pan przemknął między ich nogami, zupełnie straciwszy nadzieję, że poświęcą mu chociaż trochę uwagi. Morgana przylgnęła do Nasha całym ciałem, delikatnie popychając go do środka.

- Chodźmy. Tego, co mam na myśli, nie możemy robić na dworze.

- Pewnie wiesz, co mówisz...

Wniósł ją na rękach do salonu na górze. Po pier-

wszym szalonym pocałunku, kiedy zaczął rozpinać guziki bluzki, Morgana wysliznęła się z jego objąć.

- Kochanie...

Pokręciła tylko głową i zniknęła w sypialni. Nash pobiegł za nią.

- Wymyśliłam dla ciebie frajdę, Nash. Mam nadzieję... - Wyjęła z torby czarną, jedwabną koszulę i rzuciła ją niedbale na łóżko.

Wyobraził sobie w niej Morganę. Wyobraził sobie, że zdejmuje z jej ramion cieniutkie ramiączka.

Zacisnął drżące palce.

- Zatrzymałam się po drodze - powiedziała, wyjmując z torby następne pakunki - żeby przywieźć kilka... rzeczy.

- Świetny początek... - Nie odrywając oczu od jej ręki, położył na stoliku różę.

- O, mam coś lepszego. - Wręczyła mu kasetę wideo.

- Filmy dla dorosłych? - spytał z niewyraźnym uśmiechem.

- Przeczytaj tytuł.

Odwrocił kasetę, wyraźnie rozbawiony.

- Co?! - krzyknął, nie wierząc własnym oczom.

- „Pełzające oko”? - Szeroki uśmiech rozpromienił jego twarz.

- Może być?

- Czy może być?! Kochanie, przecież to чудо! Kłasyka. Nie oglądałem tego od lat.

- Mam więcej takich cudów. - Rozsunęła sznurek skózanego worka, odwróciła go do góry nogami i całą zawartość wysypała na łóżko.

Spod stosu kosmetyków i damskich drobiazgów Nash wygrzebał jeszcze trzy kasety. Oczy płonęły mu jak dziecku, któremu pozwolono wyjąć spod cho-

inki prezenty. - „Amerykański wilkołak w Londynie”, „Koszmarne noce na Elm Street”, „Drakula”. Pysznie. - Nash zaniósł się śmiechem. - Boże, co za kobieta. Czy naprawdę masz ochotę przez cały wieczór oglądać horrory?

- Z kilkoma dostatecznie długimi przerwami.

Rozebrał ją tak błyskawicznie, że nie zdążyłaby zaprotestować, nawet gdyby zechciała.

- Ja też mam pomysł - szepnął. - Zaczniemy wieczór od uwertury.

- Genialny! - Zawtórowała mu śmiechem. - I jaki oryginalny...

Czy można sobie wyobrazić doskonalszy weekend? Oglądali filmy - z „dostatecznie długimi” przerwami - do bladego świtu. Spali, dokąd mieli ochotę, czyli do południa, potem zjedli śniadanie w łóżku.

Nie wyobrażał sobie także doskonalszej partnerki - do wspólnego weekendu i wspólnego... czegokolwiek. Morgana była nie tylko piękna i nie tylko pociągająca, ale umiała docenić takie filmowe perełki jak „Pełzające oko”.

Nawet się nie skrzywił, kiedy w niedzielne popołudnie zaprzęgała go do pracy w ogrodzie. Sprzątał podwórze, kosił trawę, wrywał chwasty... Nagle wszystkie te czynności nabrały nowego sensu, kiedy zobaczył Morganę klęczącą w trawie, ubraną w jego podkoszulkę i jego dżinsy ściągnięte sznurkiem w pasie.

Zaczął się zastanawiać. Jak by to było... jak by to mogło być, gdyby tak codziennie... Gdyby miał ją tu zawsze. W zasięgu ręki.

Przerwał na chwilę pienenie. Drapiąc za uszami psa, który od wyjścia na dwór nie odstępował go

na krok i wciąż domagał się pieśczoć, Nash przyglądał się Morganie.

Nuciła coś pod nosem. Nie rozpoznawał melodii, ale brzmiało to egzotycznie. Pewnie jakaś stara pieśń czarownic, pomyślał natychmiast. Przekazywana z pokolenia na pokolenie. Morgana Donovan wydała mu się nagle cudowna. Naprawdę emanowała z niej magia. Nawet gdyby nie odziedziczyła swoich talentów, i tak byłaby cudowna.

Z włosami schowanymi pod czapką, bez śladu makijażu na twarzy i w tych nieszczęsnych wytartych džinsach - wyglądała równie zmysłowo jak wjedwabnej bieliznie.

W wyrazie jej twarzy było coś niewinnego, ale nie mającego nic wspólnego z naiwnością. Raczej naturalna pewność siebie, zadowolenie z tego, że jest tym, kim jest. Żadnej pozy, żadnego nadrabiania miną. Żadnych kompleksów.

Jeżeli nawet kiedyś, w głębi duszy, tęsknił za taką kobietą, to i tak nie wierzył w jej istnienie.

Ale w czarownicy też nie wierzył.

Potrafił wyobrazić sobie Morganę - klęczącą w tym samym miejscu - za rok. Za dziesięć lat. Był święcie przekonany, że i wtedy serce biłoby mu równie szybko.

Wielki Boże. Ręka, którą głaskał Pana, znieruchomiała nagle i opadła bezwładnie na ziemię. Zakochał się. On, który bronił się przed... - ze strachu nawet nie wymawiał tego słowa - tym razem naprawdę się zakochał.

Do diabła, co się z tym robi?

I pomyśleć, że nie dalej jak wczoraj opowiadał sobie trzy po trzy, jak to panuje nad sytuacją, trzyma rękę na pulsie... Dyrzymały. Oczywiście, w każdej chwili może się wycofać! Gadanie.

Ogarnął go paniczny strach. Podniósł się na miękkich nogach, rękami uciskając żołądek.

- Coś nie tak? - spytała Morgana.

- Nie, nie... Pójdę do kuchni i przyniosę coś zimnego do picia.

Biegając niemal do domu, czuł na plecach jej pytający wzrok. A może ona już wie...

Tchórz. Szczeniak. Idiota. Złorzeczył sobie przez całą drogę. Nalał do szklanki wody z kranu i wypił ją duszkiem. Może to porażenie słoneczne. Brak snu. Nie zaspokojone libido.

Odstawił powoli szklankę. Nie bądź dzieckiem, Nash. To miłość.

Panie i panowie, proszę o uwagę! Oto największy numer programu! Macie przed sobą przeciętnego mężczyznę, który drżyjak osika ze strachu. Spójrzcie na jego ręce. Wiecie, czego się boi? Biedaczysko zamienił się w kłębek nerwów z powodu miłości do pięknej, dobrej kobiety.

Obmył twarz zimną wodą. Nie rozumiał, jak to się stało, ale wiedział, że nie ma dokąd uciec. Był dorosłym człowiekiem i w dorosły sposób musiał zmierzyć się z sytuacją.

Może powinien jej powiedzieć. Po prostu.

Morgano, oszalałem na twoim punkcie.

Wypuścił wolno powietrze. Jeszcze raz umył twarz. Blado i nijako.

Morgano, zrozumiałem w końcu, że to, co do ciebie czuję, to więcej niż... fascynacja. Nawet więcej niż zakochanie.

Syknął ze złością. Za dużo słów. Głupie gadanie. Nigdy by czegoś podobnego nie napisał.

Morgano, kocham cię.

Proste. Trafne. I strasznie groźne.

Ale to on się trzęsie ze strachu. Morgana nie wygląda na bojaźliwą. Powinien natychmiast się opamiętać. Wprostował ramiona i ruszył do drzwi.

Na dzwonek telefonu stanął jak wryty. Ciarki przeszły mu po plecach.

- Spokojnie, chłopie - mruknął.

- Nash? - Morgana stała na progu kuchni, mierząc go niespokojnym wzrokiem. - Naprawdę dobrze się czujesz?

- Ja? Tak, tak... Wspaniale. - Przeczesał włosy nerwowym ruchem. - A ty?

- Też - powiedziała cicho. - Odbierzesz telefon?

- Telefon? - Rozbieganymi oczami spojrzał na słuchawkę. - Rzeczywiście... Tak, jasne.

- To odbierz. A ja zrobię to picie, jeśli pozwolisz. - Ze zmarszczonym czołem, coraz bardziej zdziwiona, podeszła do lodówki.

Dopiero kiedy dotknął słuchawki, poczuł, że ma zupełnie mokre dłonie. Z nieporadnym uśmiechem wytarł wolną rękę o spodnie.

- Halo. - Nikły uśmiech zamienił się w ponury, okropny grymas. Morgana znieruchomiała - z jedną ręką opartą na butelce lemoniady, drugą na drzwiach lodówki.

Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Stężałe rysy twarzy. Lodowaty wzrok. Metaliczny głos.

Przeszył ją gwałtowny dreszcz. Mężczyzna, któremu się przygląda, może być niebezpieczny. Nie zostało ani śladu po jego uroku, swobodzie, pogodnym nastroju. Tak jak wyimaginowani bohaterowie jego filmów, ten człowiek mógłby z zimną krwią popełnić zbrodnię. W białych rękawiczkach.

Otrząsnęła się, świadoma, że wyobraźnia poniosła ją za daleko. Tak czy owak człowiek, z którym roz-

mawiał Nash, powinien dziękować losowi, że dzieli ich teraz bezpieczna odległość.

- Leeanne. - Wycedził to imię z lodowatą pogardą. Stare wspomnienia, stare rany, wszystko ożyło, kiedy usłyszał trajkoczący, charakterystyczny głos. Zacisnął zęby. Pozwolił jej mówić, dopóki nie odzyskał pewności, że zapanuje nad swoim głosem. - Przejdźmy do rzeczy, Leeanne. Ile?

Słuchał cierpliwie jej pochlebstw, utyskiwań na życie, pretensji. Pozwolił, żeby przypomniała mu o jego obowiązkach. O poczuciu odpowiedzialności. O jego rodzinie.

- Nie. Nie obchodzi mnie ani trochę. Nie moja wina, że związałaś się z kolejnym nieudacznikiem. - Uśmiechnął się cierpko. - Tak, jasne. Jak pech, to pech. Ile? - powtórzył zniecierpliwionym tonem, nie mrugnawszy nawet powieką, kiedy usłyszał konkretną sumę. Z westchnieniem otworzył szufladę, w której znalazł pomietą kartkę i ogryzek ołówka. - Dokąd je przesłać? - Zapisał coś niedbale. - Tak, zrozumiałem. Jutro. Powiedziałem, że to zrobię, o co ci jeszcze chodzi? Skończmy już, dobrze? Naprawdę nie mam teraz czasu. Oczywiście. Na pewno wiesz, co mówisz.

Kiedy odłożył słuchawkę, z jego ust wydobył się potok przekleństw. Dopiero wtedy zauważył Morgane. Zapomniał o niej na śmierć. Odezwała się pierwsza, ale Nash pokręcił głową.

- Idę na spacer - powiedział szorstko i zniknął za drzwiami.

Morgana postawiła na blacie butelkę. Ktokolwiek to był, pomyślała, udało mu się wyprowadzić Nasha z równowagi. Oprócz złości widziała w jego oczach bolesny, zapiekły żal. Nie wiadomo, co gorsze...

W pierwszym odruchu chciała pobiec za nim od razu, ale szybko się zreflektowała. Człowiek w tym stanie potrzebuje chwili samotności.

Wielkimi krokami szedł przez ogród, który - za ledwie godzinę temu - pielił i porządkował z taką przyjemnością. Teraz o nim nie myślał. Nie zauważył pnących się do słońca kwiatów ani skoszonego trawnika. Zupełnie bezwiednie zmierzał do usypiska skał, które oddzielały jego posiadłość od zatoki.

Nawet w tej chwili, wyprostowany, z rękami w kieszeniach, wyglądał na spokojnego, zadowolonego z siebie człowieka, któremu do szczęścia mogło brakować jedynie gwiazdki z nieba. I coś w tym było... Ale bardzo często, może zbyt często, tracił nad sobą panowanie, ogarniała go pasja, rozsądek ustępował miejsca szaleństwu.

Usiadł na skale, z twarzą odwróconą ku morzu. W takim stanie duszy godzinami mógłby patrzeć na mewy, przypływające i odpływające fale, na sunące po zatoce żaglówki. I czekać na ukojenie.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Dzięki Bogu - to jedyne słowa, które przychodziły mu do głowy. Dzięki Bogu nie zaczął rozmawiać z Morgana o swoich uczuciach. Wystarczył jeden telefon. Widmo przeszłości, które przypomniało mu, że w jego życiu nie ma miejsca na miłość. A tak niewiele brakowało. Powiedziałyby, że ją kocha. Może nawet... zaczęliby snuć jakieś plany.

Wtedy on, swoim zwyczajem, wszystko by zniweczył. Skłonność do niszczenia kolejnych związków musiał odziedziczyć po przodkach.

Otwierał i zamykał dłonie, rytmicznie, na próżno starając się odzyskać spokój. Leeanne... Wybuchnął gorzkim, urywanym śmiechem. Kiedy dostanie pie-

niądze, zniknie na jakiś czas z jego życia. Tak jak zawsze. Nie będzie go niepokoiła, póki nie wyda całej forsy.

Potem historia się powtórzy. Będzie się powtarzała do końca życia.

- Pięknie tutaj - powiedziała cicho Morgana, stąpawszy za jego plecami.

Nie drgnął nawet, tylko ciężko westchnął. Obawiał się, że przyjdzie. I spodziewał się, że będzie oczekiwać od niego jakichś wyjaśnień.

Zastanawiał się, do jakiego stopnia mógłby popisać się przed Morganą twórczą inwencją. Czy opowiedzieć jej o kochance, którą porzucił dawno temu, która nie przyjmuje tego do wiadomości, wyłudza od niego pieniądze i prześladuje telefonami? A może coś zabawniejszego... Na przykład historyjka o szantażującej go żonie wielkiego mafiosa, z którą, nieświadomy konsekwencji, przeżył krótki, burzliwy romans. Niezłe...

Mógł też odwołać się do jej współczucia: Leeanne jest wdową po jego najlepszym przyjacielu. Pomógł jej, kiedy została bez środków do życia, ale ona, niestety, bardzo się przywiązała do tej pomocy i teraz nie daje mu spokoju.

A niech to! Mógłby jej nawet opowiedzieć, że był to telefon w sprawie jakiejś fundacji dobroczynnej. Wszystko jedno. Cokolwiek, byle nie gorzką prawdę.

Usiadła na sąsiedniej skale i dotknęła jego ramienia. O nic nie zapytała. Nic nie mówiła. Patrzyła, tak jak on, na zatokę. Cierpliwa. Pachnąca nocą i różami.

Czuł neodpartą potrzebę dotknięcia jej. Chciał się odwrócić, przytulić twarz do jej piersi. Czekać w jej objęciach, aż wyparuje z niego cała ta trująca, bezsilna złość.

Wiedział przecież, że nie będzie kłamać. Morgana

nie uwierzyłaby w żaden, najzgrabniejszy nawet, wykręt. Mógł jej powiedzieć jedynie prawdę.

- Lubię to miejsce - powiedział zwyczajnie, jakby od ostatniego słowa Morgany wcale nie minęło tych kilka bardzo długich minut. - W Los Angeles, z okna mojego mieszkania, zaglądałem w okna innych mieszkań. I pomyśleć, że nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak strasznie się duszę. Póki nie przyjechałem tutaj.

- Każdy od czasu do czasu czuje, że się dusi. Bez względu na to, gdzie mieszka. - Położyła rękę na jego udzie. - Kiedy mnie się to zdarza, jadę do Irlandii. Spaceruję po pustej plaży i myślę o wszystkich ludziach, którzy robili to samo przede mną, i o tych, którzy będą chodzić po moich śladach. Wtedy sobie przypominam, że nic nie trwa wiecznie. I dobre, i złe rzeczy - wszystko przemija, ulatuje, przenosi się w inny wymiar.

- Wszystko się zmienia, nic nie ginie... - wymamrotał do siebie.

- Właśnie. - Dopiero teraz się uśmiechnęła. - I tak jest dobrze, nie sądzisz? - Ujęła w dłonie jego twarz. - Nash, porozmawiaj ze mną. Może nie będę umiała ci pomóc, ale...

- Naprawdę nie ma o czym mówić.

Jej jasne, łagodne oczy zaszyły mgłą. Nash przeklął w duchu siebie i swoje głupie, raniące słowa.

- Zapraszasz mnie do łóżka, ale wara od twoich myśli, prawda?

- Boże świąty! Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. - Nie miał najmniejszego zamiaru obnażać się, odsłaniać zakamarków swojej duszy, które nie nadawały się do pokazywania. Już dawno postanowił, że nikt go do tego nie zmusi.

- Rozumiem. - Jej ręce opadły bezwładnie na kolana. Nagle przez głowę przemknęła jej myśl, że mogłaby mu pomóc... bez słów. Nie pytając o zgodę. Jednym prostym zaklęciem uspokoić nerwy. Nie. To nie byłoby w porządku. Nie byłoby prawdziwe. Gdyby zaczęła używać czarów do manipulowania uczuciami, oboje, prędzej czy później, czuliby się zranieni. - Dobrze - powiedziała półszepem. - W takim razie wracam do nagietek.

Wstała. Żadnych pretensji, żadnych gniewnych słów. Właściwie wolałby usłyszeć jej wybuch niż takie chłodne „dobrze”. Chwycił jej rękę, kiedy zbierała się do odejścia. Na jego twarzy malowała się udręka, ale Morgana milczała.

- Leeanne jest moją matką.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jego matka.

Przypomniała sobie lodowaty ton, jakim wymówił jej imię. Skamieniałe rysy twarzy. A przecież nic nie mogło zmienić faktu, że kobieta, z którą rozmawiał, jest jego matka.

Jaka tragedia, jakie winy mogą sprawić, że dorosły człowiek czuje odrazę i niechęć do kobiety, której zawdzięcza życie?

Tym człowiekiem był Nash. Żeby zrozumieć - żeby chociaż spróbować go zrozumieć - musiała oderwać się od swoich doświadczeń, sielskiego dzieciństwa, od wszystkich cudownych wspomnień związanych z rodziną. Musiała myśleć tylko o Nashu. Wyobrazić sobie, co czuł. Wpatrywała się w jego nieruchomą twarz, szukając jakiegoś śladu odpowiedzi.

Ból. W czasie tamtej nieszczęsnej rozmowy jego głos przepełniony był złością i bólem. Teraz widziała to samo w jego oczach. Zniknęła arogancja, pewność siebie, swoboda. Współczuła mu całym sercem, ale nie umiała go pocieszyć. Żałowała, że nie ma talentu Anastazji. Tylko ona by potrafiła.

Nie wypuszczając z dłoni jego ręki, usiadła z powrotem na skale.

- Opowiedz mi.

Od czego powinien zacząć? W jaki sposób ma wytłumaczyć Morganie wszystko to, czego nie potrafił wytłumaczyć samemu sobie? Przez tyle lat.

Spojrzał na jej palce splecione kurczowo z jego palcami. Od początku ofiarowywała mu wsparcie, ale jeszcze wczoraj do głowy by mu nie przyszło, że będzie potrzebował jej pomocy.

Uczucia, które uparcie w sobie dusił i których nie chciał z nikim dzielić, musiały wreszcie kiedyś dojść do głosu.

- Żeby zrozumieć cokolwiek, musiałabyś znać moją babkę, która była... - szukał odpowiednio delikatnego określenia - despotką. Wszyscy musieli tańczyć, jak ona zagra. O tolerancji lepiej nie mówić - w jej domu nie używało się tego słowa. Owdowiała, kiedy Leeanne miała jakieś dziesięć lat. Mój dziadek był właścicielem dobrze prosperującej firmy ubezpieczeniowej, więc, jak się domyślasz, bieda jej nie groziła, ale babunia do końca życia skąpiła grosza sobie i dzieciom. Krótko mówiąc, należała do tego nieszczęsnego gatunku ludzi, którzy nie potrafią korzystać z życia. I nie znosiła ludzi, którzy tę umiejętność posiadali.

Przez kilka sekund napiętej ciszy wpatrywali się w mewy szybujące nad wodą. Nash poruszył nerwowo palcami, ale Morgana nie odezwała się. Czekąca cierpliwie.

- Gdyby spojrzeć na to z drugiej strony, można by powiedzieć, że to smutna, wzruszająca do łez historia. Wdowa wychowująca samotnie dwie córki. Tylko, widzisz, ona kochała swoje brzemię. Dźwigała ten krzyż z masochistyczną przyjemnością. Dumna wdowa Kirkland, tolerująca wyłącznie własne towarzystwo. Wyobrażam sobie, jaka była czuła dla córek, jak je ćwiczyła wpajając surowe zasady, strasząc ogniem piekielnym za nieskromne myśli. Domyślasz się, jak wyglądało ich wychowanie seksualne? Ale

przeliczyła się. Z Leeanne jej nie wyszło. Zaszła w ciążę, zanim skończyła siedemnaście lat - nie wiedząc nawet, komu ją zawdzięcza...

- Masz do niej żal?

- O to? Nie. Nie o to. Starsza pani na pewno się postarała, żeby urządzić swojej zepsutej córce piekło na ziemi. Ale przecież zależy, jak na to spojrzymy. Ktoś by powiedział, że Leeanne była biedną, samotną dziewczyną, ukaraną bezlitośnie za jeden grzech młodości. A można podejść do sprawy inaczej. Moja babka, święta męczennica, przygarnęła córkę marnotrawną, zamiast wyrzucić ją z domu. Moim skromnym zdaniem, obie były siebie warte. Skrajne egoistki, nie widzące świata poza własnym nosem.

- Nash, ona miała tylko siedemnaście lat - powiedziała cicho Morgana.

- I co z tego?! - Gniew wykrzywił mu usta. - Czy dlatego, że miała tylko siedemnaście lat, miała prawo puszczać się z tyloma facetami? Nawet się nie domyślała, biedactwo, który jej zrobił dziecko! Miała tylko siedemnaście lat, więc powinienem ją rozgrzeszyć z tego, że zostawiła mnie na wychowanie tej starej, zgorzkniałej jędry. Że uciekła bez słowa w kilka dni po porodzie i nie odezwała się, nie zadzwoniła nawet, przez dwadzieścia sześć lat.

Morgana milczała ze ściśniętym sercem, przerażona, bezradna wobec jego rozpaczki. Chciała go po prostu objąć, przeczekać najgorsze, ale kiedy wyciągnęła rękę, Nash odsunął się gwałtownie i wstał.

- Muszę się przejść.

Podjęła decyzję natychmiast. Mogła pozwolić mu odejść, żeby sam uporał się z własnym bólem, albo dzielić z nim ten koszmar, słuchając dalej.

- Tak mi przykro, Nash. - Była przy jego boku, zanim zrobił trzy kroki.

- To mnie jest przykro. - Potrząsnął rozpaczliwie głową. - Nie powinienem cię w to wciągać... Oповідаć horrorów.

- Mówisz głupstwa. - Musnęła dłonią jego policzek. - Nie boję się horrorów. Chcę wiedzieć...

- Mieszkałem u babki do piątego roku życia. Potem moja ciotka, Carolyn, wyszła za męża. On był zawodowym żołnierzem, więc przez kilka dobrych lat włóczyłem się z nimi po całych Stanach, od bazy do bazy. Nie znosiłem go. Brutalny cham - tolerował mnie z konieczności. Kiedy upijał się i wrzeszczał, że wyrzuci mnie na zbity pysk, Carolyn wpadała w histerię i jakoś rozchodziło się po kościach. Do następnego razu.

Była w stanie to sobie wyobrazić. Mały chłopiec żyjący w pustce. Przewraczany z kąta w kąt przez wszystkich, nie kochany przez nikogo.

- Nienawidziłeś tego życia.

- Tak, trafiłaś w sedno. Nie wiem dokładnie dlaczego, ale nienawidziłem. Kiedy myślę o nich dzisiaj - moich dobroczyńcach - dochodzę do wniosku, że Carolyn była równie niestała jak Leeanne. Na swój sposób. Czasami rzucała się na mnie z pieścizotami, byłem jej „kochanym chłopcem”, a za pięć minut traktowała mnie jak powietrze. Jakoś długo nie mogła zająć w ciążę, ale kiedy skończyłem osiem lat, stało się. Ciotka upewniła się, że będzie mieć własne dziecko i z radości odesłała mnie z powrotem do babki. Nie potrzebowała już substytutu.

Morgana miała ochotę wyć, płakać ze złości. Czuła tę samą nienawiść, o jakiej mówił Nash. Widziała tamto dziecko. Bezbronne, przerzucane

z rąk do rąk przez ludzi, którzy nie mieli pojęcia o miłości.

- Czy wiesz, że ona nigdy nie spojrzała na mnie jak na człowieka? Widziała we mnie pomyłkę. I to było najgorsze ze wszystkiego - powiedział szeptem, jakby tylko do siebie. - Sposób, w jaki wbijała mi tę prawdę do głowy. Musiałem zapamiętać, że każdy oddech, każde uderzenie serca zawdzięczam tylko temu, że pewna lekkomyślna, zbuntowana dziewczyna popełniła błąd.

- Nie miała racji. Wiesz o tym - powiedziała Morgana głośno.

- Tak, być może nie miała. Ale takie rzeczy zapamiętuje się na całe życie. Koszmary rosną razem z człowiekiem, olbrzymieją. Sporo się też nasłuchiłem o grzechach ojca, o piekle cielesnych pokus... Jej zdaniem byłem leniwy, krnąbrny i złośliwy. - Odwrócił się do Morgany z cierpkim uśmiechem. - Nie spodziewała się po mnie niczego lepszego, wiedząc, w jaki sposób zostałem poczęty.

- Straszna kobieta - warknęła Morgana. - Nie zasługiwała na ciebie.

- Chętnie by się zgodziła z tym drugim stwierdzeniem. Bez przerwy dawała mi do zrozumienia, że powinienem być jej dozgonnie wdzięczny: za dach nad głową i za to, że nie przymieram głodem. Nic z tego. Zamiast okazywać babuni wdzięczność, coraz częściej uciekałem z domu. W dwunastym roku życia przeszedłem na wikt państwowy. Zacząłem zwiedzać sierocińce. - Przerwał na chwilę, żeby uspokoić oddech. - Niektóre były w zupełnie przyzwoite. Przygarniały dzieciaków z otwartymi ramionami. Opiekunki traktowały nas jak własne dzieci. Ale były też płatne przechowalnie, w których z radością przyjmowano wyła-

cznie miesięczne czeki. Czasami komuś dopisywało szczęście i lądował w normalnym domu. Mnie się kiedyś udało pojechać na Boże Narodzenie do takiej prawdziwej rodziny... - W jego głosie pojawiła się ciepła nuta. - Nazywali się Hendersonowie. Byli niesamowici. Fantastyczni. Traktowali mnie na równi z własnymi dziećmi. Ciągłe piekli jakieś ciasto - jeszcze dzisiaj czuję ten zapach. Pamiętam wielką choinkę. I te wszystkie prezenty, w kolorowych opakowaniach, ze wstążeczkami. Dostałem od nich rower - powiedział cicho. - Pan Henderson kupił używany. Oddał do naprawy, a potem sam pomalował na czerwono i wypolerował chromowane części. Wyglądał niesamowicie, tylko że ja, dwunastoletni prawie koń, nie umiałem na nim jeździć. Nigdy przedtem nie miałem roweru. No więc... gapiłem się na to cudo, czerwony ze wstydu, jakby to był co najmniej harley. Zresztą nie widziałem wtedy specjalnej różnicy między rowerem a motorem.

- Ale to chyba żaden wstyd, jeżeli...

- Widać, że nigdy nie byłaś jedenastoletnim chłopcem. Wstydziłem się cholernie i wykręcałem jak piskorz, byle tylko nie zacząć jeździć. Najpierw skręciłem sobie nogę w kostce, potem zbierało się na deszcz... Byłem już wtedy niezłym cwaniakiem, ale pani Henderson przejrzała mnie na wylot. Pewnego dnia obudziła mnie o świcie - kiedy cały dom jeszcze spał - i zarządziła lekcję. Biegła obok roweru i trzymała siodełko. Rozśmieszała mnie, kiedy wykładałem się na ziemię. A kiedy w końcu przejechałem samodzielnie kilka metrów po chodniku, rozpłakała się. Przedtem nikt, nigdy...

- Cudowni ludzie. - Morgana pomogła Nashowi ukryć wzruszenie, chociaż łyzy paliły jej gardło.

- Owszem. Spędziłem u nich pół roku. Sześć najpiękniejszych miesięcy mojego życia. Niestety. Jak tylko zaczynałem się gdzieś dobrze czuć, moja babka wyczuwała to na odległość, podnosiła rwetes i ściągała mnie z powrotem. Nie pozostało mi nic innego, jak liczyć dni do skończenia osiemnastu lat. Nie mogłem wprost doczekać się chwili, kiedy nikt nie będzie mi rozkazywał.

- Co zrobiłeś, kiedy ta chwila nadeszła?

- Musiałem z czegoś żyć, więc chwytalem się różnych zajęć. - Po raz pierwszy, od rozmowy z Leeanne, Nash uśmiechnął się. - Byłem nawet agentem ubezpieczeniowym. Dość krótko.

- Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić...

- Ja też nie mogłem. No i długo nie wytrzymałem. Właściwie powinienem podziękować starej jędzy za to, co robię dzisiaj. Jak tylko zauważyła, że coś grzmole, grzmociła mnie na oślep.

- Słucham? - Była pewna, że czegoś nie zrozumiała. - Biła cię za pisanie?

- No cóż, święta kobieta nie znajdowała moralnego posłania w historyjkach o wampirach - powiedział drewnianym głosem. - A im gorliwiej mnie do tego grzesznego zajęcia zniechęcała, tym bardziej się przykładałem. Pojechałem do Los Angeles, gdzie udało mi się wyzembrać najgorzej płatną pracę w wytwórni. Zaczynałem od robota w ekipie technicznej, potem terminowałem u scenarzystów, poznałem właściwych ludzi. W końcu udało mi się sprzedać pierwszy scenariusz. W czasie kręcenia „Szamana” babka umarła. Nie pojechałem na pogrzeb.

- Chyba nie sądzisz, że wytknę ci nieczułość...

- Nie wiem, co sądzić - mruknął. Zatrzymał się przy kępie cyprysów i odwrócił do niej twarzą. -

Miałem dwadzieścia sześć lat, a mój film stał się wydarzeniem sezonu. Wyobrażasz sobie? Złapałem wiatr w żagle. Następny scenariusz dostał nominację do Złotego Globusa. Płynę na tej fali do dzisiaj, prawdziwe dziecko szczęścia... Gdyby nie to, że od czasu do czasu odzywają się duchy z przeszłości. Pierwsza zadzwoniła moja ciotka. Poprosiła o czek, który wyciągnąłby ją z tarapatów. Jej mąż nigdy nie miał szansy na awans ponad sierżanta, a ona musiała troje swoich dzieci posłać do college'u. Potem Leeanne.

- Zadzwoniła.

- Otóż nie. Pewnego dnia zapukała do moich drzwi. Byłoby to nawet śmieszne, gdyby nie było tak ponure. Obca kobieta, z okropnym, pretensjonalnym makijażem, odwiedza mnie niespodziewanie i oświadcza, że jest moją matką. Nawet nie mogłem jej nie uwierzyć, bo... zobaczyłem w niej siebie. Stała tak, opowiadając smutną historię swojego życia, a ja miałem ochotę zatrzaskać jej drzwi przed nosem. Okazało się, że jestem jej coś winien. Usłyszałem, że to ja - swoim przyjściem na świat - pokrzyżowałem jej cholernie ambitne plany. Wreszcie przeszła do sedna. Rozwiodła się po raz drugi i została bez grosza na dalsze obiecujące życie. Wypisałem czek i posłałem ją do wszystkich diabłów.

Zmęczony, usiadł na ziemi, oparł się plecami o pień drzewa i zamknął oczy. Morgana uklękła przed nim.

- Nash, dlaczego dałeś jej te pieniądze?

- Bo chciała tylko pieniędzy. Zresztą nie miałbym dla niej niczego innego. Forsa wystarczyła jej na rok. Potem dzwoniła jeszcze ciotka i jedna z kuzynek. - Zaciśniętą w pięść dłońią uderzył w kolano.

- Minie kilka miesięcy, życie będzie mi się wydawało coraz piękniejsze... aż do następnego telefonu. One nigdy nie pozwolą mi zapomnieć, skąd się wziąłem. Ale jeżeli za kilka tysięcy dolarów mogę kupić chociaż chwilowy spokój, to i tak nie jest to wygórowana cena.

Oczy Morgany płonęły oburzeniem.

- Nash, one nie mają prawa! Nie mają prawa rozszarpywać cię na strzępy.

- Mam mnóstwo pieniędzy.

- Nie mówię o dolarach, tylko o tobie.

- Przypominają mi po prostu, kim i czym jestem.

- Nawet cię nie znają - syknęła z furją.

- Nie. Ja też ich nie znam. Ale jakie to ma znaczenie? Morgano, doskonale wiesz, czym jest klan, spuścizna pokoleń, wspólna krew. Wiesz, ile od tego zależy. Ty odziedziczyłeś po przodkach magię, a ja egoizm.

- Nie. - Pokręciła głową. - Dziedziczymy talenty, które możemy rozwijać, albo zaprzepaścić. Tak samo jest z wadami. Zawsze mamy wybór. W niczym nie przypominasz ludzi, o których mi opowiedziałeś. W niczym!

Nash wyprostował się i zacisnął palce na ramionach Morgany.

- W większym stopniu, niż sądzisz. Ja dokonałem już wyboru. Przestałem uciekać, bo przekonałem się, że nie można uciec przed samym sobą. Wszystkie ucieczki prowadziły mnie donikąd. Ale wiem przynajmniej, kim jestem. Facetem, który najlepiej sobie radzi w samotności. Póki żyję na własny rachunek, nikomu nie zagrażam. Rodzina Hendersonów to nie moja przyszłość. Nawet o tym nie myślę. Po prostu nie chcę. Będę wypisywał kolejne czek, potem za-

mykał się w swojej bezpiecznej skorupie, gdzie zawsze jestem sobą. Takie wybrałem życie. Bez obowiązków, stałych więzów. Bez ryzyka.

Nie miała zamiaru go nawracać. Nie w takiej chwili - kiedy kipiała w nim złość i uraza. Później przekona go, jak bardzo się mylił. Mężczyzna, który patrzył na nią takim zapiekłym wzrokiem, potrafił być czuły i hojny. Delikatny. Mimo że nikt go czułością nie darzył, niczego nie uczył... Sam odkrywał swój lepszy świat.

Wiedziała, że może mu coś ofiarować. Chciała o niego walczyć, choćby mieli przeżyć tylko chwilę szczęścia.

- Nie musisz mi tłumaczyć, kim jesteś. - Dotknęła jego policzka. - Sama wiem. Nie bój się. Nie poproszę cię o nic, czego nie mógłbyś mi dać. I na pewno nie wezmę tego, czego dać mi nie zechcesz. - Sięgnęła po swój amulet, zacisnęła na nim rękę Nasha, a potem przykryła ją własną dłonią. Jej oczy pociemniały. - To przysięga.

Zbity nieco z tropu, Nash spuścił głowę. Zobaczył, że metal w jego dłoni iskrzy się dziwnym, pulsującym światłem.

- Ja nie...

- Chciałabym, żebyś przyjął to, co na pewno mogę ci ofiarować. Zaufasz mi?

Owładnęło nim uczucie lekkości i chłodu. Napięte mięśnie rozluźniły się, bezwładne powieki przysłoniły oczy. Usłyszał jeszcze wymówione przez siebie jej imię - jakby z dalekiej odległości - i zapadł w sen.

Obudziły go promienie jaskrawego słońca. Usłyszał śpiew ptaków, plusk wody uderzającej o skały... Podniósł się gwałtownie, otwierając oczy.

Siedział na rozległej, ukwieconej polanie. Powiódł wzrokiem za najpiękniejszym motylem, jakiego wi-

dział w życiu... Oniemiał z wrażenia. Łania o wielkich, łagodnych oczach przyglądała mu się z odległości kilku kroków. Roześmiała się niepewnie i podniósł.

Patrzył w zachwycie na falującą trawę i kwiaty. Rozłożył szeroko ręce. Zaczął obracać się w koło, coraz szybciej, nie wierząc własnym oczom. Bajeczna łąka sięgała aż po horyzont, a ponad nim był tylko błękit wiosennego nieba.

Nash poczuł, jak wreszcie spływa na niego upragniony spokój.

Usłyszał muzykę. Dźwięki harfy, które poraziły go swoim pięknem. Ruszył przed siebie jak lunatyk, z sennym uśmiechem na twarzy. Przedzierając się przez gęstą trawę, dotykał palcami kwiatów, czasami musnął skrzydło spłoszonego motyla.

Znalazł ją nad brzegiem strumyka. W białej sukni do kostek, kapeluszu z szerokim rondem, który ocieniał połowę jej twarzy. Na kolanach trzymała małą, złotą harfę. Nie przerywając gry, odwróciła do niego głowę. Uśmiechnęła się zagadkowo.

- Co tutaj robisz? - spytał.
- Czekam na ciebie. Odpocząłeś trochę?

Przyklęknął przed nią, powoli uniósł rękę i dotknął jej ramienia. A więc nie była zjawą... Czuł ciepło jej skóry, delikatny oddech.

- Morgana?
- Nash? - szepnęła z czułą drwiną.
- Gdzie jesteśmy?
- We śnie. Twoim i moim. - Odłożyła na bok harfę i ujęła w dłonie jego ręce. - Jeżeli podoba ci się to miejsce, możemy na chwilę zostać. Jeżeli wolisz być gdzie indziej, przeniesiemy się tam, gdzie zechcesz.

- Dlaczego?

- Bo ci to potrzebne. - Musnęła wargami jego rękę. - Dlatego, że cię kocham.

Ani cienia paniki... Słowa, których nie lubił - których się bał - zachwyciły go swoim brzmieniem. Przepęłniły radością serce. Uśmiechnął się.

- Czy to się dzieje na jawie?

- Jeżeli chcesz, żeby tak było... Jeżeli mnie pragniesz.

Powoli zsuwał z jej głowy kapelusz, patrząc zuroczony, jak czarne włosy rozsypują się po ramionach i plecach.

- Morgano, czy ja śnię? Czy zostałem zaczarowany?

- Nie bardziej niż ja, kochany. - Ujęła w rękę jego głowę, potem przyciągnęła do siebie gwałtownie, jakby bojąc się, że czar pryśnie. - Nash, tak bardzo cię pragnę - szeptała, dotykając jego ust. - Kochaj się ze mną... Tutaj, w tej chwili. Tak jakby to był nasz pierwszy i ostatni raz. Jedyne raz...

Czy mógł się jej oprzeć? Skoro to sen... Niech będzie, co chce.

Znalazł się poza miejscem i czasem. Donikąd się nie spieszył, rozkoszował się każdą chwilą, odczuwał wyraźniej każdy zapach i każdy dotyk. Gdyby wiedział, jakie to proste, myślała Morgana. Tak niepodobni jedno do drugiego, śnili teraz wspólny sen. Przez godzinę, albo dwie, będą należeć do siebie bez reszty. Wszystko będzie możliwe.

Uniósł się na łokciach. Opuszkami palców błędził po jej policzkach, linii nosa i brody, jakby od nowa poznając rysy twarzy.

- Chcę się obudzić - powiedział. - Chcę, żeby to się działo naprawdę.

- Wszystko *zależy* od ciebie. Cokolwiek postanowisz stąd zabrać, będzie nasze na zawsze. Najprawdziwsze.

Rozwiązał pasek jej sukni, zsuwał z ramion cienką tkaninę, rozpoznając dłońmi upragnione kształty. Po chwili na trawie leżało ich porzucone ubranie, a delikatne promienie światła igrały po złocistej skórze Morgany. Wszystko było realne. Kiedy przykrył ją swoim ciałem, przysięgłby, że ich serca biją naprawdę - szybkim, niespokojnym rytmem.

Objął ją mocno i schował twarz w jej włosach.

Wyprężyła się i cichym pomrukiem zadowolenia przywitała ciepłe, zachłanne wargi, przesuwające się od piersi do brzucha, coraz niżej. Poczowała szorstkie policzki między udami, usta pieścące ją coraz żarliwiej.

Krew napłynęła jej do twarzy. Pocałunki Nasha parzyły, przyprowadzały ją o zawrót głowy, oszałamiały.

- Nash, jak to... - szepnęła niskim, łamiącym się głosem.

- Magia, kochanie. Przecież wiesz...

- Och, Nash, kochaj mnie - błagała.

Zaśmiał się cicho i pocałował ją w usta. Potem spojrzał na nią, jakby czekając na odpowiedź. Dygotała spragniona, błędziła palcami nieprzytomnie po jego plecach, poruszała się pod nim prosząco.

Zwlekał nadal, chociaż czuł, że zbliża się do granic wytrzymałości. Jej gotowość, jej giętkie ciało, wszystko go rozpałało.

Smak jej skóry. Miód i płatki róży. Zamglone oczy. Wszystko, co było Morgana, wzmagało jego pożądanie.

- Kochaj mnie, Nash.

Gładził ją delikatnie, a kiedy w końcu ułożył wygodnie pod sobą, westchnęła z ulgą. Zadowolona

z jego rytmu, odpowiadała mu nieznacznymi ruchami bioder, witając kolejne fale przypływu. Oddychała coraz szybciej.

- Nash!

- Cicho, kochanie... Nie myśl o niczym... To nasz sen... Twoje zaklęcie.

Morgana zamarła na moment, wpiła się palcami w jego ramiona, otwierając szeroko oczy. Jej ciało przeszył dreszcz, który załamał się w połowie i przemienił w błogie uczucie spełnienia.

Bardzo pragnął, żeby to trwało, żeby krzyczała z rozkoszy i nigdy nie zapomniała tej chwili.

Nagle jego twarz zastygła w bolesnym uśmiechu. Opadł nią bez tchu, w wyciągnięte ramiona.

Ukojony biciem jej serca, zamknął oczy. Powrócił świat, który na krótką chwilę przestał istnieć. Poczł słońce grzejące go prosto w plecy, zapach polnych kwiatów, usłyszał śpiew ptaków.

Morgana westchnęła i położyła ręce na jego głowie. Pomogła odzyskać mu spokój. Przeżyła chwilę rozkoszy. I złamała swoją żelazną zasadę... Wpłynęła na jego uczucia, wykorzystując magię.

Może i popełniła błąd, ale nie żałowała.

- Morgano... - mruknął przeciągle, wtulając się w jej piersi.

- Śpij - powiedziała z uśmiechem, jeszcze pewniejsza, że nigdy tego nie pożałuje.

Wyciągnął do niej rękę, ale łóżko okazało się puste. Nieprzytomny, z trudem otworzył oczy. Spał w swoim domu, we własnym pokoju... Przez uchylone, nie zasłonięte okna wkradał się świt.

- Morgano? - Sam nie wiedział, po co wymówił jej imię.

Sen? Odsunął gwałtownie prześcieradło i wyskoczył z łóżka. Nawet jeśli to był sen, to jeszcze nigdy, na jawie, nie przeżywał niczego tak mocno.

Stanął w otwartym oknie, żeby odetchnąć chłodnym powietrzem.

Kochali się... jak szaleńcy - na łące koło strumyka.

Nie, to niemożliwe. Siedzieli pod drzewem, rozmawiając o... Tak, to pamiętał wyraźnie.

Uderzył głową o framugę okna. Opowiedział jej całe swoje zakichane dzieciństwo. Wywłókł wszystkie rodzinne brudy. Dlaczego? Po jaką cholere?

Przeklęty telefon. Przypomniał sobie jednak, że to właśnie rozmowa z Leanne powstrzymała go od popełnienia jeszcze większego głupstwa.

Bardzo dobrze. Teraz przynajmniej wszystko jest jasne. Morgana nie powinna mieć już żadnych złudzeń.

Ale co się stało później? Po tym, jak rozmawiali pod drzewem... Zasnął? Tak po prostu?

Jeżeli tak, to najpiękniejsze było snem. Niemożliwe. Czuł jeszcze zapach tamtych kwiatów. Pamiętał każdy szczegół... Pamiętał dokładnie, co czuł. Kiedy leżał na trawie obok kobiety, którą kocha - wydało mu, że całe jego życie prowadziło do tamtej chwili szczęścia.

Mary. Urojenia. Zasnął pod drzewem i koniec.

W takim razie... skąd, do diabła, wziął się w swoim pokoju, sam, w środku nocy? Dlaczego jej tu nie ma?

Mogła go tu przyprowadzić. Podnieść na wpół śpiącego, przyciągnąć do łóżka i zostawić.

Brzydko. Nie upiecze jej się ten numer... Zaczął krążyć nerwowo po pokoju.

Przypomniał sobie tamtą ciszę. Cudowny spokój ducha, kiedy obudził się na łące, a potem szedł przez trawę i zobaczył ją - grającą na harfie, uśmiechniętą.

Zapytał, dlaczego, a ona odpowiedziała, że...

Powiedziała, że go kocha.

Ścisnął rękami skronie. Może to urojenia? Chora wyobraźnia? Może wymyślił to wszystko, od początku do końca, łącznie z Morganą. Może przyśnił mu się sen jego życia - a teraz obudził się w swoim dawnym mieszkaniu w Los Angeles?

Przecież nie wierzy w czarownice ani w zaklęcia. Mimowolnym ruchem zacisnął dłoń na amulecie...

Jasne, że nie wierzy. Koń by się uśmieł.

Morgana istniała naprawdę. Podarowała mu kamień. Kocha go. Najgorsze, że on także ją kocha.

Czyste szaleństwo. Nie chciał tego. Nie pragnął żadnej miłości. Ale stało się. Zakochał się nieprzytomnie. Myślał o niej dzień i noc. Pożądał obsesyjnie. Marzył w cichości ducha, że może... może miłoby to sens. Gdyby spróbował...

Absurd. Gdzie się podziały resztki jego rozsądku?

Zaślepienie. Nareszcie właściwe słowo. Jest zaślepiiony, zgoda, ale co to ma wspólnego z miłością?

A jeżeli jednak? Może miłość od zaślepienia dzieli długa, ale całkiem bezpieczna droga? Czy życie w zaślepieniu, z taką kobietą jak Morgana, nie byłoby piękne? Czy trzeba chcieć więcej?

Znów zaczyna fantazjować. O czym on, do diabła, myśli?

O niej. Bez przerwy i tylko o niej.

Powinien zafundować sobie wakacje. Pojechać gdzieś, jak najdalej, wymazać ją z pamięci.

Łatwo powiedzieć.

Wiedział przecież od początku, czuł przez skórę, że nigdy o niej nie zapomni.

Bo to nie jest zaślepienie, pomyślał zrezygnowany. Ani zadurzenie, ani wyłącznie namiętność. Tylko jedno słowo pasowało do tego, co czuł... Słowo, którego bał się jak ognia.

Miłość. Rozkochała go w sobie...

Ta prosta myśl poraziła go jak piorun. Zrobiła to. Czarownica Morgana rzuciła na niego urok. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Nie chciał się w niej zakochać, opierał się, więc jednym pstryknięciem palców pomogła mu... Zakpiła z niego w okrutny sposób.

Absurd... Niepewny niczego, Nash zmieniał zdanie jeszcze wiele razy, wpadając ze skrajności w skrajność.

Rano, postanowił. Jutro rano stanie oko w oko z czarownicą. Jeżeli naprawdę to zrobiła - zaklęcie przestanie działać. Uwolni się spod jej uroku, albo nie nazywa się Nash Kirkland... Będzie dokładnie tym, kim chce być.

Wolnym człowiekiem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wyrzucała sobie, że w poniedziałek rano nie otworzyła sklepu, ale czuła się fatalnie. Wyczerpana po nie przespanej nocy, słała się na nogach i nie mogła pozbierać myśli. Na szczęście Mindy obiecała, że zwolni się z zajęć przed południem i do końca dnia poradzi sobie sama.

Stało się, myślała w popłochu. Sprawy wymknęły się z jej rąk. Klamka zapadła. Wzdychając ciężko, zaczęła parzyć herbatę. Tak naprawdę, myślała smętnie, nigdy żadne sprawy nie są w naszych rękach do końca... Każda władza jest ograniczona, podporządkowana innym, potężniejszym mocom. Nie powinna była o tym zapominać.

Ale przecież nie zakochała się na własne życzenie! Nie chciała burzy uczuć, cierpień, miłosnych zawodów... Nie marzyła o zmianach w swoim życiu.

Oczywiście, z każdej sytuacji są przynajmniej dwa wyjścia... Nie. Ona już wybrała.

Sięgnąwszy po dzbanek z herbatą, usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Zrezygnowana, wyjęła jeszcze dwie filiżanki.

- Morgano! - Anastazja weszła pierwsza. - Wiesz? - Anastazja zwróciła się do Sebastiana. - Mówiłam ci, że coś jest nie tak.

- Ależ wszystko w porządku... - Morgana pocałowała kuzynkę w policzek.

- Tak też myślałem - powiedział z uśmiechem

Sebastian. - Tłumaczyłem Anie, że masz po prostu zły humor. Ale wysyłałaś takie sygnały, że umarłego podniosłyby z łóżka.

- Przepraszam. - Morgana podała mu filiżankę.

- Widocznie tęskniłam za waszym towarzystwem.

- Przecież widzę, jak się czujesz. - Anastazja nie dawała za wygraną.

- A jak można wyglądać po nie przespanej nocy...

Sebastian sączył spokojnie herbatę. Od razu zauważył jej blade policzki i podkrążone oczy, ale dostrzegł też coś gorszego - coś, co Morgana bardzo starała się ukryć. A on uwielbiał potyczki ze swoją impulsywną kuzynką.

- Zakłócenia w raju - powiedział oschle.

- Dziękuję za diagnozę, ale sama sobie poradzę z osobistymi kłopotami.

- Sebastianie - Anastazja pogroziła mu palcem - przestań ją drażnić. Pokłóciłaś się z Nashem, Morgano?

- Nie. - Opadła bezwładnie na krzesło. - Ale martwię się o niego. Dowiedziałam się o nim takich rzeczy... O jego rodzinie.

Opowiedziała im wszystko - począwszy od telefonu Leeanne, a skończywszy na rozmowie pod cyprysem. To, co się wydarzyło później, należało tylko do niej i Nasha.

- Biedny chłopiec - mruknęła Anastazja. - Od dziecka nie chciany i nie kochany...

- Tacy chłopcy wyrastają ma mężczyzn, którzy nie potrafią kochać - powiedziała smętnie Morgana.

- Czy można go winić za to, że teraz nie ufa swoim uczuciom?

- Ale ty to robisz. - Sebastian piorunował ją wzrokiem czekając, aż się podda.

- Nie winię go... - Morgana opuściła głowę. - Ale to boli. Nie wiem, jak mam kochać człowieka, który nie umie albo nie chce mojej miłości odwzajemnić.

- Kochanie, on potrzebuje trochę czasu - powiedziała miękko Ana.

- Wiem. Dlatego zastanawiam się, jak długo potrafię czekać. Złożyłam przysięgę... Że wezmę od niego tyle, ile sam mi zechce dać. I dotrzymam jej, choćby... nie wiem co. - Dokończyła zdanie ochryplym, łamiącym się głosem.

Sebastian chwycił jej rękę, a potem zajrzał głęboko w oczy.

- Mój Boże, Morgano. Ty jesteś w ciąży.

Wściekła z powodu wścibstwa kuzyna i własnej słabości, zerwała się na równe nogi, przesywając go wzrokiem.

- Do diabła, Sebastianie! Może byś pozwolił, żeby ja sama składała oświadczenia dotyczące mojego stanu!

- Usiądź - rozkazał. I pewnie sam by ją posadził na krześle, gdyby Anastazja go delikatnie nie odepchnęła.

- Od dawna? - zapytała cicho.

- Od wiosennego zrównania dnia z nocą. Ale dopiero od kilku dni jestem pewna.

- Dobrze się czujesz? - Zanim Morgana otworzyła usta, Ana położyła dłoń na jej brzuchu. - Pozwól mi... - Odnalazła puls matki i nowe, śpiące, bardzo młode życie. Uśmiechnęła się promiennie. - Wszystko w porządku. Z dzieckiem i z tobą.

- Tylko rano jestem strasznie ospała. - Morgana pogładziła Anę po ramieniu. - Nie martw się o mnie.

- Ona naprawdę powinna usiąść albo się położyć.

Spójrz na jej twarz, Ano. jest blada jak ściana. - Sebastian miał coraz bardziej przerażone oczy.

Morgana roześmiała się i pocałowała go w policzek.

- Braciszku, chyba nie masz zamiaru zostać moją niańką? - Potem ucałowała go w drugi policzek i usiadła zadowolona. - Właściwie... Dlaczego by nie?

- Cała rodzina w Irlandii, to niby kto miałby się tobą zająć, jeśli nie ja i Ana?

- A skąd ci przyszło do głowy, że wymagam jakiejś specjalnej troski?

- Jako najstarszy członek rodziny mieszkający po tej stronie oceanu... - Sebastian jakby nie usłyszał pytania - ...chciałbym poznać zamiary Kirklanda.

- Mój Boże, Sebastianie! - Ana uśmiechnęła się znad filizanki. - W jakich ty żyjesz czasach? Chcesz go skrócić o głowę za uwiedzenie kuzynki? Być wykonawcą zemsty rodowej?

- Po pierwsze, chciałbym mieć jasność, bo na razie ta sytuacja nie wydaje mi się tak śmieszna jak wam. Morgano, czy ty chcesz być w ciąży?

- Ja jestem w ciąży.

- Dobrze wiesz, o co pytam. - Zacisnął rękę na jej dłoni, czekając aż podniesie głowę i spojrzy mu w oczy.

Oczywiście, że wiedziała. Westchnąwszy kilka razy, odpowiedziała ostrożnie, ważąc każde słowo.

- Miałam zaledwie dzień na przemyślenie wszystkiego, ale... Tak, podjęłam decyzję. Mogłabym to zrobić, Anastazjo. Bez wstydu. Wiem, że sam pomysł cię przeraża, ale myślałam o tym.

- To twoje dziecko. - Ana schyliła głowę. - Sama musisz dokonać wyboru.

- Właśnie. Używałam... środków antykoncepcyjnych, a jednak los z nich zakpił. W pierwszej chwili nie mogłam wprost uwierzyć, a potem pomyślałam, że to przeznaczenie. Czuję się głupio, boję się, ale... Tak. Chcę urodzić **to** dziecko. Chcę być w ciąży.

Sebastian odetchnął z ulgą.

- A Nash? Co on na to? - Nie czekał nawet sekundy na odpowiedź. Wystarczyło mu jedno spojrzenie. - Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? - zagrział święcie oburzony. - Jak mogłaś mu nie powiedzieć?

- Trzymaj się z daleka od moich myśli - syknęła purpurowa ze złości. - Albo przysięgam: zamienię cię w ślimaka i wyrzucę przez okno.

- Najpierw odpowiedz na pytanie.

- Mówiłam ci, że upewniłam się dopiero dwa dni temu. A wczoraj, po tym, co Nash mi opowiedział... nie mogłam. Dostałby zawału.

- Ma prawo wiedzieć - powiedziała cicho Ana.

- Dobrze. - Morgana zacisnęła ręce w pięści. - Powiem mu. Kiedy będę gotowa. Nie sądzicie chyba, że spróbuję go przywiązać do siebie... w taki sposób, co? - Skrzywiła z niesmakiem usta. Potem poczuła spływającą po policzku gorącą łzę. Otarła ją wierzchem dłoni, zawstydzona i zła na samą siebie.

- On sam musi dokonać wyboru. - Mówiąc to, Sebastian był już całkowicie zdecydowany, że jeśli Nash dokona niewłaściwego wyboru, z przyjemnością porachuje mu kości. W zupełnie konwencjonalny sposób.

- Sebastian ma rację. - Ana otoczyła Morganę ramieniem. - Nash, jak **i ty**, ma prawo do własnej decyzji. Ale musisz dać mu szansę.

- Wiem. - Nagle uspokojona, oparła głowę na ramieniu Anastazji. - Powiem mu dzisiaj.

- Będziemy blisko. - Sebastian pogłaskał ją po głowie i ruszył do wyjścia.

- Byle nie za blisko. - Uśmiechając się przez łzy, pomachała im na pożegnanie dłonią.

Nash przewracał się z boku na bok, mruczając coś w poduszkę. Natłok snów. Jeden za drugim, jak gdyby, nie wychodząc z kina, oglądał film za filmem.

Morgana. Zawsze Morgana, uśmiechnięta, tuląca się do niego, obiecująca raj na ziemi. Czuł się przy niej taki silny, spokojny, pełen nadziei.

Jego babka, jej oczy pałające gniewem. Bijąca go po plecach drewnianą łyżką, powtarzająca sto razy, że jest darmozjadem, bękartem nie wartym funta kłaków.

Pędzi pod wiatr na czerwonym rowerze, z rozwianymi włosami, zachłystując się wiosennym powietrzem.

Leeanne stoi obok niego z wyciągniętymi rękami, zbyt blisko. Przypomina mu o więzach krwi, o tym, że zawdzięcza jej życie.

Morgana na miotle, śmiejąca się dzikim, przerażającym śmiechem.

On sam, zanurzony w dymiącym kotle. Babka miesza w nim swoją drewnianą łyżką. I głos Morgany - głos jego matki? - bełkoczący słowa szekspirowskiej Wiedźmy.

„Trzykroć tak i trzykroć wspaniale,
trzykroć jeszcze do dziewięciu”.

Usiadł gwałtownie, oddychając pospiesznie, zasłaniając oczy przed oślepiającymi promieniami słońca. Drżącymi rękami otarł twarz z potu.

Wspaniale. Po prostu cudownie. Jakby nie dosyć miał kłopotów, zaczyna świrować.

Może to też jej sprawka?

Wyskoczywszy z łóżka, Nash potknął się o własne buty. Kopnął je z furją i przeklinając głośno, poczłapał do łazienki. Zmyje z siebie trudy nocy i wyruszy na rozmowę z Boską Czarownicą z Monterey.

Kiedy stał pod prysznicem, Morgana przekraczała bramę jego posiadłości.

Zerknąwszy we wsteczne lustro, z jękiem opadła na siedzenie. Jak mogła sądzić, że ślady zmęczenia i napięcia zatuszuje kosmetykami?

Zaciskając usta, spojrzała na piękny dom Nasha.

Nie. Nie pokaże mu się w tak żałosnym stanie. Powinna wyglądać lepiej niż zwykle, a nie jak kupka nieszczęścia... I żadnych płaczliwych tonów. On potrafi utrzymać styl. Tyle czasu myślała, że jest bez troskim, pewnym siebie facetem. Nie będzie od niego gorsza.

Odetchnęła głęboko. Potem szeptem wypowiedziała zaklęcie. Cienie spod oczu zniknęły, policzki nabrały koloru. Kiedy wysiadła z samochodu, jej twarz promieniała świeżością. Może serce biło za mocno, ale o tym wiedziała tylko ona.

Z przyklejonym do ust uśmiechem zapukała do drzwi. Paniczny strach ścisnął ją za gardło.

- Zaraz, cholera, chwileczkę! - Mruczając wściekle pod nosem, Nash wciągnął spodnie na mokre nogi. Boso, z nagim torsem i nie rozczesanymi włosami, szarpnął za klamkę. - Słucham... - Osłupiał. Przez kilka długich sekund stał jak rażony piorunem, nie odrywając od niej oczu.

Była piękna i świeża jak poranek. Miał wrażenie, że woda na jego skórze zaczyna parować. Oparł się plecami o framugę.

- Cześć. - Pocałowała go pierwsza. - Wyciągnęłam cię spod prysznica?

- Tak jakby... - Palcami próbował uładzić mokre włosy. - Dlaczego nie jesteś w sklepie?

- Wzięłam wolny dzień - powiedziała naturalnym głosem i, nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. - Dobrze spałeś?

- Powinnaś wiedzieć. - Jej łagodny uśmiech drażnił go, a zarazem podniecał. - Morgano, co ty ze mną zrobiłaś?

- Ja? Z tobą? - Zwlekała z odpowiedzią, żeby nie stracić panowania nad głosem. - Zdaje się, że nie wypitesz jeszcze porannej kawy. Zaraz ci podam.

Chwycił ją gwałtownie za ramiona, zanim zdążyła się odwrócić.

- Sam zrobię kawę.

- Dobrze. - Dostrzegła gniew w jego oczach. - Może wolisz, żebym wpadła trochę później?

- Nie. Załatwimy to teraz. - Kiedy zniknął w korytarzu, Morgana zacisnęła powieki. Katastrofa wisiała w powietrzu. „Załatwimy to” zabrzmiało w jego ustach jak „skończymy z tym”. Chciała zrozumieć natychmiast - pójść za nim do kuchni, ale zabrakło jej odwagi. Usiadła w salonie na brzegu krzesła.

Nie spodziewała się zastać Nasha w złym humorze. Był zimny i opryskliwy. Tak jak wczoraj, kiedy rozmawiał z Leanne. Ogarnęła ją czarna rozpacz. Aż do dzisiaj nie miała pojęcia, jak bardzo można zranić człowieka takim lodowatym wzrokiem...

Zaczęła krążyć po pokoju, jedną rękę trzymając

na brzuchu. Dopiero po chwili dostrzegła swój mimowolny gest i blado się uśmiechnęła. Przysięgła sobie w duchu, że bez względu na to, co się stanie - będzie bronić tego życia. Za wszelką cenę.

- Twoje kwiaty potrzebują więcej wody - rzuciła przytłumionym głosem.

- Chyba nie jestem w nastroju do rozmowy o kwiatkach.

- Właśnie widzę. Więc o czym będziemy rozmawiać?

- Chcę poznać całą prawdę.

Morgana posłała mu twarde, kpiące spojrzenie.

- Do usług. Od czego mam zacząć?

- Wszystko jedno, tylko przestań grać ze mną w ciuciubabkę. Mam tego serdecznie dosyć, rozumiesz? Jestem zmęczony. - Z rękami skrzyżowanymi na piersiach, ponurą miną i pałającym wzrokiem Nash zaczął przemierzać salon w tę i z powrotem, od okna do przeciwległej ściany. - Cała ta historia była dla ciebie komedią, prawda? Jak długo mogłabyś ją ciągnąć? Od pierwszej chwili, kiedy wszedłem do sklepu, upatrzyłaś mnie na swoją ofiarę - partnera do zabawy, w której tylko ty wiedziałaś, co jest grane. Mój stosunek do twoich... talentów drażnił cię, ranił twoją ambicję, więc postanowiłaś pokazać, co potrafisz.

Jej serce pękało z bólu, ale odpowiedziała silnym głosem, patrząc mu prosto w oczy.

- Powiedz lepiej otwarcie, o co ci chodzi. Bo jeśli mówisz, że pokazałam, kim jestem, to nawet nie mogę zaprzeczyć. I wcale się tego nie wstydzę.

Odstawił z trzaskiem filiżankę i prawie cała kawa rozlała się po stole. Czuł się zdradzony. To uczucie było tak dojmujące, że odbierało mu rozum. Kochał

ją. To ona sprawiła, że ją pokochał. Zdemaskował jej grę, a ona stała teraz przed nim - spokojna, piękniejsza niż kiedykolwiek.

- Chcę wiedzieć, co ze mną zrobiłaś. Chcę, żebyś to cofnęła... zdjęła ze mnie swój urok.

- Mówiłam ci, że nie...

- Spójrz mi w oczy. - Chwycił ją za ramiona. - Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie wymachiwałaś nade mną swoją różdżką ani nie wypowiedziałaś żadnego zaklęcia, przez które czuję do ciebie... to, co czuję.

- Co czujesz?

- Dobrze wiesz. Jestem zakochany. Nie potrafię o tobie nie myśleć, pożądam cię jak opętaniec. Nie mogę wyobrazić sobie życia za rok, za dziesięć lat... bez ciebie.

- Nash... - Wzruszenie ścisnęło jej gardło. Podniosła rękę, ale zanim zdążyła go dotknąć, Nash odtrącił ją i cofnął się gwałtownie.

- Jak to zrobiłaś? W jaki sposób pomieszałaś mi w głowie? Do tego stopnia, że zacząłem myśleć o małżeństwie i rodzinie! I po co ci to było? Chciałaś potrenować, zabawić się zwykłym śmiertelnikiem? Do czasu, kiedy nie znajdziesz sobie ambitniejszej rozrywki?

- Jestem takim samym śmiertelnikiem jak ty - powiedziała dobitnie. - Muszę jeść, spać i krwawię, kiedy się skaleczę. Starzeję się. I czuję.

- Nie jesteś taka jak ja!

- Nie. Masz rację. Jestem inna i nic na to nie poradzę. Ale jeżeli nie możesz się z tym pogodzić, odejdę.

- O, nie. Nie odejdiesz stąd tak po prostu. Nie zostawisz mnie w tym żałosnym stanie. Wybij to so-

bie z głowy. - Potrząsnął nią brutalnie. - Cofnij zakłęcie.

- Jakie zakłęcie? - spytała zmęczonym głosem, czując, jak pryskają jej ostatnie złudzenia.

- To, którego użyłaś. Zmusiłaś mnie do opowiadania rzeczy, o których nikomu jeszcze nie mówiłem - i nie miałem zamiaru mówić nigdy w życiu. Obnażyłaś mnie, Morgano. Podstępnie. Wbrew mojej woli. Gdybyś nie pomieszała mi zmysłów, nie paplałbym o swojej cholernej rodzinie, o swoim dzieciństwie. Niby po co miałbym to robić? Nie jestem ekshibicjonistą. To należało tylko do mnie. - Zwolnił uścisk, a potem odwrócił się gwałtownie, bojąc się, że straci nad sobą panowanie. - Wyciągnęłaś to ze mnie, używając swoich cyrkowych sztuczek. Używałaś moich uczuć... do zabawy.

- Nigdy nie używałam twoich uczuć - zaczęła z furją, ale natychmiast zawiesiła głos. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Doprawdy? - wycedził z satysfakcją.

- Wczoraj, jeden raz, złamałam zasadę. Po telefonie twojej matki, kiedy opowiedziałeś mi to wszystko, chciałam podarować ci spokój.

- Więc zauroczyłaś mnie czy nie?

- Dałam się ponieść uczuciom. Wiedziałam, że nie powinnam, ale to było silniejsze ode mnie. Jeżeli postąpiłam źle... teraz wiem na pewno, że popełniłam błąd... to przepraszam.

- W porządku. Przepraszam, Nash, że zabrałam cię na wycieczkę. A co z resztą?

- Z resztą czego? - Drżącą ręką odgarnęła do tyłu włosy.

- Dalej masz zamiar twierdzić, że nie ty zamąciłaś

mi w głowie? Że nie manipulowałaś moimi uczuciami? Nie ty sprawiłaś, że uwierzyłem w miłość, że zacząłem myśleć o wspólnym życiu, ba, nawet o dzieciach z tobą? Wiesz równie dobrze jak ja, że to do mnie nie pasuje. Broniełem się dotąd skutecznie, bo nie chciałem się zakochać. Na samą myśl o rodzinie dostawałem dreszczy.

- Krótko mówiąc uważasz, że przywiązałam cię do siebie za pomocą magii? Czarami zmusiłam do miłości?

- Tak właśnie uważam.

Coś w niej pękło. Puściła wodze. Kolor powrócił na jej policzki, oczy zajaśniały normalnym blaskiem. Zapadła cisza przed burzą.

- Ty durniu.

Oburzony otworzył usta, ale zamiast słów wydo było się z nich beczenie osła. Z przerażeniem w oczach próbował jeszcze kilka razy, Morgana tymczasem uniosła się w powietrze.

- Czujesz się jak w zaklętym kręgu? Zmuszany do miłości? - mruzczała złowrogo, zrzucając z półek wszystkie książki, które, zamiast upaść na podłogę, latały po pokoju jak zbłąkane pociski. Nash pochylał się, osłaniał głowę, próbował je łapać, ale nie zdołał uniknąć wszystkich ciosów. Zaklął, kiedy wyjątkowo ciężki tom wylądował na jego nosie.

- Posłuchaj, kochanie... - Odetchnął z ulgą, słysząc własny głos.

- Nie, to ty posłuchaj, kochanie. - Jednym gestem ręki sprowadziła porywisty wiatr. Meble jeździły po pokoju jak w okrętowej kajucie podczas sztormu, wpadały jedno na drugie, roztrzaskiwały się z hukiem. - Uważasz, że marnowałabym swój talent na oczarowywanie takiego faceta jak ty? Ty zarozumiały,

bezczelny durniu. Znajdź mi chociaż jeden powód, dla którego miałabym się zlitować i nie zamienić cię w gada - którym jesteś.

- Ani myślę... - **Zbliżał się do niej z oczami zwężonymi w szparki.**

- Rzeczywiście myślenie nie jest twoją najmocniejszą stroną. Lepiej sobie daruj.

- Nie mam zamiaru ciągnąć tej głupiej zabawy...

- No to popatrz. - Pstryknięciem palców wyrzuciła go w powietrze, metr ponad ziemię, starając się, żeby lądowanie było dostatecznie twarde.

- Trzeba być wyjątkowym głupcem, żeby złościć czarownicę. Czy możesz sobie wyobrazić, co zrobiłby na moim miejscu ktoś równie zdolny, ale mniej zrównoważony, pozbawiony skrupułów?

- No więc dobrze. Dojdźmy do jakiegoś... - Zaczął wstawać, ale Morgana usadziła go z powrotem jeszcze brutalniej. Usłyszała zgrzyt jego zębów.

- Nie podchodź do mnie. Ani teraz, ani nigdy więcej. - Oddychała ciężko, chociaż starała się nad sobą panować. - Przysięgam, że jeśli to zrobisz, do końca dni swoich będziesz chodził na czterech nogach i wył do księżyca.

Nie wierzył, że byłaby do tego zdolna, ale wolał nie ryzykować. Jego pokój wyglądał jak pobojuwisko. Jego życie było pobojuwiskiem. Cholera, trzeba jakoś z tego wybrnąć.

- Przestań, Morgano - poprosił nad podziw spokojnym głosem. - Niczego tym nie udowodnisz.

Opadła z niej furia, odsłaniając pustkę i ból, poczucie żalu oraz wielkiego niespełnienia.

- Oczywiście, masz rację. Gwałtowny charakter, tak jak gwałtowne uczucia, ponoszą mnie czasami. Niepotrzebnie. Nie. - Podniosła rękę. zanim Nash

zdażył wstać z krzesła. - Zostań tam, gdzie jesteś. Nie ręczę za siebie.

Kiedy odwróciła się do niego plecami, wiatr zamarł. W pokoju zapanowała cisza. Nash westchnął z ulgą, wierząc, że burza przeszła i najgorsze mają za sobą.

Jakże się mylił.

- A więc nie chcesz być we mnie zakochany. - W głosie Morgany zabrzmiała nowa, niepokojąca nuta.

- Nie chcę być w nikim zakochany - powiedział cedząc słowa, starając się w nie uwierzyć...

- W nikim - powtórzyła jak echo.

- Morgano, zrozum. Jestem fatalną partią. A poza tym lubiłem swoje życie. Takie, jakim było.

- Takie, jakim było, zanim mnie poznałeś.

- Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. A ja... Do diabła, nie muszę się tłumaczyć, dlaczego nie lubię być zaklinany. Ani w gada, ani w zakochanego szaleńca. - Poderwał się z krzesła. - Jesteś taka piękna i...

- Proszę cię - powiedziała zduszonym głosem, odwracając się od okna. - Tylko nie wysilaj się na błyskotliwe wykrety. Nie chcę tego słyszeć.

Serce zamarło mu ze zgrozy. Morgana płakała.

- Błagam, przestań. Nie chciałem cię... - Urwał w pół słowa, kiedy poczuł, że dzieli ich twarda, niewidzialna ściana. Wyciągał rękę i za każdym razem trafiał na opór. - Przestań. - Ogarniała go coraz większa panika. Niesmak. Wstręt do samego siebie. - Morgano, to nie jest odpowiedź.

- Jest. Dopóki nie znajdę właściwszej.

Jej serce krwawiło. Próbowwała go znienawidzić. Rozpaczliwie chciała go znienawidzić za to, że ją

upokorzył. Płacząc bezgłośnie, przycisnęła do brzucha obie dłonie.

- Morgano, nie wytrzymam tego. Zniosę wszystko oprócz twojego płaczu.

- Zniesiesz to jeszcze przez chwilę. Nie bój się, łyzy czarownicy są równie bezsilne i bezużyteczne jak łyzy każdej kobiety. Nash, chcesz odzyskać swoją wolność?

- Boże, nie widzisz, że sam nie wiem, czego chcę? Morgano, zrób coś z tą cholerną ścianą...

- Obiecałam, że nie wezmę od ciebie więcej, niż sam zechcesz mi dać. Zawsze dotrzymuję słowa.

Ogarnęło go zupełnie nowe uczucie. Nie zwykły lęk - przed nieznanym, przed tym, czego nie pojmował, przed samym sobą - tylko paraliżujący strach, że to, czego najbardziej pragnął, przecieka mu przez palce. Na własne życzenie.

- Pozwól mi się dotknąć, błagam.

- Pozwoliłabym. Gdybym była dla ciebie przede wszystkim kobietą. - Położyła rękę na ścianie. - Czy sądziłeś, że przez to, że jestem inna, nie tęsknię za normalną miłością? Widziałeś we mnie tylko czarownicę?

- Zburz to świństwo między nami...

- Nash, spotkaliśmy się gdzieś po drodze, mieliśmy jakieś wspólne sprawy... To niczyja wina, że zaczęłam cię kochać.

- Morgano, proszę.

Kręciła głową przyglądając się jego twarzy, zapisując ją pamięci i w swoim sercu.

- Będzie jak chcesz - powiedziała dumnie. - Miłość wyczarowana jest fałszywą miłością. Dlatego, jeżeli miałam nad tobą jakąś władzę, oddaję ją bez żalu. Od tej chwili wszystko przepadło. Jeżeli za pomocą magii wzbudziłam w tobie jakieś uczucia.

odwołuję zakłęcie. Uwalniam cię od siebie i od wszystkiego, co robiliśmy wspólnie.

- Morgano, nie odchodź w ten sposób.

- Mój Boże! - Uśmiechnęła się przez łyzy. - Mogę sobie chyba pozwolić na efektowne, dramatyczne wyjście, nie sądzisz? Przynajmniej na to. Niech ci się dobrze wiedzie, Nash. Żegnaj.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie miał wątpliwości, że jest bliski obłądu. W dzień błąkał się po domu bez żadnego celu, w nocy przewracał z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

Powiedziała, że uwalnia go od siebie... Przysięgała. Więc dlaczego nie czuł się wolny?

Dlaczego nie przestał o niej myśleć, tęsknić za nią? Dlaczego nie mógł zapomnieć wyrazu jej twarzy, łez na policzkach - ani jednej sekundy ich ostatniego spotkania?

Próbował sobie tłumaczyć, że Morgana skłamała mówiąc, że cofnęła miłosne zaklęcie. Czuł jednak w głębi duszy, że to on okłamuje samego siebie.

Dopiero po tygodniu dał za wygraną i pojechał do niej. Dom wyglądał na opuszczony. W sklepie zastał Mindy, która spojrzawszy na niego z pogardą oświadczyła, że Morgana wyjechała, ale nie jego sprawa dokąd, ani na jak długo.

Powinien odetchnąć z ulgą. Zapomnieć o niej i wrócić do normalnego życia. Tak postanowił. Przez kilka dni naprawdę starał się zapomnieć. I wrócić.

Spacerując pewnego dnia po plaży wyobraził sobie, że idą obok siebie, trzymając za ręce podskakujące, roześmiane dziecko...

Uciekł więc z Monterey do Los Angeles.

Wmawiał sobie, że nareszcie dobrze się czuje: w wielkomięjskim hałasie, zgiełku bezimiennego tłumy. Umówił się na **lunch** ze swoim agentem, żeby

porozmawiać o obsadzie aktorskiej filmu. Wieczorami rzucał się w wir zabawy. Wędrując od klubu do klubu zastanawiał się, czy nie popełnił błędu porzucając miasto tętniące życiem dla wielkiego domu z ogrodem...

Po trzech dniach miał dosyć rozrywek oraz miasta tętniącego życiem. Tęsknił za wiatrem w kominie, szumem fal... i za Morganą.

Jeszcze raz pojechał do sklepu, ale Mindy była nieubłagana. Nie zaszczyciła go ani jednym słowem.

Doprowadzony do ostateczności, zatrzymał samochód przed domem Morgany. Postanowił śledzić go dzień i noc. Pocieszał się, że minął już prawie miesiąc, że przecież Morgana musi wrócić - do domu, do pracy...

Na litość boską! Przecież na nią czeka. Gotów był błagać, walczyć o nią, zrobić wszystko, byle tylko wróciła. Do domu, który tak kochała... i do jego życia.

Położył rękę na talizmanie. Zamknął oczy, żeby myśleć tylko o niej.

- Kochanie, wiem, że usłyszysz mnie, jeśli tylko zechcesz. Nie możesz mnie skreślić... tak po prostu. Nie zrobisz tego. Zachowałem się jak idiota, naopowiadałem bzdur, ale to nie powód, żeby skazywać mnie na dożywocie.

Czuł jej obecność. Naprawdę wierzył, że Morgana jest blisko. Otworzył powoli oczy, z bijący sercem podniósł głowę... Zobaczył nad sobą rozbawioną twarz jej kuzyna.

- Co to? - Sebastian zakpił bezlitośnie. - Nocne polowanie?

- Gdzie ona jest? - Nash wyskoczył z samochodu

z zaciśniętymi pięściami. - Musisz wiedzieć i prędzej czy później powiesz mi... - Chwycił Sebastiana za koszulę.

- Uważaj, przyjacielu. Zastanów się, zanim zadasz następne pytanie, bo odpowiem ci bez słów - warknął groźnie. - Marzyła mi się taka rozmowa od kilku tygodni...

Perspektywa męskiej walki przemówiła Nashowi do wyobraźni. Uśmiechnął się złowrogo.

- W takim razie nic prostszego, jak...

- Opanujcie się, z łaski swojej - rozkazała Anastazja. - Jeden i drugi. Domyślam się, z jaką przyjemnością rozkwasilibyście sobie nosy, ale nie przy mnie!

- Chcę wiedzieć, gdzie ona jest... - syknął Nash, opuszczając bezwładnie ręce.

- Twoje zachcianki guzik nas obchodzą. - Sebastian wzruszył ramionami. - Ale co jest z tobą, chłopie? Zrobiłeś się strasznie nerwowy. Sumienie cię gryzie, czy co?

- Przestań, Sebastianie... - W spokojnym głosie Any zabrzmiała nuta współczucia. - Nie widzisz, że on cierpi?

- To prawda - jęknął Nash, wpatrując się tępo w ziemię.

- I że ją kocha?

- Ano, nie zmienisz chyba zdania z powodu jego zbolałej miny. - Sebastian wybuchnął sardonicznym śmiechem.

- Na litość boską, kuzynie! Sam możesz zajrzeć do jego duszy - powiedziała Ana.

Sebastian spoważniał na chwilę, przymknął oczy, a potem znów się roześmiał.

- Święta prawda. No, no... - Zaczął kręcić głową

z pełną świadomością, że prowokuje Nasha. - Co za diabeł musiał cię podkusić, żeby tak to wszystko zabagnić...

- Nie będę się przed tobą tłumaczył - warknął Nash. - Wszystko, co mam do powiedzenia, powiem Morganie.

- Słusznie. Tylko widzisz... Coś mi się zdaje, że Morgana doszła do wniosku, że powiedziałaś już wszystko. Nie sądzę, żeby czuła się teraz na siłach wysłuchiwać twoich obrzydliwych pomówień po raz kolejny.

- Na siłach? - Serce skoczyło mu do gardła. - Czy ona jest chora? Możesz mi powiedzieć, co się z nią dzieje?!

- Nie jest chora - szepnęła łagodnie Anastazja.
- Czuje się całkiem dobrze.

Nash uspokoił się i z rezygnacją opuścił głowę.

- W porządku. Chcecie, żebym was błagał. Więc błagam... Muszę się z nią spotkać. Jeżeli mnie wyrzuci, pogodzę się z tym i zniknę wam z oczu. Ale proszę was o tę jedną, jedyną szansę.

- Pojechała do Irlandii - powiedziała z uśmiechem Ana. - Masz ważny paszport?

Po tygodniu spędzonym w Irlandii Morgana czuła się jak nowo narodzona. Irlandia zawsze na nią tak działała. Bez względu na pogodę - nawet jeżeli wiał porywisty wiatr od morza - powietrze wydawało jej się kojące i aromatyczne.

Każdy dzień spędzony z rodziną dodawał jej sił, przywracając część dzieciństwa. Nigdzie na świecie nie czuła się tak spokojnie i bezpiecznie. Wyciągnęła się w fotelu przy oknie, zamknęła oczy i odwróciła twarz do słońca. Jej matka szkicowała coś zapa-

w przeciwległym kącie salonu. Zupełnie jak dawniej, chociaż było to w innym domu i w innym pokoju. Bryna tak niewiele się zmieniła przez te wszystkie lata...

Miała równie ciemne i równie gęste włosy jak córka. Kobaltowe oczy wydawały się bardziej rozmazane niż oczy Morgany, ale widziały jeszcze wyraźniej.

- Jesteś taka piękna, mamo. - Jej głos przepełniony był miłością i tęsknotą.

- Nie będę się z tobą spierać. - Bryna uśmiechnęła się żartobliwie. - Nie masz pojęcia, jak przyjemnie to słyszeć od dorosłej córki. - Zamilkła na chwilę, nie kryjąc wzruszenia, które ścisnęło jej gardło. - Żebyś wiedziała, kochanie, jaką zrobiłaś mi niespodziankę swoimi odwiedzinami... Nam wszystkim.

- Codziennie rano, kiedy otwieram oczy, gratuluję sobie pomysłu... - Morgana roześmiała się cicho. - Tak mi z wami dobrze. I strasznie jestem wam wdzięczna, że... nie zadaliście mi do tej pory ani jednego pytania.

- I słusznie! Ojciec ledwie wytrzymuje. Wiesz, jak on cię uwielbia.

- Wiem. - Łzy zasłoniły jej oczy. - Przepraszam. Te moje humory... - Podniosła się z fotela. - I pomyśleć, że jako dziecko nie byłam beksą!

- Kochanie. - Bryna wyciągnęła ręce, czekając, aż Morgana podejdzie i spojrzy jej w oczy. - Wiesz, że możesz powiedzieć mi wszystko. Naprawdę wszystko. Kiedy tylko zechcesz.

- Mamo. - Morgana uklękła i położyła głowę na kolanach matki. - Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, jaka jestem szczęśliwa dzięki wam. Dzięki temu, że mam takich rodziców. **Nigdy** nie musiałam

się zastanawiać, czy mnie kochacie, czy obchodzi was, co się ze mną dzieje. Wszystko było takie oczywiste, więc... nigdy wam nie podziękowałam.

- Ależ, kochanie... - Bryna kołysała córkę w ramionach, coraz bardziej zdumiona. - Po to człowiek ma rodzinę: żeby się wszyscy kochali, nie oczekując wdzięczności. Czy dziękuje się za powietrze?

- Nie wszystkie rodziny tak myślą. - Kiedy Morgana podniosła głowę, w jej oczach nie było już śladu łez. - Prawda, mamó? Nie wszystkie rodziny się kochają.

- Ich strata. Powiesz mi wreszcie, co naprawdę cię trapi?

- Wciąż sobie wyobrażam, co czuje człowiek, którego od urodzenia nikt nie chciał, nikt nie kochał. Dziecko, któremu powtarzano, że jest pomyłką, okrutnym zrzędzeniem losu. Czy może być coś gorszego? Coś bardziej niepojętego dla takich dzieci szczęścia jak ja, Sebastian czy Anastazja?

- Nie. Nie ma nic gorszego niż życie bez miłości. Morgano - Bryna zniżyła głos do najczulszego szeptu - czy ty się przypadkiem nie zakochałaś?

Nie musiała odpowiadać.

- Właśnie o nim wciąż myślę. Nigdy nie miał tego, co my uważaliśmy za naturalne. W powietrzu, którym on oddychał, nie było miłości. A mimo to... - w kącikach jej ust zakwitł uśmiech - wyrósł na wspaniałego człowieka. Polubiłabyś go. Jest zabawny. Błyskotliwy. Jak przystało na artystę, nie cierpi stereotypów. Ale jest w nim coś niedostępnego... Zamknięty rewir duszy. To nie jego wina. W dzieciństwie doznał wielu krzywd od własnej rodziny. A ja nie znalazłam żadnego sposobu, żeby przebić się przez tę obronną skorupę. Nie ma zaklęcia, które

uwolniłoby go od jarzma koszmarów, nie okaleczając całej reszty. Nash nie chce mnie kochać, a Ja nie mogę, nie chcę zdobywać jego uczuć podstępem.

- Nie. - Bryna patrzyła na córkę ze ściśniętym sercem. - Jesteś na to zbyt silna, zbyt dumna i zbyt mądra. Ale ludzie się zmieniają, Morgano. Może z czasem...

- Nie mam czasu. Przed Bożym Narodzeniem urodzę jego dziecko.

Wszystkie słowa pocieszenia uwięzły Brynie w gardle. Myślała tylko o jednym: jej córka będzie matką.

- Dobrze się czujesz? - spytała zdławionym głosem.

- Tak. - Morgana uśmiechnęła się. Właśnie takie pytanie chciała usłyszeć.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

- Och, kochanie. - Bryna podniosła się i przytuliła Morganę jak małe dziecko. - Moja mała dziewczynka...

- Niedługo przestanę być małą dziewczynką.

Wybuchnęły jednocześnie nerwowym śmiechem.

- Cieszę się z twojego szczęścia. Ale i martwię...

- Wiem. Chcę mieć to dziecko, mamo. Nawet nie wiesz jak bardzo. Nie tylko dlatego, że będzie mi przypominało jego ojca, ale dla niego samego. Może po prostu dojrzałam.

- Więc jak się naprawdę czujesz w tej trudnej sytuacji?

- Dziwnie. Czasami mi się zdaje, że jestem silna jak drzewo, niczego się nie boję, a po chwili drzę ze strachu, czuję się taka krucha...

Bryna, zamyślona, kiwała ze zrozumieniem głową.

- I uważasz, że jego ojciec jest dobrym człowiekiem?

- Tak, na pewno jest dobrym człowiekiem.

- To znaczy, że kiedy mu powiedziałaś, był... po prostu zaskoczony, nieprzygotowany? - Zauważyła, w jaki sposób Morgana uciekła wzrokiem. - Kochanie, kiedy byłaś dzieckiem, robiłaś to w identyczny sposób: spojrzenie w przestrzeń przez ramię, kiedy rozmowa staje się kłopotliwa.

- Nie powiedziałaś mu. Proszę cię, mamoo... Wiem, co o tym myślisz. Miałam zamiar, ale wszystko przepadło, zanim się zdecydowałam. Kiedyś ci wytłumaczę. Wiem, że nie powinnam przed nim tego ukrywać, ale też nie zamiaru wiązać go ze sobą takim wyznaniem. Musiałam dokonać wyboru.

- Dokonałaś złego wyboru. - Bryna wypowiedziała każde słowo oddzielnie.

- Trudno. - Rysy jej twarzy wyostrzyły się. - Dobry czy zły, ale mój własny. Nie proszę cię, żebyś go pochwaliła, ale szanujesz chyba moje prawo do podejmowania decyzji. I proszę cię, mamoo, żebyś na razie nikomu nie mówiła. Nawet tacie.

- Nawet tacie co? - Matthew, wkraczając do pokoju, usłyszał ostatnie słowa.

- Babskie plotki. - Morgana podeszła do niego z uśmiechem i pocałowała w policzek. - Cześć, przystojniaku.

- Wyczuwam na odległość, kiedy moje dziewczyny dzielą się sekretami. - Uszczypnął Morganę w nos.

- Tylko bez węszenia! - Pogroziła mu palcem, doskonale wiedząc, że jej ojciec potrafi czytać w myślach nie gorzej od Sebastiana. - Co robi reszta rodzinki?

Matthew był niezbyt zadowolony, postanowił jednak cierpliwie czekać. Jeżeli wkrótce mu nie powiedzą, sam się dowie. W końcu, jest przecież jej ojcem.

- Douglas i Maureen kłóca się w kuchni o to, kto i co przygotowuje na lunch. Camilla ogrywa Padricka. Biedaczek coraz gorzej to znosi. Zarzuca jej jak zwykle, że zaczarowała karty.

- A zaczarowała? - Bryna uśmiechnęła się pod nosem.

- Oczywiście. Twoja siostra jest urodzoną szulerką.

- A twój brat wiecznym pechowcem. Niebożatko. Morgana objęła ich oboje, wybuchając śmiechem.

- Pojęcia nie mam, jak wy wszyscy wytrzymujecie ze sobą w jednym domu. Chodźcie. Zrobimy na dole jeszcze większe zamieszanie.

Schodziła do jadalni jak na skrzydłach, wędząc, że rodzinna biesiada - z całą szóstką Donovanów - na pewno poprawi jej humor. Oglądanie z bliska tych wszystkich gier i przekomarzań pomiędzy rodzinstwem, małżeństwami, szwagrami... To lepsze niż miejsce w pierwszym rzędzie najlepszego cyrku.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że choć nie zawsze się zgadzają, mają swoje konflikty i tarcia - to jednak zawsze, w obliczu rodzinnego kryzysu, staną murem jedno przy drugim.

Nie zamierzała prowokować rodzinnego kryzysu. Chciała spędzić z nimi trochę czasu, pooddychać atmosferą ich domu, ożywić wspomnienia.

Możliwe, że bracia Donovanowie byli trojaczkami, możliwe też, że ożenili się z siostrami trojaczkami. Musiała wierzyć im na słowo, chociaż nie dostrzegą

między członkami tego klanu fizycznego podobieństwa.

Oto jej ojciec, wysoki i szczupły, z bujną czupryną stalowosiwych włosów i nienagannie przyciętą brodą, która nadawała jego twarzy wyraz dostojności.

A to Padrick, ojciec Anastazji, wzrostem nie przewyższający Morgany, zbudowany jak atleta, o usposobieniu figlarza.

W końcu Douglas, liczący prawie dwa metry wzrostu, z resztką włosów zaczesanych dramatycznie do tyłu, ekscentryk z natury i z zamiłowania. Od pewnego czasu nie rozstawał się ze szkłem powiększającym. Oglądał przez nie wszystko i wszystkich - kiedykolwiek przyszła mu na to ochota. Kapeluszy myśliwski i pelerynę zdejmował w domu tylko dlatego, że jego żona Camilla zagroziła kiedyś, że nie usiadzie z nim do stołu.

Camilla, traktowana przez wszystkich jak niesforne dziecko, o ładnej twarzy i pulchnej figurze - miała w istocie żelazny charakter, a w ekscentrycznych pomysłach z łatwością dorównywała mężowi. Tego ranka pojawiła się w nowej fryzurze: jaskrawopomarańczowych lokach w stylu Shirley Temple.

Maureen - wysoka, postawna - genialne medium o zdolnościach, które nawet Morganę wprawiały w osłupienie. Kiedy wybuchała swoim zaraźliwym, wibrującym śmiechem, wtórowały jej szyby w oknach. Jeśli dodać do tego rodziców Morgany - łagodną matką oraz wyciszzonego, pełnego godności ojca - można by stwierdzić, że lokatorzy Zamku Donovanów stanowili dość osobliwą komunę.

- Twój kot znowu łąził po moich firankach - zwróciła się Camilla do Maureen.

- To dopiero wydarzenie... - **Maureen wzruszyła**

barczystymi ramionami. - Polował na myszy, wielkie mi co!

- Wiesz dobrze, że w tym domu nie ma ani jednej myszy. Douglas je dawno przepędził.

- Sfuszerował zakłęcie - mruknął Matthew.

- Sfuszerowana to jest dzisiejsza szarlotka. Zakalec. - Camilla wykrzywiła pogardliwie usta, występując w obronie męża.

- Robiłem ją z Dougiem - zachichotał Padrick.

- Za to moje ciasteczka - palce lizać. Próbowowałaś?

- Według nowego przepisu. - Douglas spojrzął na nie przez szkło powiększające. - Bardzo zdrowe.

- Wróćmy lepiej do kota. - Camilla nie dawała za wygraną.

- Kot jest zdrowy jak koń - powiedział radośnie Padrick. - Prawda, aniołku? - Puścił oko do Maureen.

- Zgadnij - syknęła Camilla - co mnie obchodzi zdrowie waszego kota.

- No, nie... Nie przesadzaj, kochanie. - Douglas poklepał żonę po ramieniu. - Nie chcemy, żeby jakiś chory kot błąkał się po domu. Prawda? Reenie sporządzi mu jakąś uzdrawiającą miksturę.

- Ten kot nie jest chory - wycodziła Camilla zmienionym głosem. - Douglas, na miłość boską, uważaj... Dobrze ci radzę.

- Na co znowu mam uważać? - zapytał oburzone głosem. - Jeżeli kotu nic nie dolega, to w czym, do licha, problem? Morgano, nie smakuje ci szarlotka?

- Jest pyszna. Oszczędzam ją na później. - Morgana wstała. Zrobiła rundę wokół stołu i każdego pocałowała w policzek. - Kocham was wszystkich.

- Morgano - zapytała Bryna - dokąd się wybierasz?

- Na spacer. Na bardzo długi spacer po plaży.

Zapadła cisza. Douglas spojrział na nią przez szkło powiększające.

- Ta dziewczyna zachowuje się dziwnie. - Uznavszy lunch za skończony, wcisnął na głowę kapelusz. - Nie sądzicie?

Nash czuł się gorzej niż dziwnie. Miał za sobą dwadzieścia godzin lotu, w czasie których tylko raz, nad Atlantykiem, na chwilę przysnął. Z lotniska w Dublinie pojechał prosto na dworzec kolejowy. W Waterford okazało się, że do Zamku Donovanów dotrzeć może wyłącznie samochodem, i to własnym. Zmitrężył sporo czasu, usiłując kupić lub wypożyczyć samochód. W końcu, kiedy już był zdecydowany go ukraść, jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem.

Już niedługo, powtarzał sobie uparcie, próbując oszukać zmęczenie. Kilkanaście cholernych kilometrów...

Pamiętał, że musi trzymać się właściwej strony drogi, a więc lewej, a nie prawej. Właściwej? Co za idiotyzm. Ten ciąg wertepów z rowem zamiast pobocza nazywać drogą - to lekka przesada...

Używany pojazd, który nabył po wielu perypetiach za tysiąc dwieście dolarów (niech mu ktoś powie, że Irlandczycy nie mają wyjątkowej głowy do interesów) przypominał samochód tylko z wyglądu. Na każdym wyboju Nash miał wrażenie, że grat rozleci się w drobny mak, a on zostanie z kierownicą w rękę. I dostanie zawału, zanim wdrapie się na ostatnie zbocze...

- Jeśli przeżyję - zaczął mrużyć pod nosem - jeżeli znajdę ją i nie padnę trupem, będę ją mor-

dował własnymi rękami... Powoli, żeby wiedziała, że to nie żarty.

Potem wyobraził sobie, że zanieśie ją na własnych rękach w jakieś odludne miejsce i będą się kochali przez tydzień. Potem przez cały tydzień będzie spał, a potem zaczną od nowa...

Jeżeli przeżyje.

Nagle samochód zatrząsł się, coś w nim zaczęło dudnić, terkotać, a potem strzelać. Zaciskając zęby, Nash zaklinał go na wszystkie świętości, błagał i groził, żeby tylko pokonał ostatnie wzniesienie. Na szczycie zbocza wcisnął hamulec. Mając przed sobą ostatni odcinek drogi prowadzącej prosto do zamku, nie czuł smrodu palonej gumy, ani nie zauważył dymu, który wydobywał się spod maski.

Widział tylko zamek.

Spodziewał się, że Zamek Donovanow to nazwa posiadłości, olbrzymiego domu, tymczasem na horyzoncie rysowała się autentyczna kamienna twierdza położona nad urwiskiem, prawie czarna na tle błękitnego morza. Z najwyższej wieży powiewała biała flaga w kształcie pentagramu. Stopa Czarownika...

Przetarł oczy, ale wizja nie zniknęła. A niech to... Gdyby teraz rycerz na koniu wpadł galopem na zwodzony most - bo był tam zwodzony most - wcale by się nie zdziwił.

Nash zaczął się śmiać. Pierwsze oszołomienie zastąpiła radość. W brawurowym odruchu nacisnął gaz... i z głośnym śmiechem wjechał do rowu.

Złorzecząc wściekle, wygrzebał się z tego, co zostało po samochodzie. Kopnął kilka razy w zardzewiałe zderzaki, wyciągnął torbę i ruszył przed siebie. Pieszy etap podróży ocenił na dobre pięć kilometrów.

Kiedy jego zmęczonym oczom ukazał się biały koń galopujący przez most od strony zamku, przystanął na chwilę, żeby zdecydować, czy widzi go naprawdę, czy raczej doznaje halucynacji. Jeździec co prawda nie miał na sobie zbroi - w takim wypadku odpowiedź byłaby prosta - ale też nie wyglądał po prostu: szczupły, wysoki, z falistą, srebrną grzywką. Nash nie zdziwił się nawet na widok sokoła, który siedział na lewym przedramieniu mężczyzny.

Doszedł do smutnego wniosku, że już nic nie jest w stanie go zdziwić.

Matthew Donovanowi wystarczyło jedno spojrzenie na mężczyznę, który tak głupio wpadł do rowu, a teraz ledwie powłóczył nogami.

- Żałosny. Mówię ci, Ulissiesie, żałosny. Nie pozwoliłbyś się takim chuderlakiem.

Sokół łypnął okiem na znak zgody. Matthew ściągnął wodze i stępem, z wyniosłą miną, podjechał do przybysza.

- Zabłądziłeś, kawalerze?

- Nie. Wiem, dokąd idę. - Nash wskazał palcem zamek.

- Do Zamku Donovanow? - Matthew uniósł brwi.

- Nie wiesz, że tam grasują czarownice? Wybacz szczerą, ale w tym stanie... nie chcesz chyba zadzierać z wiedźmami?

- Tylko z jedną - syknął Nash przez zęby. - Tylko z jedną konkretną wiedźmą.

- Hmm. Zauważyłeś, że jesteś ranny?

- Gdzie? - Nash podniósł ostrożnie ręce i obejrzał z niesmakiem swoje lepkie, zaplamione krwią palce. - Rzeczywiście. To ona musiała mnie tak urządzić. Zaczarowała samochód, żeby nie mógł dojechać.

- Ciekaw jestem, którą z nich masz na myśli...

- Morganę. Morganę Donovan. - Wytarł ręce w brudne dzinsy. - Przejechałem kawał drogi, żeby dostać ją w swoje ręce...

- Hola, młody człowieku - przerwał mu łagodnie Matthew. - Mówisz o mojej córce.

Zmęczony, obolały, u granic wytrzymałości psychicznej, Nash pomyślał, że nie ma nic do stracenia. Nawet gdyby starszemu panu przyszło do głowy zaczarować go w karalucha... Trudno. Będzie co będzie, ale przyleciał tu po właśnie to, żeby postawić sprawę jasno.

- Nazywam się Kirkland, panie Donovan. Przyjechałem po pana córkę. To wszystko.

- Ach, tak? - Wyraźnie rozbawiony, Matthew przechylił na bok głowę. - W takim razie, wsiadaj. Zobaczymy, co na to nasza wiedźma. - Odgonił sokola i podał Nashowi rękę. - Cieszę się, Kirkland, że to ja ci wyszedłem na spotkanie.

- Tak. - Nash, krzywiąc się z bólu, wskoczył na siodło. - Ja też się cieszę, że to pan.

W chwili, kiedy galopem wjeżdżali na dziedziniec, wysoka, ciemnowłosa kobieta zbiegała ze schodów. Nash z tłumionym jękiem zeskoczył z konia i ruszył ku niej najszybciej, jak potrafił.

- Będziesz musiała się wytłumaczyć, kochanie. Obcięłaś włosy. Co ci, do diabła, przyszło do... - Stanął jak wryty, kiedy kobieta, która wydała mu się Morganą, zatrzymała się w pół drogi. Z rękami opartymi na biodrach, patrzyła na niego rozbawionym wzrokiem.

- Myślałem, że pani jest... Przepraszam.

- Pan mi pochlebia - odparła ze śmiechem Bryna.

- Matthew, kogo ty mi przywiozłeś?

- Młodego człowieka, który nie wiadomo dlaczego

wjechał do rowu i, jeśli dobrze zrozumiałem, chce nam zabrać Morganą.

- Naprawdę? - Bryna zmrużyła oczy. - Chce pan mojej córki?

- Ja... Tak, proszę pani.

- A czy ona pana unieszczęśliwiła? - Na jej wargach drżał ledwie dostrzegalny uśmiezek.

- Tak... Nie. - Westchnął ciężko. - To wszystko moja wina. Błagam panią... Czy ona tu jest?

- Proszę wejść do środka. Opatrzę panu ranę, a potem powiem, gdzie ją pan znajdzie.

- Gdyby pani mogła... - Spozstrzegł utkwione w nim wielkie oczy.

- Kogo to, u diabła, mamy zaszczyt gościć? - Douglas opuścił swoje szkło powiększające i leniwym krokiem wyszedł zza drzwi.

- Znajomego Morgany.

- Aha. Ta dziewczyna zachowuje się dziwnie - mruknął Douglas, klepiąc Nasha po plecach. - Ja wam to mówię.

Morgana spacerowała po plaży, wystawiając twarz do wiatru. Jak dobrze... Jak to dobrze, że zdecydowała się na tę podróż. Za kilka dni gotowa będzie wrócić i zmierzyć się z rzeczywistością. Czuje się prawie uzdrowiona.

Z cichym, bezradnym jękiem usiadła na kamieniu. Przynajmniej tutaj, w samotności, nie powinna się oszukiwać. Musi to sobie powiedzieć. Nigdy nie wyzdrowieje. Nigdy nie zasmakuje pełni szczęścia. Oczywiście, że sobie poradzi. Nie będzie rozpaczać, stworzy swojemu dziecku najlepszy dom, jaki potrafi. Dlatego, że jest silna. I bardzo dumna. Ale zawsze będzie jej czegoś brakowało.

Jedno wiedziała na pewno: koniec ze łzami i rozczulaniem się nad swoim losem. Po to właśnie przyjechała do Irlandii. Żeby poukładać sobie w głowie i przypomnieć, że nic - nawet ból - nie trwa wiecznie.

Tylko miłość.

Podniosła się i ruszyła w przeciwną stronę, patrząc, jak fale rozbijają się o skały. Może zaparzy herbatę, ułoży pasjansa - albo pozwoli, żeby Padrick uraczył ją jedną ze swoich niesamowitych opowieści. Zniesie nawet bardzo długą... A potem powie im o dziecku.

Zrozumieją, bo po to człowiek ma rodzinę, żeby rozumiała... Uśmiechnęła się na wspomnienie rozmowy z matką.

Jaka szkoda, że Nash nigdy tego nie zaznał.

Wyczuła jego obecność, zanim usłyszała kroki. W pierwszej chwili pomyślała, że to zmęczony umysł spłatał jej figła - zakpił z udawanej odwagi, niepotrzebnych gierek, którymi próbowała zagłuszyć własny strach. Powoli, oddychając głęboko, odwróciła głowę.

Zbliżał się do niej długimi, szybkimi krokami. Zauważyła bandaż na głowie. I wyraz oczu, który poraził jej serce.

Cofnęła się o krok, odruchowo, nie domyślając się nawet, jak bardzo przestraszyła go tym gestem.

Jej wzrok... Patrzyła w taki dziwny sposób - jak gdyby się go bała. Żadnych łez w oczach, tylko błysk paniki. Lżej by mu było, gdyby rzuciła się na niego z pięściami, przeklęła, zwymyślała.

- Morgano...

- Co ci się stało? Miałeś wypadek?

- To... - Dotknął ręką bandaża. - Nic. Nic takiego, naprawdę. Pewien samochód rozsypał się w drobny mak akurat wtedy, kiedy nim jechałem. Twoja matka założyła mi to...

- Moja matka? Widziałeś się z moją matką?

- I z całą resztą. - Uśmiechnął się blado. - Są... nie z tej ziemi. Wspaniali. Wpadłem do rowu, dojeżdżając do zamku. A potem spotkałem na drodze twojego ojca. Na białym koniu, z sokołem. - Nash miał świadomość, że zaczyna mówić od rzeczy, ale nie potrafił się opanować. - Zabrali mnie do kuchni, napiili jak dziecko herbatą i... Boże, co ja gadam. Morgano, tak długo nie wiedziałem, gdzie jesteś. A powinienem był się domyślić. Przecież mówiłaś mi, że jeździsz do Irlandii, żeby połączyć po plaży. Powinienem był wiedzieć. Powinienem wiedzieć o tylu rzeczach.

Oddychała niespokojnie. Śmiertelnie się bała, że zemdleje i padnie jak długa u jego stóp. To by dopiero była scena...

- Miałaś męczącą podróż - powiedziała drewnianym głosem.

- Powinienem przyjechać od razu, ale... Hej! - Złapał ją w ostatniej chwili.

- Nie, proszę, puść mnie, nic mi nie jest. - Próbowała go odepchnąć, ale Nash otoczył ją ramionami, schował twarz w jej włosach i ani myślał wypuścić.

- Boże, Morgano, daj mi jedną minutę. Pozwól...

- Nie, Nash, nie zaczynajmy. - Jej zdradliwe ramiona, którymi objęła go kurczowo w pasie, mówiły coś innego. Jej spragnione wargi przyjęły jego pocałunek z westchnieniem ulgi.

- Nie mów nic - szepnął błagalnie - póki nie usłyszysz wszystkiego, co mam ci do powiedzenia.

- Nie, Nash. - Zadrżała na wspomnienie tego, co

już jej powiedział. - Nie przeszłabym przez to... jeszcze raz. Nie chcę. Nie mogę.

- Nie. - Chwycił ją za nadgarstki. - Żadnych murów tym razem. Daj mi słowo. Przysięgam, że nie mam nic do ukrycia. Daj mi szansę, kochanie.

- Masz moje słowo - szepnęła bezradnie. - Ale muszę usiąść.

- Dobrze. - Wypuścił Morganę z objęć. Patrząc, jak siedzi na skale skulona, z drżącymi dłońmi na kolanach, przypomniał sobie, ile razy pragnął ją zamordować...

- Bez względu na to, co się stało, nie powinnaś była uciekać.

- Ja?

- Tak, ty. Może byłem idiotą - na pewno byłem - ale to nie powód, żeby mnie karać w taki sposób. Kiedy odzyskałem rozum, okazało się, że przepadłaś jak kamień w wodę.

- A więc to moja wina...

- ...że przez ostatni miesiąc odchodziłem od zmysłów? Tak. Cała reszta obciąża moje sumienie. - Musnął dłonią jej policzek. - Przepraszam.

Musiała odwrócić głowę, żeby nie jęknąć.

- Nie, Nash. Nie przyjmuję twoich przeprosin, póki nie zrozumieć, za co mnie przepraszasz.

- Wiedziałem, że każesz mi się płaszczyć - powiedział z niesmakiem w głosie. - A więc dobrze. Przepraszam za wszystkie głupstwa, jakie wyszły z moich ust.

- Wszystkie?

Wyprowadzony z równowagi, wstał gwałtownie i podniósł Morganę.

- Spójrz na mnie. Teraz lepiej. Chcę widzieć twoje oczy, kiedy będę mówił, że cię Kocham. Że nasze

uczucia nie mają nic wspólnego z czarami... i nigdy nie miały. Że wszystko zależało od nas: ode mnie i od ciebie.

Kiedy Morgana zamknęła oczy, paniczny strach przebiegł mu po skórze.

- Nie odpychaj mnie. Morgano, wiem, co zrobiłem. Byłem głupi. Wystraszony jak szczeniak. Niech to szlag. Byłem śmiertelnie przerażony. Proszę cię. - Ujął w rękę jej twarz. - Spójrz na mnie. - Westchnął głośno i omal nie krzyknął ze szczęścia, kiedy wyczytał w jej oczach, że nie jest za późno. - To po pierwsze. Proszę cię o wybaczenie za wszystkie cholerne kłamstwa, którymi chciałem cię dotknąć. Wyrzucić ze swojego życia...

- Dość. Rozumiem, że można się bać. Nash, jeżeli przyjechałeś po moje wybaczenie, wybaczam ci z całego serca. Nie musimy do tego wracać, rozdrapywać ran. Oszczędź mi tego.

- Tak po prostu? - Przyłgnął wargami do jej czoła. - Wybaczasz mi? I nie chcesz zacczarować mnie we fładrę na jakieś trzy, cztery lata?

- Za pierwsze przewinienie wydaje się wyrok z zawieszeniem. Posłuchaj, Nash, jesteś wykończony podróżą, chodźmy teraz na herbatę i nie wracajmy do tego. Nigdy.

- Morgano... - Trzymał ją kurczowo w ramionach. - Powiedziałem, że cię kocham. Nie mówiłem tego nikomu... jeszcze nigdy, bo nawet nie wiedziałem, co to znaczy. Przyznaję, że trudno mi to przyszło. Nie znosiłem takich słów, ale z czasem... Może przy tobie znormalnieję.

Morgana uciekła wzrokiem w przestrzeń. Milczał cierpliwie, ale nie miał zamiaru pozwolić, żeby ich rozmowa zawisła w próżni.

- Kochanie, powiedziałaś wtedy, że mnie kochasz, prawda?

- Tak. - Spojrzała mu w oczy. - Kocham.

- To dobrze - powiedział drżącym głosem. - Skąd mogłem wiedzieć, że to takie... - roześmiał się nerwowo - przyjemne uczucie. Teraz dopiero możemy zacząć - szepnął cicho i niewyraźnie. - Krok po kroku. Wiem, że trudny ze mnie facet. Przez całe życie myślałem wyłącznie o sobie, lubiłem tylko własne towarzystwo, ale... może nie jest za późno. Będę o ciebie walczył, Morgano. Przysięgam. Zrobię wszystko, żebyś nie żałowała.

- Co ty powiedziałaś? - Twarz Morgany nie wyrażała żadnych uczuć, jakby słowa Nasha nie docierały do jej świadomości.

Wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok, przerażony na nowo.

- Proszę, żebyś za mnie wyszła. To mniej więcej chciałem powiedzieć.

- Mniej więcej?

- Jezu! - Przetarł twarz rękami, a potem wsunął je do kieszeni. - A więc posłuchaj. Jeszcze nigdy się nie oświadczałem, w ogóle o nic nie prosiłem. Nie wiem, jak to się robi, ale jeśli chcesz, przygotuję tę scenę, jak należy: padnę na kolana, pierścionek zaręczynowy w kieszeni, kwiaty, garnitur... Proszę bardzo. Ale chodzi o to, że... cię kocham - tak mi się wydaje - i proszę, żebyś za mnie wyszła. Do tej pory nie wierzyłem... Uważałem miłość za głupie, puste słowo.

- Nash, nie musisz urządzać dla mnie tej sceny. Chciałabym, żeby to mogło być proste.

- Nie chcesz być moją żoną.

- Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. O Boże...

Tak. Chciałabym. Ale, Nash, ja nie jestem sama. Musiałbyś wziąć na plecy cięższe jarzmo.

Zamarł na moment, a potem jego twarz rozjaśniła się promiennym uśmiechem.

- Masz na myśli rodzinę? Cały klan Donovanów? Kochanie, jesteś dla mnie wszystkim, czego pragnę. Ale także czymś więcej. Ani na chwilę o tym nie zapominam. Twoje zdolności są fascynujące, chociaż... - wybuchnął krótkim wesołym śmiechem - nie dlatego oszalałem na twoim punkcie, że jesteś czarownicą.

- Nash, jesteś dla mnie chodzącym ideałem, ale nie chodzi o rodzinę. Ja... będę miała twoje dziecko.

- Słucham? - Jego twarz stała się porcelanowo biała. Poszukał rękami skały i opadł na nią bezwładnie, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- Dziecko? Jesteś w ciąży? Nosisz nasze dziecko?

- Właśnie. - Czekąca cierpliwie, aż Nash ochłonie i powie coś, obojętne co, ale on milczał jak zakłęty.

- Dostyc jasno wyrażałeś się na temat rodziny. Wiedziałam, że nie chcesz... Ale to się stało. Będę miała dziecko. I teraz to jest dla mnie najważniejsze.

- Wiedziałaś. Tamtego dnia... przysłałaś mi powiedzieć, prawda?

- Tak. Chciałam ci powiedzieć.

Przypomniał sobie, jak wyglądała, co mówiła - każde słowo i gest. Nagle przestał się dziwić - że wyjechała bez słowa, że nie chciała go znać.

- Myślisz, że nie chcę mieć tego dziecka?

- Rozumiem, że czujesz się dziwnie. Żadne z nas tego nie planowało. Możesz mi wierzyć lub nie...

- Isnieją błędy, które można popełnić tylko raz w życiu. Ja nie powtórzę swojego błędu. Kiedy?

- Przed Bożym Narodzeniem.

- Przed Bożym Narodzeniem... - powtórzył jak echo i pomyślał o czerwonym rowerze, zapachu pieczonego ciasta, o rodzinie, która mogła być jego rodziną. Kobieta, którą kochał, gotowa była mu ofiarować coś, czego nigdy nie zaznał, o czym bał się nawet marzyć.

- Powiedziałaś, że uwalniasz mnie od siebie, od wszystkiego, co robiliśmy wspólnie, co nas połączyło. Miałaś na myśli dziecko.

- Kocham to dziecko - powiedziała silnym, srebrzystym głosem. - Ono nie jest pomyłką, lecz darem. Wolałabym żyć samotnie, niż ryzykować, że choćby przez jedną chwilę swojego życia moje dziecko poczuje się nie chciane.

- Chcę dziecka i ciebie. I chcę wszystkiego, co nas łączy.

- Teraz możesz prosić, o co chcesz... - Patrzyła na niego zamglonym wzrokiem, pewna, że oboje do końca życia zapamiętają tę chwilę, swoje twarze i każde słowo.

- Daj mi szansę, Morgano. Tylko o to cię proszę.

- Czekaliśmy - albo czekałyśmy - na ciebie tak długo - powiedziała radośnie, kładąc rękę Nasha na swoim brzuchu.

- Będę ojcem - powiedział powoli, wsłuchując się w brzmienie własnych słów. - Mamy dziecko.

- Tak.

- Jesteśmy rodziną.

- Tak.

Pocałowali się uroczyście, jakby na przypieczone wanie ślubu, i powoli ruszyli do domu.

- Morgano... Może będziemy mieli więcej niż jedno dziecko...

- Może! - wybuchnęła szalonym śmiechem.

- Moja rodzina - mruknał. - Widzę to. Scena we wnętrzu. Słoneczny pokój, bladoniebieskie ściany.

- Żółte.

- W porządku. Jasnożółte ściany. Przy oknie stoi kołyska z takimi śmiesznymi zabawkami, które wiszą nad nią i ciągle się ruszają, no wiesz. Dziecko próbuje dosięgnąć błyszczącego samolociku... - Przerwał nagle, jakby wizja znikła. - O rany...

- Co? Co ci się stało?

- Pomyślałem sobie... Jakie są szanse, że dziecko będzie... No wiesz, że odziedziczy twój talent?

- Zastanawiasz się, jak wysokie jest prawdopodobieństwo, że dziecko będzie czarownicą? Bardzo duże. Donovanowie mają silne geny. Ale założę się, że ma twoje oczy.

- Aha... Dobrze i to.